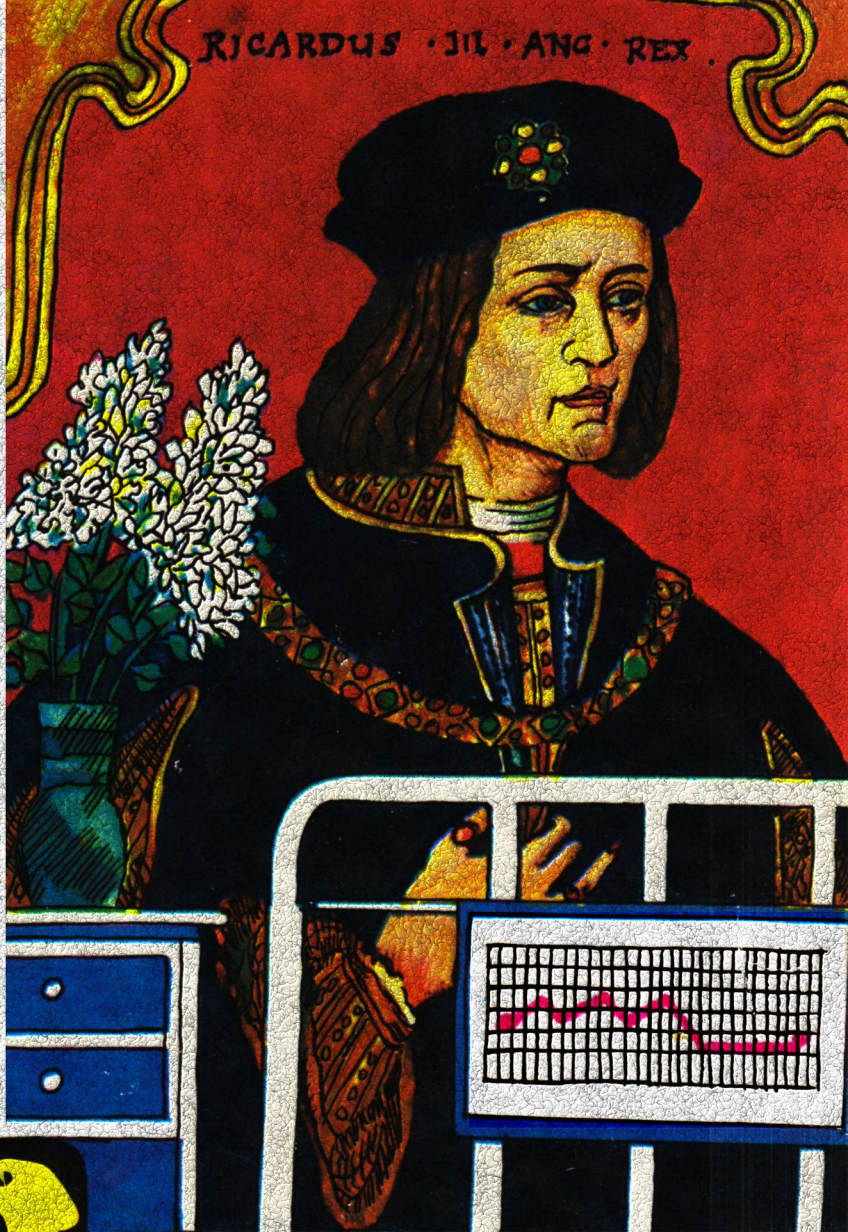


221

• • • • •



JOSEPHINE TEY

CÓRKA CZASU

CZYTELNIK



Josephine TEY

නම

Córka czasu



Tłumaczyła Krystyna Jurasz-Dąbska



Księgozbiór DiGG



2013



*Prawda jest córką czasu.
(stare przysłowie)*

ROZDZIAŁ 1

Grant leżał na wysokim szpitalnym łóżku i wpatrywał się w sufit z nienawiścią. Znał na pamięć każde najdrobniejsze spękanie i chropowatość na jego jasnej powierzchni. Początkowo wyobrażał sobie, że to mapa, wedle której odbywał odkrywcze wyprawy po rzekach, wyspach i kontynentach. Potem bawił się w rebusy i zgadywanki - wynajdywał ukryte w tych leciutkich liniach twarze, ptaki, ryby. Przeprowadzał geometryczne wyliczenia, takich jak w szczenięcych latach figur, kątów, trójkątów. Teraz już nie miał co robić z sufitem, mógł tylko patrzeć. Nie cierpiał tego widoku.

Zapytał Karliczkę, czyby nie można trochę przesunąć łóżka, bo zyskałby do eksploracji nowy kawałek sufitu. Ale okazało się, że to popsułoby symetrię pokoju, w szpitalu zaś symetria szła tuż, tuż za czystością, a o parę długości przed dobrocią. Wszystko, co nie trzymało się linii prostych, uważano tu za profanację.

Czemu nic nie czyta, zagadnęła go wtedy. Przecież ma tyle pięknych, nowiuteńkich książek, które mu wciąż znoszą znajomi.

- Na tym świecie rodzi się o wiele za dużo ludzi i pisze się też o wiele za dużo. Maszyny drukarskie bez przerwy wyrzucają z siebie miliony i miliony słów. To potworne!

- Coś mi się wydaje, że ma pan obstrukcję - orzekła Karliczka.

Karliczka nazywała się właściwie siostra Ingham i prawdę mówiąc była zgrabną dziewczyną średniego wzrostu, o zupełnie dobrych proporcjach tam, gdzie trzeba. Grant przeważał ją Karliczką, by choć w duchu zemścić się za to, że rządzi nim taka laleczka z saskiej porcelany, którą mógłby bez trudu unieść jedną ręką. Mógłby, ale dopiero, gdyby stał znowu na własnych nogach. Nie tylko to było okropne, że mówiła mu, co wolno, a czego nie wolno, ale co gorsza manipulowała nim, wielkim i bezwładnym, z taką swobodą, że Grant czuł się poniżony. Jego ciężar najwyraźniej nic nie znaczył dla Karliczki. Przerzucała materace z nieświadomym wdziękiem dyskobolki. Kiedy kończył się jej dyżur, zajmowała się nim Amazonka, bogini o ramionach jak potężne konary. Tym imieniem nazwał siostrę Darroll, która pochodziła z hrabstwa Gloucester i co roku, gdy zbliżała się pora kwitnięcia żonkili, bardzo tęskniła do swoich stron.

(Karliczka pochodziła z Lytham St. Anne's i nie zawracała sobie głowy żonkilami.) Miała duże miękkie dłonie i duże łagodne krowie oczy, którymi spoglądała na człowieka ze współczuciem, ale przy najmniejszym wysiłku sapała jak pompa ssąco-tłocząca. Grant uznał, że chyba jeszcze bardziej upokarzające jest być traktowanym jak kloc nie do udźwignięcia, aniżeli jak nic nie ważące piórko.

Grant musiał leżeć nieruchomo pod opieką Karliczki i Amazonki, ponieważ wpadł do otwartego włazu kanałowego, i to upokarzające wspomnienie było gorsze niż sapanie Amazonki czy władczość Karliczki, stanowiło już szczyt wszystkiego, W momencie, kiedy znikł z poziomu chodnika, był już o parę kroków od ujęcia Benny Skolla, toteż fakt, że przestępca zaraz za rogiem wpakował się prosto na sierżanta Williamsa, pocieszał teraz pacjenta troszkę, ale bardzo niewiele.

Obecnie Benny siedział. Miał siedzieć trzy lata, co dla społeczeństwa było zjawiskiem pozytywnym, choć prawdopodobnie wypuszczą go przed czasem za dobre sprawowanie. Natomiast Grant leżał, a ze szpitala za dobre sprawowanie nie wypuszczają przed czasem.

Zwrócił oczy z sufitu na stos książek przy łóżku, kolorowych i nowiutkich, które zachwalała mu Karliczka. Na samym wierzchu, z różowym widoczkim La Valette na obwolucie, leżał najnowszy romans Lawinii Fitch, jak zwykle o uciśnionej niewinności w opałach. Sądząc po różowym porcie wojennym, tym razem Valerie czy Angela, czy może Denise okaże się żoną oficera marynarki. Otworzył książkę, ale tylko po to, by przeczytać serdeczną dedykację autorki.

„Pot na bruździe” brzmiał tytuł siedmusetstronicowej powieści Silasa Weekleya, przyziemnej i wypracowanej, ciężkiej i świadomej znoju, a sądząc z początkowego akapitu nie różniącej się wcale od poprzedniego tomu: na piętrze matka zległa po raz jedenasty, na dole ojciec nalega, żeby to opić chyba po raz szósty, a w stodole na sianie ich córka właśnie uległa temu jedynemu, syn od dawna zalega z podatkiem i to nie jednym, drugi wyleguje się na legowisku, choć nic właściwie mu nie dolega. Od słoty wyległo zboże na odległych polach, lecz wciąż rozlega się tylko skapywanie deszczu ze strzechy, a z kupy gorącego gnoju dym leci ku górze. W żadnym dłuższym opisie Weekley nie pominął gnoju, a już na pewno nie z winy autora dym szedł w górę, jedyny w całym tym obrazie. Gdyby Silas wiedział o jakimś rodzaju dymu, który by zechciał zachowywać się bardziej horyzontalnie, na pewno umieściłby to w swej książce.

Poniżej, tuż pod ciemną i wyrazistą okładką „Potu na bruździe”, widniała delikatna i elegancka historyjka pełna edwardiańskich wygibasów i barokowych nonsensów pod tytułem „Nogi tancerki”. Rupert Rouge

żartobliwie pisał o rozpuście i jak zwykle przez pierwsze trzy strony nikt z czytelników nie mógł się oprzeć i śmiał się naprawdę. Około strony czwartej okazywało się, że autor nauczył się wiele od innego żartownisia (choć nie rozpustnika), nazwiskiem G. B. Shaw, przede wszystkim tego, że najłatwiej wydawać się dowcipnym stosując możliwie często paradoksy.

Najnowsza książka Oscara Oakleya, którą zdobił czerwony błysk przy lufie na tle ciemnego nieba, oznaczała się tym, że bandyci mówili półgębkiem skrótowym, amerykańskim slangiem, niezbyt dowcipnym i mało podobnym do oryginału. Pełno blondynek, błyszczących niklem barów, gonitw na złamanie karku. Okropna bzdura.

W „Tajemnicy zgubionego korkociągu” John James Mark popełnił na początkowych dwóch stronach trzy proceduralne błędy, co wreszcie zapewniło Grantowi parę minut dobrej zabawy, gdy komponował w duchu list do autora.

Nie wiedział, o czym jest ta cienka niebieska książka na samym spodzie. Pewno jakaś poważna statystyczna nuda. Może o muchach tse-tse albo kaloriach, albo o seksualizmie, albo czymś takim.

Nawet w podobnych dziełach zawsze wiadomo, co będzie na następnej stronie. Czy już naprawdę nikt na całym wielkim świecie nie może być trochę inny, czy każdy musi się trzymać uparcie jakiejś formułki?

Nieźle by było, pomyślał sobie Grant, odwracając się z niechęcią od barwnego stosu, gdyby tak wszystkie maszyny drukarskie zostały zatrzymane na okres życia jednej generacji, ot, takie literackie moratorium. Wtedy nie przysyłano by ogromnej kupy nowości człowiekowi leżącemu nieruchomo na wznak i nie wymagano, żeby te białuki czytał.

Usłyszał otwieranie drzwi, ale nie drgnął nawet. Odwrócił się do ściany - i dosłownie, i w przenośni.

Słyszał, że ktoś podszedł do łóżka; na wszelki wypadek zamknął oczy, żeby uniknąć konieczności rozmowy. Nie miał ochoty ani na współczucie z Gloucestershire, ani na komenderowanie z Lancashire. Ale po chwili owionął go zapach jakby kwiatnych pól Grasse. Zaciągnął się nim i próbował rozpoznać. Karliczka pachniała zasypką lawendową, a Amazonka mydłem i jodoformem. Zaś to, czym teraz tak upojnie tchnął jego pokój, nazywało się niewątpliwie L'Enclos Numéro Cinq. Z jego znajomych tylko jedna osoba tak pachniała: Marta Hallard.

Otworzył oko i zerknął. Przed chwilą nachyliwszy się, by stwierdzić, czy śpi, stała teraz jakby niezdecydowana - o ile można powiedzieć, że Marta była kiedykolwiek niezdecydowana - i przyglądała się dziewiczo nie tkniętym książkom leżącym na stoliku. Pod pachą miała dwie nowe książki, a w drugiej ręce duży pęk białego bzu. Przemknęło mu przez myśl

pytanie, czy dlatego przyniosła biały bez, że uważa to za najodpowiedniejszy kwiat do ofiarowywania w zimie (jej garderobę w teatrze z zasady zdobił bez, od grudnia do marca), czy też wybrała właśnie te kwiaty, bo pasowały do jej biało-czarnej kreacji. Miała na sobie nowy kapelusz i jak zwykle perły, te same perły, które kiedyś udało mu się dla niej odzyskać. Wyglądała prześlicznie, bardzo parysko i na szczęście zupełnie nieszpitalnie.

- Czy obudziłam cię, Alanie?

- Nie, nie spałem.

- Zdaje się, że przywiozłam samowar do Tuły - westchnęła dokładając obie książki do wzgardzonych poprzedniczek. - Obyś w tych znalazł coś bardziej interesującego. Nawet nie zajrzałeś do nowej Lawinii?

- Zupełnie nie mogę czytać.

- Tak cierpisz?

- Okropnie. Chociaż to ani noga, ani plecy.

- A co?

- Moja kuzynka Laura w takim wypadku mówi, że cała ścierpła z nudów.

- Biedny Alan! Ma rację ta twoja Laura. - Wyjęła pęk narcyzów z o wiele za dużego wazonu i wspaniałym scenicznym gestem upuściwszy je do umywalki, zabrała się do układania bzu. - Można by sądzić, że nuda jest uczuciem potężnym i ziewającym, a tymczasem wcale nie - to takie małe, podgryzające paskudztwo.

- Akurat, małe! Że podgryzające, to zgoda. Zupełnie tak się czuję, jakby mnie kto bił pokrzywą.

- Czemu nie weźmiesz się do czegoś?

- „Wzbogacić czymś te godziny”, jak mówi stara piosenka?

- Wzbogacić własną głowę. Nie mówiąc już o humorze. Mógłbyś postudiować kogoś z wielkich filozofów. Albo jogę? Chociaż umysł analityczny nie bardzo się nadaje do rozważań abstrakcyjnych.

- Nawet myślałem, czyby nie wziąć się do algebry. W czasach szkolnych raczej nie byłem wobec niej w porządku. Ale tak się teraz namęczyłem z geometrią na tym wściekłym suficie, że mam dość wszystkich nauk matematycznych.

- No cóż, układanki obrazkowe nie nadają się dla kogoś leżącego na wznak. A co byś powiedział na krzyżówki? Mogę ci przynieść, jeżeli chcesz, całą książkę z krzyżówkami.

- Broń Boże!

- Mógłbyś też oczywiście sam układać krzyżówki. Podobno to nawet zabawniejsze niż rozwiązywanie ich.

- Może. Ale do tego trzeba posługiwać się słownikiem, a on waży parę kilo. Zresztą nie cierpię zaglądać do słownika.

- A grasz w szachy? Bo nie pamiętam. Może przynieść ci „Problemy szachowe”? „Białe zaczynają; jak zrobić mata w trzech ruchach?” Coś w tym guście.

- Szachy interesują mnie jedynie wzrokowo.

- Wzrokowo?

- Bardzo dekoracyjne są te pionki i figury, czy jak się to nazywa. Bardzo eleganckie.

- Świetnie. Mogłabym przynieść ze sobą szachy. Ale dobrze, dobrze, nie zmuszam cię do tego. A co byś powiedział na zupełnie teoretyczne śledztwo? To coś w rodzaju matematyki. Szukać rozwiązania jakiejś nie wyjaśnionej zagadki.

- O przestępstwach myślisz? Znam wszystkie takie sprawy na pamięć. I wiem, że nic się nie da zrobić, a w każdym razie nic nie robi z nimi człowiek leżący bez ruchu.

- Nie myślałam o czymś z kartotek Scotland Yardu. Raczej coś, jakby to nazwać... coś klasycznego. Nad czym cały świat od wieków łamie sobie głowę.

- Jak na przykład?

- No chociażby „Listy ze szkatułki”.

- Oj, tylko nie Maria Stuart!!

- Czemu nie? - Marta, jak wszystkie aktorki, patrzyła na Marię Stuart przez romantyczną mgiełkę.

- Mogłaby mnie zainteresować kobieta zła, ale na pewno nie kobieta głupia.

- Głupia? - spytała Marta wspaniałym niskim głosem Elektry.

- Nawet bardzo.

- Jak możesz, Alanie?!

- Gdyby nosiła coś innego na głowie, nikt by się nią nie przejmował. To ten stroik tak uwodzi wszystkich.

- Myślisz, że w kretonowym czepku kochałaby mniej głęboko?

- Ależ ona nigdy nie kochała głęboko, niezależnie od nakrycia głowy.

Marta wyglądała na tak zgorszoną, jak pozwalało jej dziesięć lat pracy w teatrze, no i godzina starannego makijażu.

- Czemu tak myślisz?

- Maria Stuart miała przeszło metr osiemdziesiąt wzrostu, a kobiety bardzo wysokie są na ogół oziębłe seksualnie, spytaj któregokolwiek lekarza.

Ledwie to powiedział, gdy nagle zdał sobie sprawcę, że przez tyle lat, od kiedy znają się z Martą, nigdy nie powiązał charakterystycznej dla niej spokojnej życzliwości w stosunkach z płcią brzydką z jej okazałym wzrostem. Ale ona nie wyciągała żadnych takich wniosków, myślała

wyłącznie o swojej ulubionej królowej.

- Ale w każdym razie była męczennicą. To musisz jej przyznać.

- Męczennicą? Za co?

- Za swoją religię.

- Jeżeli była męczennicą, to tylko dlatego, że męczył ją reumatyzm. Co się tyczy religii, to poślubiła Darnleya bez dyspensy papieskiej, a Bothwella wedle obrządku protestanckiego.

- Jeszcze chwila, a zaczniesz we mnie wmawiać, że nie była uwięziona.

- Cały kłopot w tym, że wyobrazasz ją sobie na poddaszu zamku w małym pokoiku z zakratowanymi oknami, gdzie jedna wierna sługa odmawia wraz z nią pacierze. A tymczasem w rzeczywistości Maria Stuart miała sześćdziesiąt osób służby. Gorzko skarżyła się, kiedy ta liczba została zmniejszona do nędznych trzydziestu, a omal nie umarła ze zgrzyoty, kiedy i to zredukowano do dwóch sekretarzy, kilku kobiet służebnych, hafciarki i dwóch kucharzy. A Elżbieta musiała za wszystko płacić z własnej kieszeni. I przez dwadzieścia lat płaciła, podczas gdy Maria Stuart proponowała koronę Szkocji każdemu w Europie, kto tylko zechciałby wzniecić powstanie, aby osadzić ją na tronie, który utraciła, albo ewentualnie na tronie angielskim zamiast Elżbiety.

Spojrzał na Martę uśmiechając się z zadowoleniem.

- Trochę mniej ci to dokucza?

- Co?

- To bicie pokrzywą.

Parsknął śmiechem.

- Tak. Na całą minutę zdołałem o nim zapomnieć. To jedno można zapisać na plus Marii Stuart.

- Skąd wiesz tak dużo na jej temat?

- Kiedyś, w ostatniej klasie, pisałem o niej referat.

- I nie podobała ci się już wtedy?

- Nie podobało mi się to wszystko, co wtedy wynalazłem.

- Wobec tego nie uważasz jej za postać tragiczną?

- Ależ tak, nawet bardzo. Tylko że nie w tym sensie, jak na ogół się o niej myśli. Jej tragedią było to, że urodziła się królową, a miała sposób myślenia zwykłej mieszczyki. Starać się zakasować panią Tudor z przeciwka, to całkiem nieszkodliwe i nawet zabawne, może czasem doprowadzić do nieobliczalnych zakupów na raty, ale w końcu kłopoty będzie z tego miała jedna osoba. Ale kiedy tę samą technikę zastosuje się do sąsiadujących królestw, skutki są katastrofalne. Ktoś, kto gotów jest zastawić swój kraj z dziesięcioma milionami ludności, byle tylko wziąć górę nad swą królewską rywalką, musi skończyć jako bankrut pozbawiony przyjaciół. - Chwilę leżał zamyślony, a potem dodał: - Doskonale by się

nadawała na nauczycielkę na pensji dla dziewcząt.

- Wstręciuch z ciebie!

- Ale ja to powiedziałem bez żadnej złośliwości. Reszta nauczycieli bardzo by ją lubiła, a małe dziewczynki uwielbiałyby ją bezgranicznie. Właśnie dlatego uważam Marię za postać tragiczną.

- A więc nie zajmujemy się listami ze szkatułki. Kogo jeszcze mamy na składzie? Może „Człowieka w żelaznej masce”?

- Nie pamiętam już, kto to był, ale nie potrafiłbym się zainteresować kimś ukrywającym się za jakąś blachą. Muszę widzieć twarz człowieka, żeby zaczął mnie on interesować.

- Ach, prawda, zapomniałam, że masz bzika na tym punkcie. Borgiowie mieli wspaniałe twarze i na pewno dostarczyliby ci niejednej tajemnicy, gdyby tak trochę pogrzebać. Jest także Perkin Warbeck. Dzieje samozwańców są zawsze fascynujące. Czy był naprawdę księciem, czy nie był? Wspaniała zabawa. Tak na pewno to nigdy się nie wie, raz to przeważa szalę, raz tamto. A zagadka wciąż nie daje ci spokoju.

Otworzyły się drzwi i ukazała się w nich twarz pani Tinker pod odwiecznym i dobrze znajomym kapeluszem. Od dnia, gdy pani Tinker zaczęła być „dochodzącą” w kawalerskim gospodarstwie Granta, zawsze zjawiała się pod numerem 19 na Tenby Court w tym samym kapeluszu, toteż inspektor nie umiał jej sobie wyobrazić w żadnym innym. Wiedział wprawdzie, że ma inny, nakładany, ilekroć pani Tinker była „na granatowo”. „Na granatowo” oznaczało galę i nie było noszone do pracy, a tylko jako rytualny obrzędowy strój, służący potem także do oceny danej uroczystości dnia. („Jak się pani bawiła, Tink? Udany dzień?” „E tam, nie warto było iść na granatowo”.) Była tak ustrojona w dniu ślubu księżniczki Elżbiety i przy różnych innych dworskich okazjach, a raz nawet została uwieczniona „na granatowo” na dwie sekundy w kronice filmowej, kiedy księżna Kentu przecinała gdzieś wstęgę. Grant jednakże jej takiej nie oglądał, więc „na granatowo” pozostało dla niego tylko miarą danej okazji. Albo coś było warte ubrania się na granatowo, albo nie było.

- Jak się dowiedziałam, że pan ma gościa - zaczęła pani Tinker - to już chciałam zabrać się i pójść, ale z korytarza tak mi jakoś znajomo zabrzmiał głos, że powiadam do siebie: „To tylko panna Hallard”, no i weszłam.

Przyniosła różne papierowe torebki i ciasno związany bukiet anemonów. Z Martą przywitała się jak kobieta z kobietą, ponieważ była kiedyś garderobianą w teatrze i dzięki temu nie żywiła przesadnego uwielbienia dla gwiazd sceny. Teraz spojrzała z ukosa na świeżo ułożony przez aktorkę piękny bukiet białego bzu. Marta nie widziała wprawdzie tego spojrzenia, ale wystarczył jej rzut oka na bukiet anemonów, by zagrała doskonale swoją nową rolę.

- To ja wydaję sumy na biały bez dla ciebie, a tu pani Tinker zakasowuje mnie zupełnie liliami króla Salomona.

- Liliami? - powtórzyła gospodyni Granta z powątpiewaniem.

- To są właśnie te polne lilie, co to nawet Salomon w całej swej chwale... wie pani, co nie orzą ani przędą...

Pani Tinker chodziła wprawdzie do kościoła tylko na śluby i na chrzty, ale należała do generacji wychowanej na szkółce niedzielnej. Popatrzyła z nowym zainteresowaniem na bukiet dzierzony w wełnianej rękawiczce.

- No, no, wcale nie wiedziałam. Może w tym jest i więcej sensu, bo ja zawsze myślałam, że to były kalie, całe pola kalii. Bardzo drogie, ale troszkę nudne do oglądania. A więc one były takie kolorowe! No, no, tylko po co nazywać je liliami?

I potoczyła się rozmowa o tłumaczeniu, o tym, jakie mylące są różne słowa w Biblii (- Zawsze byłam ciekawa, co to znaczy „chleb na wodę rzucony” - mówiła pani Tinker), i tak obeszło się bez urażenia cudzych uczuć.

Nie skończyły się jeszcze rozmowy na temat Biblii, gdy przyszła Karliczka z dodatkowymi wazonami na kwiaty, nadającymi się raczej na bez niż na anemony. Bo też miał to być ukłon w stronę aktorki, próba zaskarżenia sobie jej życzliwości. Ale Marta nie zwracała uwagi na inne kobiety. Chyba że były jej potrzebne; taktowne wybrnięcie z sytuacji wobec pani Tinker można by po prostu nazwać *savoir faire* czy odruchem warunkowym. I dlatego dla Karliczki pozostała tylko rola użytkowa, a nie towarzyska. Poukładała rzucone do umywalki narcyzy i potulnie włożyła je do wazonu. Karliczka taka potulna była rozkosznym widokiem, dawno już nic tak nie ucieszyło oczu Granta.

- No cóż - westchnęła Marta ustawivszy swoje kwiaty tak, by mógł je widzieć z łóżka. - Teraz pani Tinker weźmie się do karmienia ciebie tym, co przyniosła w tych różnych tajemniczych torebkach. A może. droga pani Tinker, jedna z torebek zawiera te znakomite maleńkie makaroniki?

Pani Tinker się rozpromieniła.

- Może zechce pani spróbować? Prosto z pieca!

- Och, będę potem żałowała, bo takie słodkie tłuste ciasteczka są zabójcze dla figury, ale mimo wszystko niech mi pani da ze dwa do torebki, będę miała w teatrze do herbaty!

Wybrała je uważnie i z namysłem (- Bardzo lubię takie przyrumienione po bokach), włożyła do torebki i oznajmiła:

- No, do widzenia, Alan! Wpadnę za parę dni, żeby ci pokazać, jak się robi skarpetę. Podobno nic tak nie uspokaja, jak robota na drutach. Nieprawdaż, siostró?

- O tak, rzeczywiście. Bardzo wielu moich pacjentów uczy się roboty na

drutach. Dzięki temu szybciej mija im czas.

Od drzwi Marta posłała mu jeszcze buziaka i wyszła, a za nią pełna respektu Karliczka.

- Ta dziewczyna to nic dobrego - mruknęła pani Tinker rozpakowując swoje smakołyki. Że nie mówiła o Marcie, to pewne.





ROZDZIAŁ 2

Ale w dwa dni później Marta przyszła bez włóczki i drutów. Zjawiła się zaraz po lunchu, bardzo elegancka, i w kozackiej czapce nasadzonej zawadiacko na bakier tak od niechcienia, że to wymagało na pewno dłuższego siedzenia przed lustrem.

- Tylko na moment, mój drogi. Pędzę do teatru, bo dziś niestety popołudniówka. A my już doszliśmy do takiego stanu, że to, co mówimy, straciło dla nas resztę sensu. Nie mam pojęcia, kiedy wreszcie zaczniemy następną sztukę. Czuję, że z tą obecną może być tak, jak z nowojorskimi przebojami, które są na afiszu przez dziesięć lat zamiast przez rok. Przerażające. Nie można już utrzymać uwagi na swojej kwestii. Wczoraj wieczór zatkało Geoffreya w połowie drugiego aktu. Nagle okropnie wybałuszył oczy. Myślałam przez chwilę, że to apopleksja. Powiedział potem, że nie pamięta niczego, ale to niczego, co się działo od jego wejścia na scenę aż do chwili, kiedy oprzytomniał i stwierdził, że jesteśmy w połowie aktu.

- Stracił przytomność?

- Ależ skąd. Po prostu zachowywał się jak automat. Mówił swoje, robił, co miał robić, ale jednocześnie przez calusieńki czas myślał o czymś innym.

- Jeżeli w powszechnej opinii jest trochę prawdy, to to u aktorów nic nadzwyczajnego.

- Owszem, ale na mniejszą skalę. Taki Johnny Garson potrafi powiedzieć, ilu widzów jest dzisiaj na bezpłatnych biletach w tym samym momencie, gdy szlocha rozpaczliwie z twarzą wtuloną w mój podolek. Ale to co innego, niż taka całkowita nieobecność przez pół aktu. Czy uświadamiasz sobie, że Geoffrey zdołał syna wypędzić z domu, pokłócić się z kochanką, a żonę oskarżyć o romans ze swym najlepszym przyjacielem - nie myśląc o tym ani przez sekundę?

- O czym wobec tego myślał?

- Mówi, że zdecydował się odnająć Dolly Dacre swoje mieszkanie w śródmieściu i kupić w Richmond dom z czasów Stuartów, który Latimerowie muszą sprzedać z powodu tej niespodziewanej nominacji na gubernatora. Myślał o tym, że za mało tam łazienek, więc zdecydował, że na piętrze mały pokój o osiemnastowiecznych chińskich tapetach można by świetnie przerobić na łazienkę. Tę przepiękną tapetę dałoby się pewnie

zdjąć i ożywić nią tylny pokój na parterze. Obecnie ma wiktoriańskie boazerie i wygląda nudno. Zastanawiał się także nad instalacją wodociągową i obliczał, czy ma dość pieniędzy, żeby dach pokryć na nowo, o także próbował odgadnąć, jakie wyposażenie ma kuchnia. Właśnie doszedł do wniosku, że krzaki przy bramie trzeba będzie wykarczować, gdy znalazł się twarzą w twarz ze mną, na scenie i w obecności dziewięciuset osiemdziesięciu siedmiu widzów, a także w połowie monologu. Dziwisz się, że oczy wylazły mu na wierzch? O, widzę, że przeczytałeś wreszcie jedną z książek, które ci przyniosłam, o ile można wyciągać takie wnioski z wygniecionej obwoluty.

- Tak, tę o górach. Była dla mnie po prostu wybawieniem. Leżałem i godzinami wpatrywałem się w ilustracje. Nic tak od razu nie daje wszystkiemu właściwej perspektywy jak właśnie góry.

- Gwiazdy są chyba jeszcze lepsze.

- O nie. Gwiazdy sprawiają tylko, że człowiek czuje się jak ameba. Odbierają mu resztkę ludzkiej godności, ostatni cień pewności siebie. A góra cała w śniegu pozostaje właściwą miarą, taką jeszcze na skalę człowieka. Leżałem, patrzyłem na Everest i dziękowałem Bogu, że nie ja wspinam się po tych urwiskach. W porównaniu z nimi łóżko szpitalne stało się nagle ciepłym, bezpiecznym gniazdkiem, a Karliczka i Amazonka najwspanialszymi wytworami naszej cywilizacji.

- No, to masz tutaj jeszcze trochę obrazków.

W tym momencie odwróciła do góry nogami dużą kopertę trzymaną dotąd pod pachą i na łóżko Granta posypało się mnóstwo kolorowych obrazków.

- Co to takiego?

- Twarze dla ciebie - oznajmiła tryumfalnie Marta - mnóstwo, mnóstwo twarzy. Mężczyzn, kobiet, dzieci. Do wyboru, do koloru.

Ujął kartonik leżący mu na piersi i podniósł, żeby obejrzeć. Okazało się, że to renesansowy sztych, portret kobiety.

- Kto to taki?

- Lukrecja Borgia. Nie rozkoszna?

- Może, ale czy jakaś tajemnica wiąże się z nią, twoim zdaniem?

- Owszem, nikt do dziś nie rozstrzygnął, czy była tylko narzędziem swego brata, czy współniczką.

Odłożywszy Lukrecję na bok wziął następny portret, tym razem małego chłopca w stroju z osiemnastego stulecia. Pod spodem delikatne drukowane litery tworzyły słowa: Louis XVII.

- Tu masz wspaniałą tajemnicę - oznajmiła Marta. - Delfin. Czy zdołano go uwolnić, czy zmarł uwięziony?

- Skąd wzięłaś to wszystko?

- Wypłoszyłam Jamesa z jego dziupli w Muzeum Wiktorii i Alberta i zmusiłam, żeby poszedł ze mną do sklepu z reprodukcjami. Wiedziałam, że zna się na tych sprawach, a tam w muzeum musi się zdrowo nudzić.

Typowa dla Marty taka pewność, że pracownik instytucji państwowej dlatego tylko, że pisze czasem sztuki i zna się na portretach, bez wahania rzuci swoje zajęcia, żeby dla niej przeszukać cały sklep z reprodukcjami.

Następnie był jakiś portret z okresu elżbietańskiego, mężczyzna w aksamitach naszywanych perłami. Grant zerknął na odwrotną stronę, żeby dowiedzieć się, kto to, i przeczytał, że to hrabia Leicester.

- A więc tak wyglądał ukochany Elżbiety - mruknął. - Chyba pierwszy raz widzę jego portret.

Marta przyjrzała się z góry nalanej męskiej twarzy, i zauważyła:

- W tej chwili przyszło mi na myśl, że tragedią wielkich postaci historycznych jest to, że zazwyczaj pozują najwybitniejszym malarzom świata dopiero wtedy, kiedy najlepszy okres mają już za sobą. Ten Robin musiał być przedtem naprawdę przystojny. Podobno Henryk VIII był olśniewająco piękny w młodości, a czymże jest dla nas? Opasłym królem z talii kart. Teraz wiemy przynajmniej, jak wyglądał Tennyson, zanim zapuścił tę okropną brodę. No, ale muszę pędzić. Już jestem spóźniona. Byłam na lunchu w „Blogue”, a tam jak zawsze pełno znajomych i z każdym trzeba pogadać, więc nie udało mi się wyjść tak wcześnie, jak chciałam.

- Mam nadzieję, że na tym kimś, z kim byłaś, to wywarło odpowiednie wrażenie - powiedział Grant, zerkając na głowę Marty.

- O tak. Ona zna się na kapeluszach. Tylko rzuciła okiem i powiedziała: „Na pewno z Paryża”.

- Ona?

- Tak, Madelaine March. I to ja ją zaprosiłam na ten lunch. Nie rób takiej zdumionej miny, to nietaktowne. Jeżeli już musisz wiedzieć, staram się ją namówić, żeby napisała dla mnie sztukę o Lady Blessington. Wiesz, jej przygody, mężowie, aspiracje pisarskie - nawet i Byron. Ale ciągle nam ktoś przeszkadzał, witał się, zagadywał, więc nie zdołałam jak dotąd zbyt wiele osiągnąć. Tyle tylko, że zafundowałam jej wspaniały lunch. Ale, ale, to mi przypomina: Tony Bittmaker podejmował siedmioosobowe towarzystwo. Niebывała ilość trunków, i to jakich! Powiedz, jakim cudem on wciąż jeszcze nie wpadł?

- Z braku dowodów - odpowiedział Grant.

Marta roześmiała się i już jej nie było.

Teraz w milczeniu zaczął znowu zastanawiać się nad Leicesterem. Jakaż tajemnica z nim się wiąże? Ach, prawda, Amy Robsart, oczywiście.

Tylko że jego, Granta, nie interesowała żona Leicesterera. Nie obchodziło go, ani jak spadała z tych schodów, ani dlaczego.

Ale i tak, dzięki pozostałym portretom, spędził popołudnie bardzo przyjemnie. Od dawna już, zanim jeszcze zaczął pracować w policji, pasjonowały go twarze ludzkie, a w ciągu siedmiu lat spędzonych w Scotland Yardzie to zainteresowanie okazało się nie tylko jego prywatnym konikiem, ale jest też pożyteczne zawodowo. Kiedyś, na samym początku swej kariery, Grant razem ze swym zwierzchnikiem przypadkowo wszedł do sali, gdzie odbywała się identyfikacja podejrzanego. Nie prowadzili tej sprawy, obaj byli tu w zupełnie innym celu, ale stanęli z boku i przyglądali się, jak jakiś mężczyzna, a potem jakaś kobieta, każde osobno, przechodzą wzdłuż stojących szeregiem dwunastu niczym nie rzucających się w oczy mężczyzn, starając się rozpoznać jednego spośród nich.

- No co, wie pan, który z nich jest tym gagatkiem? - szepnął mu w ucho szef.

- Nie wiem, ale chyba potrafię odgadnąć - odparł tak samo cicho Grant.

- Potrafi pan? No, który?

- Trzeci od lewej.

- A o co jest oskarżony?

- Nie wiem. Nie mam pojęcia o tej sprawie.

Inspektor popatrzył tylko na niego, rozbawiony. Ale kiedy ani mężczyźnie, ani kobiecie nie udało się zidentyfikować podejrzanego, i oboje odeszli, a szereg zamienił się w rozmawiającą cicho grupę mężczyzn, którzy poprawiali kołnierzyki i wiązali krawaty przygotowując się do powrotu na ulicę, do swego codziennego życia, od którego oderwano ich na chwilę, by dopomogli Prawu - wtedy jedynym nie zbierającym się do odejścia był trzeci od lewej. Naprzód czekał posłusznie, a potem został przez eskortującego strażnika odprowadzony do celi.

- Niech mnie! - wykrzyknął szef Granta. - Szansa jedna na dwanaście, a panu się udało. Bravo! Wskazał tego człowieka z całej grupy - wyjaśnił miejscowemu inspektorowi.

- Poznał go pan? - spytał tamten, trochę zdziwiony. - O ile nam wiadomo, dotąd jeszcze nie był notowany.

- Nie, w życiu go nie widziałem. Nie wiem nawet, o co jest oskarżony.

- Więc dlaczego go pan wskazał?

Grant zawahał się chwilę, po raz pierwszy starając się przeanalizować swój proces selekcji. Nie opierał się na rozumowaniu. Nie mógł powiedzieć: „Twarz tego człowieka ma taką czy inną cechę, i dlatego to musi być oskarżony”. Wybór był prawie instynktowny, uzasadnienie tkwiło w podświadomości. Wreszcie, z pewnym wahaniem, wyjawiał: z tych dwunastu on był jedynym bez żadnych linii twarzy.

Roześmieli się głośno. Ale Grant, kiedy już zrozumiał tyle, zaczął też rozumieć, na czym jego instynkt się opierał i jak musiała przebiegać praca

dedukcyjna.

- To może brzmi głupio - powiedział - ale głupie nie jest. Jedynym dorosłym zupełnie pozbawionym linii twarzy jest idiota.

- Freeman to nie idiota, może mi pan wierzyć - przerwał miejscowy inspektor. - Przeciwnie, jest bardzo zdolny, tylko w niewłaściwym kierunku.

- Nie to chciałem powiedzieć. Chodziło mi o to, że idiota jest nieodpowiedzialny. Jest klasycznym przykładem nieodpowiedzialności. Wszyscy ci mężczyźni, cała dwunastka, liczyli około trzydziestu lat, ale tylko jeden z nich miał nieodpowiedzialną twarz. Dlatego od razu go wybrałem.

Od tego czasu w Scotland Yardzie stało się przysłowiowe, że Grant „potrafi ich rozpoznać na oko”. A jeden z zastępców dyrektora powiedział raz złośliwie:

- Nie będzie mi pan wmawiał, inspektorze, że istnieje coś takiego jak przestępca twarz.

Ale Grant odparł, że oczywiście to nie jest takie proste.

- Gdyby istniał tylko jeden rodzaj przestępstw, wtedy byłoby to możliwe. Ale przestępstwa są równie urozmaicone jak natura ludzka, i gdyby policjant zaczął dzielić twarze na poszczególne kategorie, to nie wybrnęłyby z tego. Można zasadniczo określić, jak wygląda przeciętna przeerotyzowana kobieta, wystarczy przejść po Bond Street pomiędzy piątą a szóstą popołudniu, prawda? A tymczasem najbardziej znana nimfomanka w Londynie robi wrażenie chłodnej ascetki, niemal świętej.

- Ostatnio już wygląda mniej świątobliwie. Za dużo pije. - Zastępca dyrektora rozpoznał omawianą panią bez trudności i rozmowa przeszła na inne tory.

Ale Grant nie przestał interesować się twarzami, co więcej, zaczął je świadomie badać. Oglądał zdjęcia z różnych spraw i porównywał. Tak jak powiedział, nie można było podzielić twarzy na różne kategorie, ale można było scharakteryzować poszczególne twarze. Na przykład w sprawozdaniach z groźnego procesu, którego głównych bohaterów pokazywano czytelnikom, nigdy nie było cienia wątpliwości, kto jest oskarżonym, a kto sędzią. Czasami zdawało się, że tego czy owego z obrońców można by na pierwszy rzut oka pomylić z oskarżonym, bo ostatecznie obrońcy bywali też bardzo różni w przekroju społecznym, tak samo ulegający namiętnościom - chciwości choćby - jak reszta świata. Natomiast sędzia miał zawsze specjalne cechy: prawość i bezstronność. Toteż nawet wtedy, gdy zdjęcie ukazywało go bez peruki, nie zachodziła możliwość pomylenia go z oskarżonym, którego nie cechowała ani prawość, ani bezstronność.

Ów James nie tylko dał się Marcie wypłoszyć ze swojej dziupli, ale najwyraźniej z przyjemnością zabrał się do dzieła, bo jego wybór, tak przestępców, jak i ofiar, dostarczył Grantowi zajęcia aż do chwili, gdy Karliczka przyniosła mu podwieczorek. Kiedy starał się zebrać wszystkie obrazki, by wsadzić do szuflady, nagle ręka jego natknęła się na jeden, leżący całkiem z boku na kołdrze, dotąd nie zauważony. Przyjrzał mu się.

Był to portret mężczyzny ubranego w aksamitny beret i kaftan z przeciętymi rękawami, typowymi dla końca piętnastego wieku. Jakies trzydzieści pięć, trzydzieści sześć lat, szczupły, gładko ogolony. Miał na sobie kosztowny łańcuch zdobny w drogie kamienie i właśnie nakładał pierścień na mały palec prawej ręki. Ale nie patrzył na to, co robi. Patrzył gdzieś w dal.

Z wszystkich portretów oglądanych w ciągu popołudnia ten miał najwięcej indywidualności. Wydawało się, jakby artysta usiłował ukazać na płótnie coś, na co nie starczało mu talentu. Za trudnym okazało się dla niego oddanie wyrazu oczu przykuwających uwagę i charakterystycznych. Tak samo usta. Nie wiedział, co zrobić, by usta tak szerokie, ale o wąskich wargach, miały w sobie życie, i dlatego usta mu się nie udały, zostały drewniane. Najlepiej wyszła struktura kostna twarzy, wyraźne kości policzkowe, wpadnięte policzki i podbródek silny i dlatego za duży.

Grant już chciał sprawdzić, czy jest podpis na odwrocie, ale wstrzymał rękę i przyjrzał się uważniej twarzy. Sędzia? Żołnierz? Władca? Ktoś przywykły do dużej odpowiedzialności, świadomy swego autorytetu? Bardzo wymagający wobec siebie? Skłonny do przejmowania się, może perfekcjonista? Ktoś, kto łatwo podejmuje ważne decyzje, a denerwuje się o szczegóły? Kandydat do wrzodu żołądka? Był w tej twarzy trudny do przekazania, nie wytłumaczalny wyraz, jaki pozostawia cierpienie. Malarz to rozumiał i zdołał oddać za pomocą pędzla. Lekkie podpuchnięcie dolnych powiek jak u dziecka zbudzonego z mocnego snu, żółtawa cera; stary wyraz młodej jeszcze twarzy.

Odwrócił portret, żeby zobaczyć, kto to.

Przeczytał napis: *Ryszard III. Z portretu znajdującego się w Narodowej Galerii Portretów. Malarz nieznan.*

Ryszard III.

A więc to on, Ryszard III. Garbus. Potwór z dziecinnych opowiadań. Zabójca dzieci. Symbol podłości i okrucieństwa.

Znów odwrócił kartkę i patrzył. Co właściwie malarz starał się wyrazić malując te oczy? Czy to, co w nich dostrzegał, było spojrzeniem człowieka dręczonego przez zmyślenie?

Długo leżał wpatrując się w tę twarz, w te niezwykle oczy. Oczy podłużne, osadzone dość blisko pod brwiami. W pierwszej chwili

wydawały się utkwione w patrzącego, potem jednak okazywało się, że są zamysłone, zapatrzone jakby w głąb, nieobecne.

Kiedy Karliczka wróciła po tacę, Grant wciąż jeszcze wpatrywał się w portret. Od lat już nie trafiło mu się nic podobnego; Mona Liza w porównaniu z nim przypominała afisz reklamowy.

Karliczka popatrzyła na nie tkniętą filiżankę, dotknęła dzbanka z letnią herbatą i odęła wargi. Oznajmiła, że ma ważniejsze rzeczy do roboty, niż przynosić herbatę komuś, kto na nią nie zwraca uwagi.

Zamiast odpowiedzi podsunął jej portret i spytał, co o tym myśli. Gdyby ten człowiek był jej pacjentem, jakby go na pierwszy rzut oka scharakteryzowała?

- Wątroba - powiedziała cierpko, wzięła tacę i już oddalała się z gniewnym stukotem obcasów; sztywno nakrochmalony czepek na blond loczkach.

Chirurg, który wszedł w chwilę potem, uprzejmy, ale obojętny, był innego zdania.

Przypatrzył się portretowi uważnie, gdy go Grant o to poprosił, i powiedział:

- Poliomyelitis.
- Heine Medina? - upewnił się Grant i nagle przypomniał sobie, że Ryszard III miał uschniętą rękę.

- Kto to taki?
- Ryszard III.
- Naprawdę? Ciekawe.
- Wiedział pan o tym, że miał uschniętą rękę?
- Czyżby? Nie wiedziałem. Wydawało mi się, że był garbaty.
- To także.
- Pamiętam tylko, że miał się urodzić z wszystkimi zębami i żywcem połykał żaby. No cóż, wydaje się, że moja diagnoza jest nadzwyczaj dokładna.

- Niesamowicie. Dlaczego wybrał pan paraliż dziecięcy?
- Właściwie nie jestem pewien dlaczego, jeżeli pan chce dokładnego wyjaśnienia. Przypuszczam, że to ten wyraz twarzy. Podobny wyraz mają twarze kalekich dzieci. Ale jeżeli od urodzenia był garbaty, zapewne to spowodowało ów wyraz, a nie polio. Widzę, że malarz nie namalował mu garbu.

- Tak, malarzy dworskich musi cechować choćby minimum taktu. Dopiero od czasów Cromwella portretowani domagali się „brodawek i tak dalej”.

- Jeżeli już o tym mówimy - powiedział doktor, jednocześnie sprawdzając łubki na nodze Granta - to Cromwell zapoczątkował jakby

przeciwieństwo snobizmu, którego skutki pokutują do dziś. „Ależ ja jestem zwykłym człowiekiem, niczego nadzwyczajnego we mnie nie ma”. No właśnie: ani dobrych manier, ani wytworności, ani szerokiego gestu. Nic.

Uszczypnął duży palec nogi pacjenta, myśląc o czym innym.

- I to się rozszerza jak zaraza, taka okropna poza! Podobno w niektórych częściach Stanów polityk, który pokazałby się swoim wyborcom w krawacie i marynarce, sam by się tym wykończył. To jest tam uważane za dęcie się, zadzieranie nosa. Ideałem jest „swój chłop”. Wygląda bardzo zdrowo - dodał wskazując na wielki palec Granta, a potem, nieproszony, raz jeszcze powrócił do sprawy portretu leżącego na kołdrze. - Ciekawe, jeśli to naprawdę było polio. Wyjaśniałoby uschniętą rękę. - Myślał nad tym chwilę, nie zdradzając chęci odejścia. - W każdym razie interesujące. Portret mordercy. Uważa pan, że jest typowy?

- Nie istnieje typowy wygląd mordercy. Ludzie mordują ze zbyt wielu rozmaitych powodów. Ale nie przypominam sobie żadnego mordercy ani z własnej praktyki, ani z oglądanych zdjęć, który by był do niego podobny.

- No cóż, on musiał być *hors concours* w swojej klasie. Choćby przez to, że nie odczuwał najłżejszych skrupułów.

- Właśnie.

- Widziałem raz w tej roli Lawrence'a Oliviera. Cóż za olśniewający popis wysublimowanego zła! Przez cały czas balansował na granicy groteski, ale jej nie przekroczył.

- Kiedy zobaczył pan ten portret - nie wiedząc jeszcze, kogo przedstawia - czy pomyślał pan o zbrodni?- spytał Grant.

- Nie, o chorobie.

- To jednak dziwne. Bo i ja nie myślałem o zbrodni. A teraz, kiedy wiem już, kto to jest, nie mogę zapomnieć o tym, że to twarz zbrodniarza.

- Przypuszczalnie podłość, tak samo jak i piękno, zależy od oka patrzącego. No tak, wpadnę do pana pod koniec tygodnia. Najważniejsze, że prawie nie boli.

I odszedł, uprzejmy, ale obojętny - jak zwykle.

Dopiero znacznie później, kiedy Grant wciąż jeszcze rozmyślał nad tą sprawą (bo dosyć go to poirytowało, że mógł popełnić tak szokujący błąd, by jednego z najślawniejszych morderców wszechczasów wziąć za sędziego), nagle przyszło mu do głowy, że przecież ten portret umieszczony został wśród pozostałych także jako temat do teoretycznego śledztwa.

A jakaż tajemnica kryła się w życiu Ryszarda III?

Przypomniał sobie, że Ryszard zamordował swoich dwóch bratanków, ale nikt nie wiedział jak. Po prostu znikli. O ile dobrze pamiętał, chłopcy znikli, kiedy Ryszarda nie było w Londynie. Posłał kogoś, żeby to wykonał.

Ale co się właściwie stało z dziećmi - ta tajemnica nie została nigdy rozwiązana. Za panowania Karola II znaleziono dwa szkielety, chyba pod jakimiś schodami, no i pochowano. Uznano za oczywiste, że są to szczątki obu królewiczów, ale niczego nigdy nie dowiedziono.

Okropne, jak mało historii zostaje człowiekowi w głowie mimo starannej edukacji. W tej chwili pamiętał o Ryszardzie tylko tyle, że był młodszym bratem Edwarda IV, który był wysoki, szalenie przystojny i miał niebywałe powodzenie u kobiet, że Ryszard, garbus, sięgnął po jego śmierci po koronę miast nieletniego następcy tronu, a potem spowodował śmierć tegoż bratanka i jego młodszego brata, żeby nie mieć z nimi kłopotów. Wiedział jeszcze, że Ryszard zginął w bitwie pod Bosworth wołając o konia i że był ostatnim ze swojej dynastii. Ostatnim z Plantagenetów.

Każdy uczeń przewracał stronicę o śmierci Ryszarda III z ulgą, bo wreszcie miał z głowy Wojnę Dwóch Róż; teraz zaczęła się Tudorowie, raczej nudni, ale o wiele łatwiejsi do spamiętania.

Kiedy Karliczka przyszła prześcielić mu łóżko przed nocą, Grant zapytał:

- Czy siostra nie ma tu przypadkiem podręcznika historii?

- Podręcznika historii? Nie. Po co mi tutaj coś takiego? - Nie było to nawet pytanie, więc też Grant nie próbował odpowiadać. Ale jego milczenie jak gdyby ją zapiekło.

- Jeżeli panu naprawdę zależy na podręczniku do historii - powiedziała po chwili - proszę spytać siostry Darroll, jak przyjdzie z kolacją. Ma w swoim pokoju na półce wszystkie książki szkolne, więc nie wykluczone, że i historię.

Jakże to w stylu Amazonki, pomyślał, przechowywać swoje książki szkolne! Tęskniła wciąż jeszcze za szkołą, tak jak tęskniła za swoim rodzinnym Gloucestershire, ilekroć zakwitały tam całe łąki żonkili. Kiedy więc władowała się do pokoju niosąc na tacy budyń z sera i rabarbarowy kompot, spojrzał na nią z tolerancją, więcej, niemal łaskawie. Przestała być roślą dziewczyną sapiącą jak pompa ssąco-tłocząca, w jej zasięgu leżało, być może, szybkie uszczęśliwienie go.

O tak, ma książkę do historii. A nawet, zdaje się, że dwie. Ma schowane wszystkie podręczniki, bo tak bardzo lubiła szkołę.

Grant ledwo się powstrzymał, by nie spytać, czy przechowuje też swoje lalki, ale ugryzł się w język.

- I oczywiście, bardzo lubiłam historię, była moim ulubionym przedmiotem. A Ryszard Lwie Serce był moim ideałem.

- Okropny samochwał - mruknął Grant.

- O nie - zaprotestowała; wyglądało, że jest dotknięta.

- Nadczytność tarczycy, nie ma dwóch zdań - ciągnął Grant bezlitośnie. - Kto widział tak się miotać to tu, to tam, jak wybrakowany fajerwerk. Czy

siostra kończy teraz dyżur?

- Jak tylko poodnoszę wszystkie tace.
- Mogłaby siostra znaleźć mi tę książkę jeszcze dziś?
- Pan powinien spać, a nie ślęczeć po nocy nad podręcznikami historii.
- Równie dobrze mogę poczytać trochę historii, jak patrzeć w sufit, a tylko taką mam alternatywę. No jak, przyniesie siostra?
- Wątpię, czy będzie mi się chciało iść po nocy aż do naszego pawilonu i z powrotem dla kogoś, kto tak się odnosi do Ryszarda Lwie Serce.
- Mogę to odszukać - skapitulował. - Nie nadaję się na męczennika. Stwierdzam niniejszym, że Ryszard Coeur-de-Lion jest wzorem cnót rycerskich, *le chevalier sans peur et sans reproche*, nieomylnym dowódcą z trzykrotnym krzyżem walecznych. Teraz już dostanę książkę?
- Zdaje mi się, że bardzo się panu przyda poczytać trochę historii - powiedziała wyglądając pościel - i dlatego przyniosę tę książkę idąc do kina.

Minęła pewno godzina, zanim pojawiła się znowu, jeszcze bardziej ogromna w płaszczu z wielbłądziej wełny. W separatce Granta górne światło było już zgaszone, a ona zmaterializowała się w świetle jego lampy całkiem jak jakaś wielka, dobrotliwa zjawa.

- Miałam nadzieję, że pan już zasnął. Naprawdę nie powinien pan zabierać się do tego dziś wieczorem.

- Przecież trudno o coś bardziej, usypiającego niż podręcznik historii Anglii. Może więc siostra z zupełnie czystym sumieniem trzymać się w kinie za rękę.

- Ależ ja idę z siostrą Burrows!

- Mimo to możecie trzymać się za rękę.

- Nie mam cierpliwości do pana - powiedziała z wyrzutem i znikła w cieniu.

Przyniosła mu dwie książki.

Jedna należała do gatunku zwanego czytankami historycznymi. Miała się tak do historii jak opowieści biblijne do Pisma świętego. Król Kanut na brzegu morza robił wymówki swoim dworzanom, ukrywający się w chacie król Alfred przypalał ciasto, młody nieznany Raleigh rzucał pelerynę w błoto pod stopy Elżbiety, błądzący Nelson żegnał się z Hardym w swojej kabinie statku „Victory” - wszystko dużą, wyraźną czcionką, nowe zdanie od nowego akapitu. Każdemu epizodowi towarzyszyła całostronicowa ilustracja.

Było coś dziwnie wzruszającego w tym, że Amazonka tak przechowywała tę dziecinną książeczkę. Grant zajrzał na początek, by zobaczyć, czy jest tam nazwisko właścicielki. Na pierwszej stronie widniał napis:

Ella Darroll
Oddział III
Szkoła podstawowa
Newbridge
Gloucestershire
Anglia
Europa
Ziemia
Świat

Wokół tego obwódka z pięknych kolorowych kalkomanii.

Czy wszystkie dzieci to robią, zastanawiał się. Czy podpisują tak swoje książki, a potem spędzają czas szkolny na odbijaniu kalkomanii? Bo on na pewno tak. Widok tych kwadracików w jaskrawych kolorach przypomniał mu dzieciństwo tak wyraźnie, jak nic od wielu już lat. Zapomniał zupełnie, ile podniecenia wiązało się z kalkomanią. Ten cudowny moment, kiedy zaczyna się ściąganie mokrego papierka i widać już, że obrazek wychodzi doskonale. Dorosły świat tak niewiele zna podobnie wspaniałych momentów. Czyste trafienie w golfie jest może temu najbliższe albo jeszcze taki moment, kiedy linka wędki napina się i wiadomo już, że ryba wzięła.

Mała książeczka ogromnie mu się spodobała, więc czytał sobie bez pośpiechu, uważnie, jedną po drugiej dziecinne czytanki. Bądź co bądź właśnie tyle z historii każdy dorosły pamiętał. Tylko to zostawało w głowie, kiedy dawno ulotniły się z niej takie rzeczy, jak „beczkowe i funtowe” i Liturgia Lauda, danina okrętowa i spisek w domu Rye’ów, Akty Trzyletnie i zawile problemy odstępstw i zamieszek, traktatów i zrad.

Kiedy doszedł do opowiadania o Ryszardzie III, pod tytułem „Książątka w Tower”, stwierdził, że mała Ella uważała obu królewiczów za nędzną namiastkę Ryszarda Lwie Serce, ponieważ w całym opowiadaniu zamalowała dokładnie ołówkiem każde o. Dwaj złotowłosi chłopczkowie, bawiący się w smudze słońca wpadającej przez zakratowane okno, otrzymali po parze nowoczesnych okularów, a całą odwrotną stronę ilustracji ktoś wykorzystał na grę w szubienicę. Tak, na małej Elli książątka nie zrobiły wielkiego wrażenia.

A przecież historia ich była niewątpliwie interesująca. Dostyc makabry, by zadowolić dziecięce wymagania. Niewinne dziateczki - niegodziwy wuj. Klasyczne składniki w opowiadaniu klasycznie prostym.

Posiadało ono także morał. Było więc doskonałym ostrzeżeniem.

Lecz królowi ten podły czyn nie przyniósł żadnych korzyści. Naród angielski, oburzony tą zbrodnią popełnioną z zimną krwią, zdecydował, że nie chce mieć dłużej Ryszarda za króla. Posłali więc po jego dalekiego kuzyna, Henryka Tudora, który przebywał we Francji, aby powrócił i przyjął koronę królewską. W bitwie, która nastąpiła, Ryszard zginął.

Sam walczył mężnie, ale jego imię było tak zniechęczone w całym kraju, że wielu opuściło go i przeszło na stronę przeciwnika.

No cóż, krótko, ale nie pompatycznie. Przykład dobrego reportażu.

Zabrał się do drugiej książki.

To był prawdziwy podręcznik historii. Dwa tysiące lat dziejów Anglii zgrabnie podzielone, poszufladkowane dla łatwiejszego znalezienia wszystkiego. Szufladkami, jak zwykle, były panowania poszczególnych władców. Nic dziwnego, że każdą osobistość kojarzył sobie człowiek z czymś panowaniem, zapominając, że ta sama osoba żyć mogła też za panowania kogoś innego. Ale pchało się ich do tych szufladek zupełnie odruchowo. Pepys - Karol II. Szekspir - Elżbieta. Marlborough - królowa Anna. Nikomu nie przychodziło do głowy, że ktoś, kto oglądał królowę Elżbietę, mógł także oglądać Jakuba I. Do tego podziału na panowania każdy był przyzwyczajony od dzieciństwa.

Jednakże trochę to upraszczało życie, zwłaszcza policjantowi ze złamaną nogą i uszkodzeniem kręgosłupa, poszukującemu informacji o dawno zmarłych królach, po to choćby, żeby nie dostać bzika.

Zdumiony był, jak krótko trwało panowanie Ryszarda III. Stać się w przeciągu zaledwie dwóch lat jednym z najbardziej osławionych władców na przestrzeni dwóch tysięcy lat dziejów Anglii - to musiało oznaczać wybitną indywidualność. Wprawdzie Ryszard nie zyskał sobie przyjaciół, ale niewątpliwie wywarł duży wpływ na losy ludzkie.

Podręcznik zresztą także twierdził, że był on postacią niezwykłą.

Ryszard okazał się człowiekiem bardzo zdolnym, lecz zupełnie pozbawionym skrupułów w dochodzeniu do celu. Zuchwale sięgnął po koronę wykorzystując absurdalne twierdzenie, że małżeństwo jego brata z Elżbietą Woodville było nieważne, a dzieci z tego małżeństwa - nieprawe. Został uznany przez ludność bojącą się rządów nieletniego i rozpoczął panowanie od przejazdu przez południe kraju, gdzie spotkał się z pozytywnym przyjęciem. Jednakże w czasie tej podróży dwaj królewicze, którzy mieszkali w Tower, zniknęli i powszechnie uważano, że zostali zamordowani. Nastąpiły poważne zamieszki, które Ryszard srogo poskromił. Celem odzyskania utraconej popularności zwołał Parlament, który powziął pożyteczne uchwały przeciw praktykom takim, jak Benewolencje, Popieranie

i Deputaty.

Jednakże w kraju zaczęły się nowe zamieszki. Tym razem spowodował je najazd Henryka Tudora, głównego pretendenta z rodu Lancastrow. Wraz z nim przybyły wojska francuskie. Spotkanie z Ryszardem nastąpiło pod Bosworth, w pobliżu Leicester, gdzie zdrada Stanleyów przeważała szalę na stronę Henryka. Ryszard, walczący dzielnie, zginął w czasie tej bitwy, pozostawiając po sobie imię niemal równie niestawne jak Jan bez Ziemi.

Cóż to mogło być te Benewolencje, Popieranie i Deputaty?

I jak się Anglikom podobało, że o następstwie tronu decydowały francuskie wojska?

Chociaż prawda, w czasie Wojny Dwóch Róż Francja była - wciąż jeszcze częścią Anglii, trochę tylko dalszą, krajem o wiele mniej obcym dla Anglików niż Irlandia. Piętnastowieczny Anglik jeździł do Francji uważając to za rzecz naturalną, ale do Irlandii tylko z musu.

Leżał i rozmyślał o tej dawnej Anglii, w której rozgrywała się Wojna Dwóch Róż. Zielonej, zielonej Anglii.

Bez jednego komina fabrycznego od Cumberlandu aż do Kornwalii. Anglii wciąż jeszcze nie podzielonej grodzieniami, pokrytej puszcza pełną zwierzyny i rozległymi mokradłami rojącymi się od ptactwa. O Anglii, w której takie same małe skupiska ludzkie powtarzały się co parę mil w nie kończącym się rytmie: zamek, kościół, zagrody - klasztor, kościół, zagrody - dwór, kościół, zagrody. Pasy uprawnej ziemi rozchodzące się promieniście wokół takiej osady, a dalej już była zieleń, nic, tylko zieleń, od jednej osady do drugiej, trakty o głębokich koleinach, tonące w błocie zimą, białe od kurzu latem; umajone dzikimi różami i czerwone od jagód zgodnie z rytmem następujących po sobie pór roku.

Przez trzydzieści lat w tej zielonej, rzadko zaludnionej krainie prowadzono Wojnę Dwóch Róż. Ale była to raczej kłótnia rodowa niż wojna, taka mniej więcej jak zatarg Montekich z Kapuletami, przeciętnego Anglika nie dotycząca zbytnio. Nikt ci nie włąził do domu i nie żądał zdeklarowania się, czy jesteś po stronie Yorków, czy Lancastrow, by - jeżeli odpowiedź okaże się niewłaściwa - wpakować cię do obozu koncentracyjnego. To była mała, choć ostro prowadzona wojenka czy raczej prywatne rozgrywki wielkich rodów. Powiedzmy, że walczyli na twojej łące tam na dole, potem opatrzyli rannych w twojej kuchni i zabrali się, by stoczyć bitwę gdzieś indziej, a po paru tygodniach dowiadywałeś się dopiero, jak to było z tą bitwą, i wtedy zaraz zaczynała się rodzinna kłótnia, bo na przykład twoja żona była po stronie Lancastrow, a ty wolałeś Yorków, a wszystko razem przypominało trochę obserwowanie rozgrywek ligowych piłki nożnej. Nikt nie prześladował cię za to, że byłeś

za Yorkami czy Lancastrami, tak jak dziś nie prześladowuje się nikogo za to, że woli drużynę Arsenal czy Chelsea.

Wciąż jeszcze myśląc o tamtej zielonej Anglii - zasnął.

I dalej nie wiedział nic o dwóch małych książkach i ich losie.





ROZDZIAŁ 3

- Czemu nie wybierze pan sobie czegoś weselszego do oglądania? - zapytała następnego ranka Karliczka wskazując na portret Ryszarda oparty o stos książek na nocnym stoliku.

- Nie uważa siostra, że to interesująca twarz?

- Interesująca? Dreszcz mnie przechodzi, kiedy na nią patrzę. Zupełny wilkołak.

- Zdaniem historyków, był to człowiek wybitnie utalentowany.

- Sinobrody też był utalentowany.

- I cieszący się dużą popularnością.

- Sinobrody także.

- Był ponadto wspaniałym wojownikiem - wyliczał rozbawiony Grant i dodał: - No, a jakim był Sinobrody?

- Ale co panu przyjdzie z wpatrywania się w tę twarz? A w ogóle, kto to taki?

- Ryszard III.

- No właśnie!

- Chce siostra powiedzieć, że dokładnie tak go sobie wyobrażała?

- Dokładnie tak.

- Dlaczego?

- Przecież to ohydny morderca, no nie?

- Widzę, że pamięta siostra historię.

- Tyle, to każdy pamięta. Wykończył swoich dwóch małych bratanków. Biedne maleństwa. Kazał ich podusić.

- Podusić? - spytał Grant zaciekawiony. - Tego nie wiedziałem.

- Poduszkami. - Mówiąc to boksowała poduszki pacjenta drobną silną piąstką; potem wsunęła mu je pod głowę szybko i zręcznie.

- Ale czemu dusić? Czemu nie otruć? - spytał.

- Mnie niech pan o to nie pyta. Ja tego nie nakazałam.

- A kto twierdzi, że ich uduszono?

- Mój szkolny podręcznik historii.

- No dobrze, ale na czym się ten podręcznik opiera?

- Opiera się? Na niczym się nie opiera. Po prostu podaje fakty.

- I wedle tej książki, kto ich udusił?

- Jakiś człowiek nazwiskiem Tyrrel. Czy w pana szkole nie przerabiano historii?

- Uczęszczałem na lekcje historii, a to nie to samo. Kto to był ten Tyrrel?
- Nie mam zielonego pojęcia. Pewnie jakiś zaufany Ryszarda.
- Skąd wiadomo, że to zrobił Tyrrel?
- Bo się przyznał.
- Przyznał się?
- Po tym, jak wykryto, że on to zrobił. Zanim go powieszono.
- Chce siostra powiedzieć, że tego Tyrrela naprawdę powieszono za zamordowanie obu królewiczów?

- Tak, oczywiście. Czy teraz mogę już zabrać stąd tę ponurą gębę i postawić coś weselszego? Wśród tych portretów, które panna Hallard wczoraj panu przyniosła, było parę całkiem miłych twarzy.

- Nie interesują mnie miłe twarze. Interesują mnie wyłącznie te ponure. Twarze „ohydnych morderców”, którzy są „ludźmi bardzo uzdolnionymi”.

- No, co kto lubi - powiedziała bez namysłu Karliczka. - Ja na szczęście nie muszę na to patrzeć. Ale moim zdaniem od czegoś takiego nawet kości mogą się gorzej zrastać, jak mi Bóg miły.

- Wobec tego, jeżeli moje złamanie źle się zrośnie, niech je siostra zapisze na konto Ryszarda III. To pewne, że na jego koncie taki drobiazg nie będzie nawet zauważalny.

Musi spytać Martę, jak wpadnie następnym razem, czy słyszała coś o tym Tyrrelu. Jej ogólne wykształcenie nie było zbyt wielkie, ale ukończyła drogą i renomowaną szkołę, znaną z wysokiego poziomu nauki, więc może coś z tego zostało.

Jednakże pierwszym gościem z zewnątrz okazał się sierżant Williams, wielki i różowy, jakby świeżo wypucowany. Na długą chwilę Grant zapomniał o dawnych złoczyncach i zainteresował się złoczyncami żyjącymi. Williams siedział na twardym małym krzeselku, rozstawiwszy szeroko kolana, a że raziło go światło padające od okna, więc mrużył oczy jak zadowolony kot. Grant przyglądał mu się z sympatią. Jak miło znowu porozmawiać o sprawach zawodowych, posługiwać się językiem używanym tylko wśród kolegów po fachu. Miło posłuchać zawodowych plotek; dowiedzieć się zawodowych nowinek; usłyszeć, kto ma mocną pozycję, a komu się nie wiedzie.

- Szef kazał pana pozdrowić - przypomniał sobie Williams prawie na odchodnym - i powiedzieć, żeby pan dał mu znać, gdyby coś mógł dla pana zrobić.

Jego oczy, już nie oślepienie słońcem, zatrzymały się na reprodukcji opartej o książki. Przyglądał się jej przekrzywiając na bok głowę.

- Kto to taki?

Grant już chciał powiedzieć, kiedy przypomniał sobie, że ma przecież przed sobą kolegę-policjanta, człowieka, którego także zawodowo

interesują twarze. Kogoś, dla kogo twarze są stale ważnym problemem.

- To portret męski z XV wieku pędzla nieznanego malarza - powiedział. - Co pan o nim sądzi?

- Nie znam się zupełnie na malarstwie.

- Nie o to mi chodzi. Co pan sądzi o portretowanym?

- Ach, tak, rozumiem. - Williams pochylił się do przodu i zmarszczył brwi udając skupienie. - Ale co to ma znaczyć: „co sądzę”?

- Gdzie by go pan umieścił? Na ławie oskarżonych czy za stołem sędziowskim?

Williams zastanawiał się chwilę, a potem odparł z przekonaniem:

- No, za stołem.

- Czyżby?

- Niewątpliwie. A co, pan nie?

- Tak, ja także. Ale najdziwniejsze jest to, że obaj się mylimy. Dla niego odpowiednia jest ława oskarżonych,

- Zdumiewa mnie pan - odparł Williams, spoglądając na portret raz jeszcze. - A więc wiadomo, kto to jest?

- Tak, Ryszard III.

Williams aż gwizdnął.

- Patrzcie państwo! No, no, książątka w Tower i tak dalej. Prototyp okrutnego wuja. Przypuszczalnie jeżeli się wie, to można to dostrzec, ale tak na pierwszy rzut oka nie przyszłoby mi na myśl, że to zbrodniarz. Prawdę powiedziawszy on wygląda wypisz wymaluj jak stary sędzia Halsbury, a jedynym błędem Halsbury'ego była zbyt pobłażliwość wobec oskarżonych. Starał się jak mógł, żeby jego podsumowanie dawało oskarżonemu jak najwięcej szans.

- Czy wie pan, jak obaj królewicze zostali zgładzeni?

- Nie wiem nic o Ryszardzie prócz tego, że urodził się w dwa lata od chwili poczęcia.

- Oo! Skąd te wiadomości?

- Przypuszczalnie z lekcji historii.

- Musiał pan chodzić do niezwyklej szkoły. U mnie w szkole nie poruszano na historii takich tematów. Dlatego tak odświeżająco działało zawsze przerabianie Szekspira albo Biblii. Tam można się było natknąć na fakty z życia. Słyszał pan kiedy o facecie nazwiskiem Tyrrel?

- Owszem, to taki kanciarz na linii okrętowej Peninsular and Orient. Utonął ze statkiem „Egipt”.

- Nie, nie, chodzi o postać historyczną.

- Mówię panu, z historii pamiętam tylko rok 1066 i 1603.

- A co było w 1603? - spytał Grant myślący wciąż o Tyrrele.

- Wtedy na amen połączyliśmy się ze Szkocją.

- Zawsze to lepsze, niż żeby nam co pięć minut skakali do gardła. Podobno Tyrrel to nazwisko człowieka, który zlikwidował tych chłopców.

- Królewskich bratanków? Nic o tym nie wiem. Ojej, już muszę iść. A może panu czegoś potrzeba?

- Czy dobrze słyszałem, że idzie pan na Charing Cross Road?

- Tak, do „Feniksa”.

- A więc może mi pan coś załatwić?

- Słucham.

- Niech pan zajdzie do którejś księgarni i kupi mi „Historię Anglii”. Dla dorosłych, nie podręcznik szkolny. I „Dzieje Ryszarda III”, o ile pan znajdzie.

- Oczywiście, bardzo chętnie.

Przy wyjściu Williams natknął się w drzwiach na Amazonkę i osłupiał widząc w stroju pielęgniarskim kogoś równie wielkiego jak on sam. Nieśmiało wymamrotał słowa pożegnania, spojrzawszy pytająco w stronę Granta, i zniknął w korytarzu.

Amazonka powiedziała, że właściwie to powinna teraz pacjentce spod czwórki pomagać przy myciu, ale musiała wpaść tutaj, żeby zobaczyć, czy wreszcie się przekonał.

- O czym?

Chodziło jej o Ryszarda Lwie Serce i jego rycerskie przymioty.

- Jeszcze nie doszedłem do Ryszarda I. Ale niech czwórka trochę poczeka, a siostra mi powie, co wie o Ryszardzie III.

- Och, te biedactwa! - wykrzyknęła, a jej wielkie krowie oczy pełne były współczucia.

- Kto?

- Ci dwaj mali królewicze, książątka nieszczęsne. Stale w dzieciństwie dręczył mnie taki koszmarny strach, że ktoś też przyjdzie i przycisnie mi poduszkę do twarzy, kiedy będę spała.

- To tak właśnie dokonano tego morderstwa?

- Tak. Nie wiedział pan? Sir James Tyrrel powrócił konno do Londynu, kiedy cały dwór był w Warwick, i polecił Dightonowi i Forrestowi zabić chłopców, a potem pochowali ich u stóp jakichś schodów pod wielkim stosem kamieni.

- Ale w książce, którą mi siostra pożyczyła, nic o tym nie było.

- E, ta książka to tylko powtórki do egzaminu. W takim bryku nie znajdzie pan nic interesującego.

- No, to skąd wzięła siostra tak smakowity kąsek, jak tę plotkę o Tyrrele, jeżeli można spytać?

- To wcale nie plotka! - zachnęła się dotknięta. - Znajdzie pan to w książce sir Tomasza More'a. A w całej historii nie ma osoby bardziej

poważanej ani bardziej wiarygodnej jak sir Tomasz More, no nie?

- Pewnie, zaprzeczać jego słowom dowodziłoby złego wychowania.

- W każdym razie sir Tomasz opisuje to, bo bądź co bądź żył wtedy i znał osobiście tych wszystkich ludzi.

- Dightona i Forresta?

- Nie, oczywiście, że nie ich. Ale Ryszarda, biedną królowę i cały dwór.

- Królowę? Żonę Ryszarda?

- Tak.

- Czemu „biedną”?

- Bo miała z nim ciężkie życie. Mówiono, że to on ją otruł. Chciał się ożenić ze swoją bratanicą.

- Czemu?

- Bo była następczynią tronu.

- Rozumiem, pozbył się obu chłopców, a potem chciał poślubić ich najstarszą siostrę.

- Tak. Nie mógł przecież poślubić żadnego z chłopców.

- No nie. Chyba nawet Ryszardowi III nie przyszłoby to do głowy.

- Więc chciał się ożenić z Elżbietą, żeby czuć się pewniej na tronie. Ale ona poślubiła jego następcę. Była babką królowej Elżbiety I. Zawsze z przyjemnością myślałam o tym, że ta wielka królowa ma w sobie też trochę z Plantagenetów. Nigdy zbyt nie przepadałam za Tudorami. Ale teraz muszę już iść, za chwilę przełożona będzie robiła obchód, a ja nie zdążę umyć czwórki.

- No i co by się stało, koniec świata?

- Dla mnie tak - westchnęła i już jej nie było.

Grant wziął ze stosu książek tę, którą mu pożyczyła, i próbował rozeznac się w Wojnie Dwóch Róż. Wojska posuwały się to w jednym, to w drugim kierunku. Raz York, raz Lancaster zwyciężywszy przeciwnika wstępował na tron. To powtarzanie się było okropne, a zarazem tak bezsensowne, jak wpadanie na siebie nakręconych autek w wesołym miasteczku.

Ale doszedł do wniosku, że wszystkie te kłopoty wynikły z ziarna posianego prawcie o sto lat wcześniej, kiedy prosta bezpośrednia linia sukcesji została zerwana przez zdetronizowanie Ryszarda II. Znał tę sprawę dobrze, ponieważ jako młody chłopak widział w Teatrze Nowym sztukę „Ryszard z Bordeaux”; był na niej cztery razy. Przez trzy generacje lancasterscy uzurpatorzy rządili Anglią: Henryk IV zaraz po Ryszardzie II nieszczęśliwie, ale z rzetelną sumiennością, potem szekspirowski książę Hal, mający na swoim koncie Azincourt, czyli sławę, i stos, czyli żarliwość, wreszcie jego syn w półobłąkanym zaćmieniu brnący w klęskę. Nic więc dziwnego, że ludzie wzdychali już do prawowitej gałęzi patrząc, jak niegodni przyjaciele biednego Henryka VI roztrwają zdobycze

francuskie, podczas gdy sam król pasjonuje się tylko swą nowo ufundowaną szkołą w Eton i napomina damy dworu, by zakrywały zbyt wielkie dekolty.

Wszystkich trzech Lancastrów cechował nieprzyjemny fanatyzm, wyraźnie kontrastujący z liberalizmem tamtego dworu, który przeminął wraz z Ryszardem II. Zasada Ryszarda „żyć i pozwolić żyć innym” niemal z dnia na dzień zmieniła się w palenie heretyków. I przez trzy generacje heretycy byli paleni. Nic dziwnego, że mniej widoczny płomień niezadowolenia zaczął tlić w sercach zwykłych ludzi.

A już specjalnie wtedy, kiedy pojawił się książę Yorku, zdolny, rozsądny i wpływowy, nie tylko jako potężny magnat na swoich włościach, ale i jako potomek Ryszarda II. Może nie pragnęli, by zabrał tron biednemu, głupiemu Henrykowi, ale na pewno chcieli, by przejął rządy państwa i doprowadził wszystko do ładu.

York próbował to osiągnąć i zginął w walce, a jego rodzina musiała długo przebywać na wygnaniu i w bezpiecznym azylu klasztornym.

Ale kiedy już przeminął chaos, ucichł zgiełk bitewny, oto na tronie angielskim zasiadł syn księcia Yorku, zaprawiony w bojach u jego boku - i kraj uspokoił się wreszcie pod rządami Edwarda IV. Był to młodzian wysoki, jasnowłosy, niepoprawny dziwkarz, niezwykle przystojny, a zarazem zadziwiająco sprytny.

Tyle mniej więcej zdołał Grant się dorozumieć z Wojny Dwóch Róż i przypuszczał, że nigdy nie zdoła pojąć więcej.

Podniósł oczy znad książki i zobaczył, że przełożona stoi na środku pokoju.

- Pukałam, ale był pan zbyt zaczytany.

Stała tak, smukła i daleka; na swój sposób równie elegancka jak Marta: dłonie wysuwające się z białych mankietów i założone jedna na drugą na wysokości talii; biały kwef opadający na ramiona ze spokojną godnością i, jako jedyna ozdoba, mały znaczek dyplomowanej pielęgniarki. Grant pomyślał, że chyba nikogo na całym świecie nie cechuje tak niezmienny spokój jak przełożoną pielęgniarek w dużym szpitalu.

- Zabrałem się do historii - przyznał się. - Trochę późno.

- Dobrze pan robi. Historia nadaje wszystkiemu właściwą perspektywę. - Wzrok jej spoczął na portrecie, zapytała: - Jest pan po stronie Yorków czy Lancastrów?

- A więc rozpoznała siostra tę twarz?

- O tak. Kiedy byłam praktykantką, dużo czasu spędzałam w Galerii Narodowej. Miałam bardzo mało pieniędzy i bardzo obolałe nogi, a tam było ciepło, spokojnie i zawsze dość miejsc do siedzenia. - Uśmiechnęła się lekko, jakby ze swojej obecnej pozycji spoglądała na to zmęczone poważne

dziewczątka, jakim wtedy była. - Bardzo lubiłam Galerię Portretów, bo dawała to samo poczucie proporcji co wczytywanie się w historię. Wszystkie te wielkie osobistości tak wiele zamieszania spowodowały w swoim czasie, a teraz zostały już po nich tylko imiona, tylko płótno i farby. Temu portretowi przyglądałam się wtedy często. - Powróciła wzrokiem do Ryszarda. - Bardzo nieszczęśliwy człowiek.

- Mój doktor przypuszcza, że to Heine-Medina.

- Heine-Medina? - Zastanawiała się chwilę. - Może. Nie przyszło mi to do głowy. Ale mnie zawsze się wydawało, że to człowiek głęboko nieszczęśliwy. Ma najbardziej tragiczną twarz, jaką w życiu widziałam, a widziałam ich wiele.

- Z tego by wynikało, że ten portret powstał już po morderstwie, tak?

- O, niewątpliwie. On nie należał do ludzi, którzy robią coś lekko. Człowiek tego kalibru musiał być w pełni świadomy, jak ohydny jest jego czyn.

- Siostra myśli, że należał do tych, co potem sami ze sobą już żyć nie mogą?

- Dobre określenie! Tak. To ci, co czegoś okropnie chcą, a dopiero potem przekonują się, że cena, jaką musieli zapłacić, była zbyt wielka.

- A więc nie uważa go siostra za człowieka do gruntu złego?

- O, nie. Ludzie do gruntu źli nie cierpią, a ta twarz jest pełna okropnej udręki.

Przez chwilę w milczeniu przyglądali się portretowi.

- Utrata syna w tak niedługi czas potem musiała mu się pewnie wydać karą. I śmierć żony. W bardzo krótkim czasie został pozbawiony wszystkiego, co mu było najbliższe. Zupełnie jakby go dosięgła boska sprawiedliwość.

- Czyżby mu tak zależało na żonie?

- Była jego kuzynką i znali się od dzieciństwa. Niezależnie od tego, czy kochał ją, czy nie, na pewno łączyło ich bliska przyjaźń. A kiedy ktoś zasiada na tronie, wtedy chyba docenia, jakim błogosławieństwem jest przyjaciel. Nawet nie zapytałam o to, o co przyszłam się dowiedzieć, a mianowicie, jak się pan dzisiaj czuje. Ale już sama widzę. To dobry znak, że zainteresował się pan kimś, kto od czterystu lat nie żyje.

Wciąż jeszcze stała w tym samym miejscu. Teraz uśmiechnęła się po swojemu, lekko, skrycie, i z rękami wciąż jeszcze złożonymi na wysokości paska skierowała się ku drzwiom. Szła z niedościgłą, spokojną godnością. Jak zakonnica. Jak królowa.





ROZDZIAŁ 4

Dopiero po lunchu sierżant Williams zjawił się ponownie, zadyszany, niosąc dwie grube książki.

- Trzeba je było zostawić u portiera! - zawołał Grant. - Wcale nie chciałem, żeby się pan drapał tu na górę.

- Musiałem przyjść, żeby panu wytłumaczyć. Zdążyłem zająć tylko do jednej księgarni, ale za to największej tu w pobliżu. Oto najlepsza historia Anglii, jaką mają w tej chwili. Twierdzą, że nigdzie nie znajdę lepszej. - Położył na stole poważnie wyglądające zielonooprawne tomisko, ale minę miał przy tym powątpiewającą, jakby nie brał za książkę odpowiedzialności. - Nie mieli osobnej historii Ryszarda III. To znaczy, żadnej monografii. Ale dali mi to. - „To” było kolorową książką z wielkim herbem na obwolucie, zatytułowaną „Róża zamku Raby”.

- Co to znaczy?

- To podobno jego matka. Ta Róża w tytule. Nie mogę teraz zostać dłużej. Za pięć minut muszę być w pracy, bo szef obedrze mnie ze skóry, jak się spóźnię. Przepraszam, że nie spisałem się lepiej. Wpadnę tu znowu, jak tylko będę w pobliżu, a jeżeli się okaże, że te książki są do niczego, to poszukam lepszych.

Grant, naprawdę wdzięczny, podziękował mu serdecznie.

Zanim umilkły energiczne kroki Williama, zaczął przeglądać tę „najlepszą historię Anglii”. Okazało się, że jest to tak zwana historia stroju; rzeczowa kompilacja ożywiona odpowiednimi ilustracjami. Na przykład iluminowana stronica z Psalterza Luttrella uzupełniała czter-nastowieczne rolnictwo, ówczesna mapa Londynu widniała pośrodku Wielkiego Pożaru. O królach i królowych wspomniano tylko przypadkiem. Historia stroju Tannera zajmowała się głównie postępowaniem społecznym i ewolucją polityczną, takimi sprawami, jak Czarna Śmierć i wynalazek druku, jak upowszechnienie prochu strzelniczego czy powstawanie cechów, i tak dalej. Jednakże tu i ówdzie powiązania tematyczne zmuszały pana Tannera do wymienienia jakiegoś króla czy jego krewnych. Jedno z takich powiązań nastąpiło w związku z wynalazkiem druku.

Pewien człowiek, nazwiskiem Caxton, przybyły z lesistego Kentu, terminował u sukiennika, przyszłego burmistrza Londynu, a potem wyruszył do Brugii z dwudziestoma markami, które mu zapisał w testamencie jego zwierzchnik. A kiedy w jesiennej posępnej szarudze dwaj

młodzi uchodźcy z Anglii wylądowali na holenderskim brzegu, właśnie u owego prosperującego kupca z Kentu znaleźli schronienie. Uchodźcami tymi byli Edward IV i jego brat, Ryszard; ale gdy koło fortuny obróciło się znowu i Edward powrócił, by rządzić Anglią, wtedy przybył do kraju i Caxton; pierwsze książki, jakie wydrukował w Anglii, zamówione były przez króla, a napisane przez królewskiego szwagra.

Przerzucał strony rozmyślając, jak bardzo bezosobowe są takie suche informacje. Cierpienia ludzkości nie stają się dla nikogo własnym cierpieniem, dobrze to wiedzą czytelnicy gazet. Opis masowej zagłady może wywołać dreszcz przerażenia, ale serce pozostaje nieporuszone. Tysiąc ofiar powodzi w Chinach to tylko dziennikarska wiadomość, jedno dziecko utopione w sadzawce - to tragedia. Dlatego też dzieje ustroju angielskiego spisane przez Tannera, choć godne podziwu, były niezbyt pasjonujące. Tylko tu i ówdzie, gdzie już autor nie mógł uniknąć jakichś spraw bardziej osobistych, jego opowieść nabierała żywszych kolorów, rozkwitała pełniejszym blaskiem. Na przykład w przytaczanych wyjątkach z listów Pastonów. Rodzina ta miała zwyczaj wciskania skrawków historii pomiędzy zamówienie oliwy do sałaty a pytanie, jak Klemens daje sobie radę w Cambridge. I tak, wśród podobnych domowych problemów, znalazła się drobna wzmianka, że dwaj mali synowie księcia Yorku, George i Ryszard, mieszkają w londyńskim domostwie Pastonów, a ich brat Edward co dzień wpada, by malców zobaczyć.

Chyba nikt, pomyślał Grant odłożywszy książkę na kołdrę i patrząc w stronę niewidocznego w tej chwili sufitu, chyba nikt z tych, co zasiadali na tronie Anglii, nie miał za sobą tak wielu doświadczeń typowych dla zupełnie zwykłych ludzi, jak Edward IV i jego brat Ryszard. Prócz nich może tylko Karol II. Ale Karol, nawet w biedzie, nawet w ucieczce, zawsze był synem królewskim, kimś z innej gliny. Dwaj mali chłopcy, mieszkający u Pastonów, byli tylko dziećmi z rodu Yorków.

I w pomyślniejszych dla rodziny czasach nie byli nikim ważnym, a w okresie, gdy ów pastonowski list pisano, nie mieli własnego domu i właściwie żadnych widoków na przyszłość.

Grant sięgnął po podręcznik Amazonki, żeby zobaczyć, co też Edward robił w Londynie w owym czasie, i dowiedział się, że zbierał wojsko, „albowiem Londyn stał zawsze po stronie Yorków i ludzie z zapałem ciągnęli pod sztandary młodego Edwarda”. Tak twierdził podręcznik.

A mimo to młody, osiemnastoletni książę, uwielbiany przez stolicę i przygotowujący swe pierwsze zwycięstwo, znajdował co dzień czas, by zajrzeć do obu małych braciszków.

Czyżby to wtedy, zastanawiał się Grant, narodziło się to niebываłe przywiązanie Ryszarda do starszego brata? Niezmienne po grób

przywiązanie, którego istnienia podręczniki nie tylko nie zaprzeczają, ale używają go do podkreślenia morału: „Aż do śmierci brata Ryszard nie bacząc na zmienne koleje losu był jego lojalnym i wiernym towarzyszem, lecz potem korona okazała się pokusą zbyt silną”. Albo krócej słowami czytanki: „Był dla Edwarda dobrym bratem, dopiero gdy zobaczył, że może zostać królem, serce jego stwardniało od chciwości”.

Grant zerknął z boku na portret i pomyślał, że ten, kto pisał te czytanki, miał chyba źle w głowie. Jeżeli serce Ryszarda stwardniało aż tak, że stał się mordercą, to na pewno nie od chciwości. Może, gdyby chodziło o żądzę władzy... może... może.

Ale przecież Ryszard miał tyle władzy, ile tylko mógł sobie życzyć! I jako brat królewski, i dzięki bogactwu. Czyżby dojście dalej, o jeden stopień wyżej, było dlań aż tak ważne, że mógł w tym celu zamordować dzieci brata?

Bardzo dziwne to wszystko.

Wciąż jeszcze miał tym nabita głowę, gdy pojawiła się pani Tinker ze świeżą piżamą i codziennym przeglądem nagłówków gazetowych. Pani Tinker z zasady nie czytała więcej, chyba że chodziło o morderstwo, bo wtedy pochłaniała wszystko co do słowa, a ponadto wracając do domu, by ugotować mężowi kolację, kupowała jeszcze popołudniówkę. Tym razem też jej komentarze na temat sprawy w Yorkshire, w której figurował i arszenik, i ekshumacja, opływały go spokojnym, nieprzerwanym szmerem, aż nagle pani Tinker zobaczyła, że na stoliku obok książek leży nie tknięta poranna gazeta. Potok wymowy wysechł raptownie:

- Niedobrze się pan inspektor dzisiaj czuje? - spytała zatroskana.

- Ależ doskonale, Tink, doskonale.

- Nawet nie rozłożył pan dzisiejszej gazety! Tak samo było z moją siostrzenicą, jak zbliżał się jej koniec. Przestało ją interesować, co piszą w gazecie.

- Niech się pani nie martwi, Tink. Mam się coraz lepiej. Nawet humor mi się poprawił. Zapomniałem o gazecie, bo czytałem sobie to i owo z historii. Słyszała pani może o książątkach w Tower?

- Każdy słyszał o książątkach w Tower.

- A wie pani, jaki ich spotkał koniec?

- Oczywiście, że wiem. Przydusił dzieciны poduszką, jak spały.

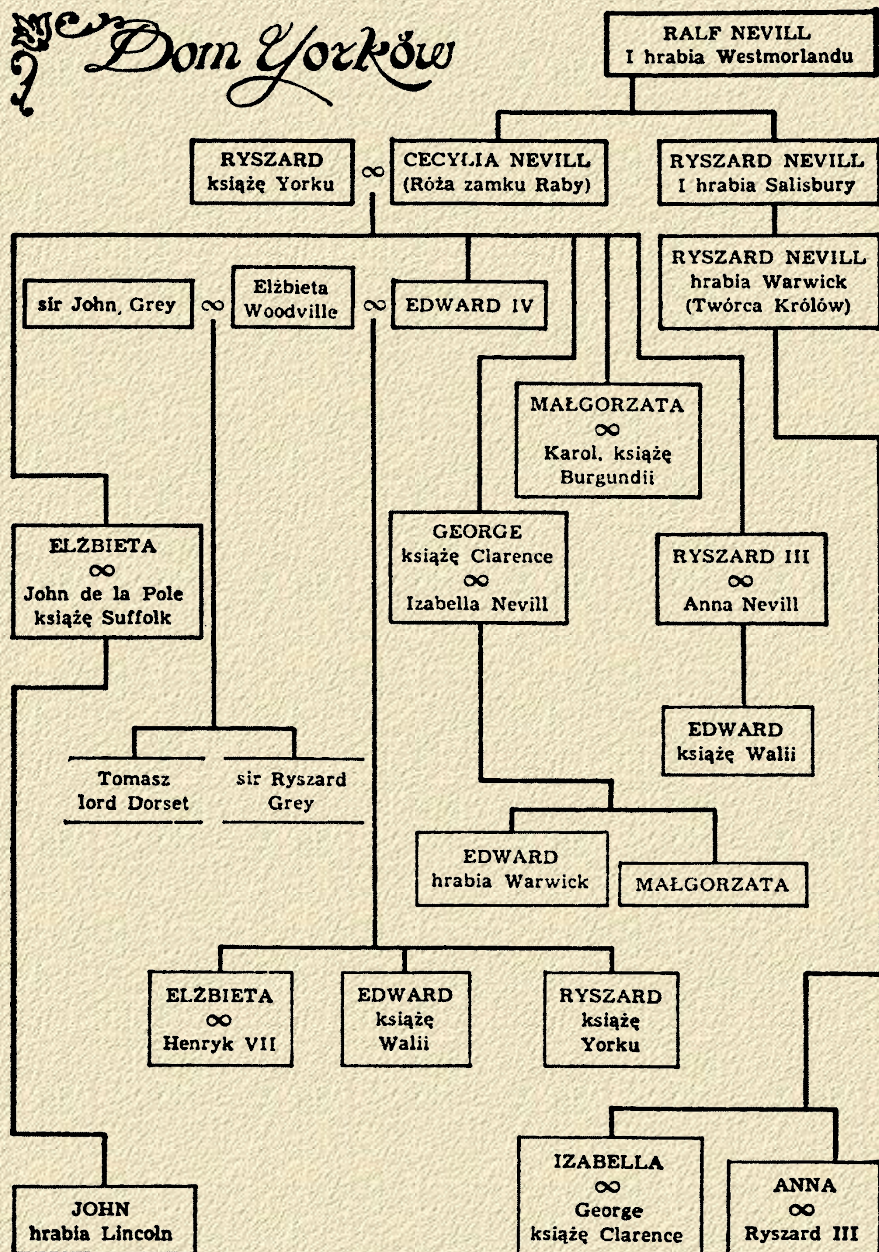
- Kto?

- Ich podły wuj, Ryszard III. Ale w chorobie nie trzeba myśleć o takich sprawach. Powinien pan sobie poczytać coś miłego i pogodnego.

- Bardzo pani spieszo do domu, Tink, czy może mi pani załatwić coś na St. Martin's Lane?

- Owszem, mam dużo czasu. To do panny Hallard? Ale jej teraz nie będzie

Dom Yorków



w teatrze. Nie wcześniej jak o szóstej.

- Wiem. Tam można zostawić kartkę, to jej oddadzą, jak przyjdzie.

Sięgnął po notes i ołówek i napisał:

Błagam Cię na wszystko, znajdź mi gdzieś „Dzieje Ryszarda III” Tomasza More’a.

Wyrwał kartkę, złożył ją i napisał na wierzchu nazwisko Marty.

- Może to pani zostawić u starego Saxtona, portiera przy wejściu dla artystów. On jej odda.

- Byle mi się udało tam precyzyjnie, takie kolejki stoją do kasy - mruknęła pani Tinker i dla wyjaśnienia dodała: - Grają to i grają bez końca.

Złożoną karteczkę wsunęła do swojej podniszczonej torebki z plastyku imitującego skórę, która tak samo jak kapelusz zdawała się stanowić część pani Tinker. Na każdą Gwiazdkę Grant obdarowywał ją nową torebką - zawsze była to solidna, skórzana torba, z jakich słynie Anglia, tak elegancka i tak starannie wykonana, że Marta Hallard mogłaby się z nią wybrać na wytworny lunch do „Blague”. Ale od chwili wręczenia daru Grant nie widział go więcej. Ponieważ w przekonaniu pani Tinker wejść do komisji byłoby hańbą większą niż zawędrować do więzienia, Grant nie posądzał jej o opylanie jego prezentów. Przypuszczał, raczej, że torebki leżą sobie bezpiecznie w jakiejś szufladzie, wciąż jeszcze w tych samych bibułkach, w jakie je owinięto w sklepie. Może czasem wyciąga je, żeby komuś pokazać albo ot, tylko nacieszyć się ich posiadaniem. Może wystarcza jej do szczęścia sama świadomość, że je ma, tak jak komuś innemu „to wszystko, w co ubierzecie mnie do trumny”. W każdym razie postanowił na następne Boże Narodzenie otworzyć tę jej odwieczną torbę do wszystkiego i wsunąć w boczną przegródkę odpowiednią sumę. Przypuszczalnie pani Tinker wyda ją na jakieś nieważne głupstwa i w końcu nie będzie nawet wiedziała na co, ale może pewna ilość drobnych przyjemności rozsianych jak cekiny na szarzyźnie codziennych dni okaże się ostatecznie więcej warta niż teoretyczna satysfakcja z posiadania kolekcji pięknych przedmiotów na dnie szuflady.

Kiedy odeszła ze skrzypieniem bucików i chrzęstem fiszbinów gorsetu, powrócił do swego Tannera i próbował podobnie jak on zainteresować się ludzkością dla własnego dobra. Ale stwierdził, że to bardzo trudne. Ani sam ze siebie, ani z racji swego zawodu nie interesował się ludzkością jako taką. Zawsze miał zacięcie do indywidualnego traktowania ludzi. Brnął przez statystyki pana Tannera marząc o królu w konarach dębu, o miotle pogardliwie przywiązanej na szczycie masztu czy o szkockim góralu, który w czasie ataku uczepony kawaleryjskiego strzemięcia dotrze szybciej do

wroga¹. Wreszcie z przyjemnością dowiedział się, że Anglik piętnastowieczny „pił wodę tylko dla pokuty”. O angielskim wieśniaku z czasów Plantagenetów z podziwem opowiadano na kontynencie. Pan Tanrier cytował współczesnego Anglika piszącego we Francji²:

Król Francji nie pozwala nikomu spożywać soli, prócz tej, którą zakupiono u niego po jego własnej, narzuconej cenie. Wojsko nie płaci za nic, a jeśli jest niezadowolone, traktuje ludność po barbarzyńsku. Każdy właściciel winnicy musi oddawać królowi ćwierć zbiorów. Wszystkie miasta płacą królowi corocznie wielkie sumy na wojsko. Wieśniak żyje w znoju i biedzie. Nie nosi wełnianej odzieży. Odzież jego składa się z krótkiego kaftana ze zgrzebnego płótna i spodni tylko do kolan, tak że nogi ma nie okryte i nagie. Kobiety chodzą boso. Ludzie nie jedzą mięsa oprócz kawałka słoniny w zupie. Nawet i szlachta nie o wiele lepiej żyje. Ci, na których złożono skargę, badani są na osobności i częstokroć ślad po nich ginie.

W Anglii zaś jest inaczej. Nikt nie może wejść do cudzego domu bez zezwolenia właściciela. Król nie może sam nakładać podatków, zmieniać praw ani stanowić nowych. Anglik wodę pije tylko dla pokuty. Jada różne mięsiwa i ryby. Odziany jest od stóp do głów w dobre wełny i posiada wiele rozmaitego dobytku. Anglik nie może być sądzony inaczej jak przez miejscowego sędziego.

A co więcej, pomyślał sobie Grant, jeśli w owych czasach ktoś miał kłopoty finansowe, wtedy gdy na przykład chciał pojechać, by zobaczyć swego pierwszego wnuka, to ogromnie pocieszająca musiała być dla niego świadomość, że w każdym bogobojnym domu czeka na wędrowca nocleg i strawa, że wcale nie musi się martwić, skąd zdobyć pieniądze na bilet.

Ta zielona Anglia, o której wczoraj rozmyślał zasypiając, miała wiele cech pozytywnych.

Przerzucał kartki szukając pod koniec piętnastego wieku spraw bardziej osobistych, jakichś opisów indywidualnych, które samą żywością narracji mogłyby mu rozjaśnić pewne miejsca tak, jak reflektor uwypukla jedną część sceny. Zdaniem Tannera parlament za panowania Ryszarda III był - choć raz tylko się zebrał - najbardziej liberalny i postępowy ze wszystkich, jakie go poprzedzały; zaś uczony autor wyrażał tylko żal, że prywatne zbrodnie monarchy stoją w takiej sprzeczności z jego wyraźnym dążeniem

¹ Mowa o Karolu XI Stuarcie, ukrywającym się przed wojskami Cromwella, o pogroźkach holenderskiego admirała Van Trompa, że wymiecie Anglików ze wszystkich mórz, oraz o pułku szkockiej piechoty w czasie bitwy pod Waterloo.

² Sir John Fortescue - wykształcony prawnik związany z Domem Lancastrów, który przez 10 lat przebywał we Francji wraz z dworem królowej Małgorzaty.

do powszechnego dobra. I nic już więcej nie miał pan Tanner do powiedzenia na temat Ryszarda III. Gdyby Pastonowie nie wiedli swych nieśmiertelnych pogaduszek, to w całym tym wielkim dziele o ludzkości zupełnie zabrakłoby istot ludzkich.

Grant pozwolił, żeby tomisko zsunęło się na kołdrę. Chwilę macał ręką, aż wreszcie znalazł „Różę zamku Raby”.





ROZDZIAŁ 5

„Róża zamku Raby” okazała się powieścią, ale przynajmniej łatwiej ją było trzymać niż „Historię ustroju Anglii” Tannera. Był to rodzaj rozbudowanej powieści historycznej, którą można by nazwać historia plus dialogi. Raczej pełna fantazji biografia niż opowieść całkowicie zmyślona. Nie znana mu autorka, Evelyn Payne-Ellis, opatrzyła książkę portretami i drzewem genealogicznym, a co ważniejsze, nie próbowała żadnych archaizacji na siłę. Całość na swój sposób uczciwa i rzeczowa.

A co ważniejsze, więcej się stąd dowiedział niż z Tannera.

O wiele więcej.

Od dawna zresztą Grant był zdania, że kiedy nie można się niczego dowiedzieć o jakimś człowieku, wtedy najlepiej wyrobić sobie o nim ogólne zdanie dowiadując się wszystkiego o jego matce.

I dlatego dopóki Marta nie dostarczy mu tego, co czcigodny i nieomylny sir Tomasz More miał do powiedzenia o Ryszardzie, bardzo chętnie zajmie się tymczasem Cecylią Nevill, księżną Yorku.

Spojrzał na ich drzewo genealogiczne i pomyślał, że tak jak obaj bracia, Edward i Ryszard, jedyni spośród królów angielskich, doświadczyli zwykłej ludzkiej egzystencji, tak też nie było chyba w Anglii innego władcy, który by mógł się pochwalić równie stuprocentową angielskością. Czytał z uznaniem nazwiska ich przodków: Nevill, Fitzalan, Percy, Holland, Mortimer, Clifford i Audley, nie mówiąc o Plantagenetach. Królowa Elżbieta też stale się tym szczyciła, że miała tylko angielskich przodków, oczywiście o ile dodatek krwi walijskiej uznamy także za angielski. Ale pośród wszystkich królów-mieszkańców, którzy zasiadali na tym tronie od bitwy pod Hastings w 1066 aż do dziewiętnastego wieku - królów pochodzenia francuskiego, pół hiszpańskiego, pół duńskiego, pół holenderskiego, pół portugalskiego - Edward IV i Ryszard III wyróżniali się tym, że byli tak zupełnie swojscy, bez jednej kropli obcej krwi.

Zauważył także, że zarówno po mieczu, jak i po kądzieli mieli wśród swych przodków koronowane głowy.

Dziadkiem Cecylii Nevill był John z Gandawy, pierwszy z Lancastrów. trzeci syn Edwarda III. Obu dziadkami jej męża byli dwaj inni synowie Edwarda III. Tak więc trzech z pięciu synów tego władcy przyczynili się do spłodzenia dwóch młodych Yorków.

Pochodzić z rodu Nevillów - pisała Evelyn Payne-Ellis - znaczyło być kimś ważnym, byli bowiem wielkimi posiadaczami ziemskimi. Pochodzić z rodu Nevillów znaczyło prawie na pewno być przystojnym, ponieważ była to dorodna rodzina. Pochodzić z rodu Nevillów znaczyło być kimś niepospolicym, bo odznaczali się zarówno charakterem, jak i odwagą. Wszystkie te trzy przymioty Nevillów, i to w najwyższym stopniu, łączyła w sobie Cecylia Nevill, znana jako jedyna Róża Północy o wiele wcześniej niż północna Anglia musiała opowiedzieć się za Różą Białą lub Czerwoną.

Zdaniem autorki związek małżeński Cecylii z Ryszardem Plantagenetem, księciem Yorku, był małżeństwem z miłości. Grant przyjął to twierdzenie ze sceptycyzmem, który graniczył z podkpiwaniem aż do chwili, gdy przeczytał, co wynikało z tego związku. Fakt, że co roku rodzinie przybywał nowy potomek, nie oznaczał w piętnastym wieku niczego więcej prócz płodności, toteż duża gromadka, jaką Cecylia Nevill obdarzyła swego czarującego męża, nie dowodziła jeszcze miłości, a tylko trwałego współżycia. Ale w czasach, kiedy rolą żony było pozostawać potulnie w domu i tu odbywać kolejne porody, stałe podróżowanie Cecylii Nevill wraz z małżonkiem wyglądało niewątpliwie dość niezwykle i musiało dowodzić, że dobrze im było ze sobą. Jak dalekie i jak częste były te podróże, świadczyły zresztą kolejne miejsca urodzin kolejnych dzieci: Anna, najstarsza, przysła na świat w Fotheringhay, rodowej siedzibie w hrabstwie Northampton; Henryk, zmarły w niemowlęctwie, w Hatfield; Edward w Rouen, gdzie księcia trzymała wojna; Edmund i Elżbieta także w Rouen; Małgorzata w Fotheringhay; John, który zmarł w dzieciństwie, w Neath w Walii; George w Dublinie (czy możliwe, zastanawiał się Grant, żeby miejsce urodzenia było powodem tej niemal irlandzkiej przewrotności nieobliczalnego księcia?). Ryszard urodził się w Fotheringhay.

Cecylia Nevill nie siedziała w domu w Northamptonshire w oczekiwaniu, kiedy panu małżonkowi przyjdzie ochota ją odwiedzić. Towarzyszyła mu wszędzie tam, gdzie go losy rzuciły. Dużo więc przemawiało za tym, że teoria autorki jest słuszna. Wedle najbardziej nawet ostrożnych sądów, byli chyba zdecydowanie udanym małżeństwem.

I przypuszczalnie to rodzinne przywiązanie tłumaczyło ową serdeczność codziennych wizyt Edwarda u małych braci mieszkających w domu Pastonów. Yorkowie, zanim nastały dla nich ciężkie czasy, byli zżyci i bliscy sobie.

Potwierdził mu to niespodziewanie list, na jaki natknął się przerzucając kartki książki. Był to list od obu starszych chłopców, Edwarda i Edmunda, do ojca. Przebywali wtedy na zamku Ludlow, gdzie pobierali nauki, a w

którą sobotę wielkanocną, korzystając z powrotu wysłańca, wybuchnęli gwałtownym protestem przeciw swemu preceptorowi, że „taki przebrzydły”, i prosili ojca, by wysłuchał opowieści rzeczzonego Williama Smytha, któremu dokładnie i szczegółowo wyliczyli swoje udręki. To SOS było poprzedzone i zakończone pełnymi szacunku formułami grzecznościowymi, których sztywną powagę psuły trochę dziecinne podziękowania za przyslaną odzież i przypomnienie o zapomnianym brewiarzu.

Skrupulatna autorka opatrzyła ów list odnośnikiem, gdzie się przechował (okazało się, że w jednym z manuskryptów Cottonów), a Grant powoli przerzucał kartki szukając dalszych listów. Konkretnie dowody są dla policjanta najważniejsze.

Nie znalazł ich więcej, ale natknął się na opis sceny rodzinnej, który go zainteresował.

Księżna wyszła na dwór, w ostre grudniowe słońce poranka, i stała na stopniach swej londyńskiej siedziby patrząc, jak odjeżdżają: jej mąż, brat i syn. Dirk z siostrzeńcami wyprowadzili wierzchowce na dziedziniec zamkowy płosząc drepzczące po kamieniach gołębie i jazgotliwe wróble. Patrzyła na męża, gdy wsiadał na konia, spokojny i rozważny jak zawsze, i przemknęło jej przez myśl, że wygląda tak mało przejęty, jakby jechał do Fotheringhay obejrzeć nowe stada owiec, a nie na wyprawę wojenną. Jej brat Salisbury jako pełen temperamentu Nevill świadomy był ważności chwili i wiedziała, że krew w nim gra. Patrząc na nich obu uśmiechała się w duchu. Ale widok Edmunda, zarumienionego z dumy, podnieconego tym, że wyrusza na pierwszą wyprawę, chwycił ją za serce. Siedemnastolatek, taki smukły, taki niedoświadczony - a przed nim tyle niebezpieczeństw. Jakże chciała szepnąć mężowi: „opiekuj się Edmundem”, ale milczała. Mąż by nie zrozumiał, a Edmund, gdyby się domyślił, byłby wściekły. Jeżeli w tym samym czasie Edward, zaledwie o rok starszy, może dowodzić własną armią na pograniczu Walii, to chyba on, Edmund, jest dość duży, aby pokosztować wojny z bliska.

Spojrzała przez ramię na trójkę młodszych dzieci, które wyszły też i stały za nią: Małgorzata i George, oboje mocno zbudowani i jasnowłosi, a za nimi, jak zwykle o jeden krok z tyłu, jej malutki odmieniec, Ryszard. Przez te ciemne brwi i ciemną czuprynę wygląda niemal jak gość. Dobroduszna, rozczochrana czternastoletnia Małgorzata patrzy podniecona z oczami pełnymi łez, a George z dławiącą zazdrością i buntem, że w takiej chwili on, jedenastolatek, musi pozostać, że jest niczym. Mały, drobniutki Ryszard nie pokazuje po sobie żadnego wrażenia, ale matka wie, że wewnątrz cały aż wibruje.

W brzęku rynsztunku, w łoskocie kopyt ślizgających się na kamieniach trzech jeźdźcy opuścili dziedziniec zamku, by dołączyć do drużyny czekającej na drodze; dzieciaki służby wołały i podskakiwały, i machały za nimi, aż znikli za bramą.

Księżna zaś, choć już w życiu widziała tylu mężczyzn, tylu bliskich i krewnych wyruszających na wojnę, weszła do domu niezwykle przygnębiona. Jakiś wewnętrzny głos, którego nie mogła stłumić, pytał wciąż: który to z nich, który nie wróci już nigdy?

Ale jej wyobraźnia nie dopuszczała nawet koszmarnego przeczucia, że żaden nie wróci. Że nie zobaczy już nigdy żadnego z nich. Że zanim rok dobiegnie końca, wbita na pal głowa jej męża szyderczo ozdobiona papierową koroną zawisnie nad Micklegate Bar w Yorku, a głowy jej brata i syna nad obu sąsiednimi bramami.

No tak, to wszystko może być zmyślane, jak to w powieści, ale ciekawy jest ten wizerunek Ryszarda. Jedyne ciemne w całej jasnowłosej rodzinie. Jedyne, który wyglądał „niemal jak gość”. „Odmieniec”.

Na chwilę przestał zajmować się Cecylią Nevill, a zaczął szukać w książce innych wzmianek o Ryszardzie. Ale autorka nie interesowała się nim zbyt. Dla niej był tylko najmłodszym dzieckiem na szarym końcu licznej rodziny. Wspaniały młody olbrzym, najstarszy z braci, musiał być o wiele bardziej w jej guście. Edward wyraźnie się wybijał. Wraz z Warwickiem, kuzynem z rodu Nevillów, synem Salisbury’ego, wygrał bitwę pod Towton i mimo że świeża była pamięć lancasterskich okrucieństw, mimo że ojcowska głowa wciąż jeszcze tkwiła przybita nad Micklegate Bar, okazał przeciwnikom po raz pierwszy tę wyrozumiałość, która miała stać się jego cechą charakterystyczną. Pod Towton oszczędzono wszystkich, którzy się poddali. Ukoronowany został w Opactwie Westminsterskim (obaj młodszy chłopcy po powrocie z wygnania w Utrechcie otrzymali tytuły: książę Clarence i książę Gloucester). Młody król z wielkim przepychem pochował ojca i brata Edmunda w kościele w Fotheringhay (choć to Ryszard, zaledwie trzynastoletni, przez pięć długich słonecznych lipcowych dni wiódł tę smutną procesję z Yorkshire do Northamptonshire). Prawie sześć lat minęło od tamtego dnia, kiedy stał na schodach zamku Baynarda w Londynie i patrzył na odjeżdżających.

Dopiero w pewien czas po tym, jak Edward został królem, Evelyn Payne-Ellis pozwoliła Ryszardowi znowu pojawić się na kartach książki. Pobierał wtedy nauki wraz ze swymi kuzynami z rodu Nevillów na zamku Middleham w Yorkshire.

Kiedy Ryszard z szerokiej pełnej wiatru i słońca równiny Wensleydale

wjechał w cień bramy wjazdowej, wyczuł od razu ogólne poruszenie: wartownicy zgrupowani przy bramie rozmawiali głośno i w podnieceniu, a na jego widok spieszyli się wyraźnie. Minął nagle zamkniętych i wjechał na dziedzińiec zamkowy zupełnie opustoszały, choć zazwyczaj o tej porze dnia bywało tu pełno gwaru i krzątany. Zbliżał się przecież czas wieczery, gdy wszystkich mieszkańców Middleham czy to głód, czy przyzwyczajenie sprowadzało - tak samo jak jego teraz po polowaniu z sokołami - na wieczorny posiłek. Cisza i pustka na dziedzińcu były niezwykle. Zaprowadził konia do stajni, ale i tam nie znalazł nikogo, komu by mógł go oddać. Gdy ściągał siodło, zobaczył w sąsiedniej przegrodzie jakiegoś zdrożonego wierzchowca. Ten koń nie pochodził z Middleham; był tak zmęczony, że nawet nie chciał jeść, tylko stał z nisko zwieszoną głową.

Ryszard wytarł swego konia do sucha, okrył go derką, potem przyniósł mu siana i świeżej wody. Rozmyślał o tym prawie zajeżdżonym koniu i niesamowitej ciszy dokoła. W drzwiach wejściowych przystanął usłyszawszy głosy dochodzące z wielkiej sali; zastanawiał się, czy wpierw tam dowiedzieć się, o co chodzi, czy może pójść do siebie na górę. Kiedy tak się wahał, nad nim na schodach ktoś cicho psyknął:

- Psst!

Spojrzał: nad poręczą widać było głowę Anny, a jej dwa długie blond warkocze zwisały w dół jak sznury z dzwonnicy.

- Ryszard! - usłyszał, choć mówiła prawie szeptem. - Wiesz już?

- Co się stało? Coś złego?

Łapała go za rękę i pociągnęła za sobą w stronę ich szkolnej izby na poddaszu.

- Ale o co chodzi? - dopytywał się zdumiony gwałtownością kuzynki. - Co się stało? Czy coś takiego okropnego, że nie możesz mi powiedzieć?

Wciągnęła go do pokoju i zamknęła drzwi.

- To Edward!

- Co Edward? Zachorował?

- Nie, skandal!

- Och - odetchnął Ryszard z ulgą. Skandal tak często kojarzył się z imieniem Edwarda. - Co to takiego tym razem? Ma nową kochankę?

- Gorzej! O wiele gorzej! Ożenił się!

- Ożenił? - powtórzył Ryszard spokojnie, jako że nie uwierzył w to wcale. - Nie mógł się ożenić.

- Ale się ożenił. Godzinę temu przyszła wiadomość z Londynu.

- Nie mógł się ożenić - upierał się Ryszard. - Małżeństwo króla to długa historia. Mnóstwo kontraktów i układów. Nawet i parlament ma chyba coś do gadania. Dlaczego myślisz, że się, ożenił?

- Nie myślę - odparła tracąc już cierpliwość przez ten brak reakcji na taką

salwę burtową. - Tam w wielkiej sali cała rodzina wścieka się z tego powodu.

- Anno! Podśluchiwałaś pod drzwiami?

- Och, nie bądź taki zgorszony! Nie musiałam zresztą zbytnio się wysilać. Słysząc ich aż na tamtym brzegu rzeki. Ożenił się z lady Gray.

- Co to za lady Gray? Przecież nie lady Gray z Groby!

- Właśnie że tak.

- Ależ to niemożliwe! Ona ma dwoje dzieci i jest całkiem stara.

- Jest o pięć lat starsza od Edwarda, a do tego cudownie piękna, tyle usłyszałam.

- Kiedy to się stało?

- Są małżeństwem od pięciu miesięcy. Pobrali się w tajemnicy gdzieś w hrabstwie Northampton.

- A ja myślałam, że on ma się żenić z siostrą króla Francji.

- Tak samo - powiedziała znacząco dziewczyna - myślał mój ojciec.

- Ależ to go postawi w okropnie głupiej sytuacji wobec Francji, po takich długich negocjacjach.

- Sądząc z tego, co mówi ten wysłannik z Londynu, to ojciec po prostu wpadł w szal. Nie tylko dlatego, że wyszedł na durnia. Ale okazuje się, że ona ma hordy krewniaków, których ojciec nienawidzi.

- Edwarda musiało coś opętać!

W oczach Ryszarda wszystko, co robił uwielbiany brat-ideał, było słuszne. Wobec tego to szaleństwo, niezaprzeczone, niewybaczalne szaleństwo musiało być wynikiem opętania.

- Matka tego nie przeboleje - dodał jeszcze myśląc o tym, jak nieustraszona była ich matka, kiedy zginęli ojciec i Edmund, a wojska lancasterskie podchodziły już prawie pod bramy Londynu. Nie płakała wtedy, nie użalała się nad własną stratą. Zakrzętała się, by on i George wyjechali do Utrechtu całkiem tak, jakby wysyłała synów do szkół. Nie było wiadomo, czy zobaczą się jeszcze w życiu, ale ona spokojnie, bez łez, pilnowała, by mieli ciepłą odzież na drogę w czasie zimowej przeprawy przez Kanał.

- Jak teraz zniesie ten nowy cios? To niebezpieczne szaleństwo?

- Tak, biedna ciotka Cecylia. - W głosie Anny brzmiało współczucie. - Że też Edward mógł tak okropnie wszystkich zmartwić! To potworne!

Ale w oczach Ryszarda Edward wciąż jeszcze nie mógł być winny. Jeżeli zrobił coś złego, to widać musiał być chory albo opętany, albo ktoś rzucił nań urok. Edward mógł liczyć na lojalność Ryszarda - całkowitą, niezachwianą lojalność.

I nigdy w późniejszych latach ta lojalność - dorosła już, oparta na zrozumieniu - nie została zachwiana.

Potem ciągnęła się opowieść, jak zniosła ten cios Cecylia Nevill, jak

próbowała doprowadzić znowu do porozumienia pomiędzy swoim synem Edwardem, właściwie zadowolonym z tego, co zrobił, a bratankiem, Warwickiem, naprawdę wściekłym. Następował też opis owej nieugiętej cnotliwej piękności o sławnych złocistych włosach, która zwyciężyła tam, gdzie bardziej uległe ślicznotki przegrywały; o jej koronacji, o jej ogłoszeniu królową w opactwie Reading (gdzie ku tronowi prowadził ją Warwick, milczeniem okazujący dezaprobatę. On widział przede wszystkim ogromną ilość Woodville'ów, przybyłych, by oglądać, jak ich siostra Ellzbieta ogłoszona zostaje królową Anglii).

Następne ukazanie się Ryszarda w tej powieści to moment, gdy odpływał z Lynn bez grosza w kieszeni, na holenderskim statku, który akurat zastali w porcie. Wraz z nim był jego brat Edward, przyjaciel Edwarda, lord Hastings, i kilku zaufanych dworzan. Każdy z nich miał tylko to, co na grzbiecie, i po dłuższych targach kapitan statku zgodził się przyjąć podbity futrem płaszcz Edwarda jako zapłatę za przejazd.

Doszło do tego, bo w końcu Warwick uznał, że ma już dość klanu Woodville'ów. Tak jak pomógł osadzić swego kuzyna Edwarda na tronie angielskim, tak - równie łatwo - potrafi go stamtąd usunąć. W osiągnięciu tego mógł liczyć na cały ród Nevillów a także, choć trudno w to uwierzyć, na pomoc nieobliczalnego George'a Ten bowiem zdecydował, że bardziej mu się opłaca zostać dziedzicem połowy włości Montague'ów, Nevillów i Beauchampów, poprzez małżeństwo z Izabellą, starszą córką Warwicka, niż wytrwać lojalnie przy bracie-królu. W ciągu jedenastu dni Warwick zaskoczeniem opanował Anglię, a Edward i Ryszard brnęli błotnistymi, jak to w październiku, drogami z Alkmaar do Hagi.

Od tej chwili Ryszard był już zawsze w pobliżu brata. W czasie owej ponurej zimy w Brugii. Potem u Małgorzaty w Burgundii, bo ta sama jasnowłosa zapłakana Małgorzata, która patrzyła wraz z nim i z George'em ze stopni zamku Baynarda, kiedy ojciec odjeżdżał na wojnę, została niedawno księżną Burgundii. Małgorzata, ich droga Małgorzata, zmartwiona i oburzona bezmyślnym, bezprzykładnym postępowaniem Clarence'a, zabrała się do nawracania go, nie poprzestała na zdobyciu pieniędzy dla swych pozostałych, więcej wartych braci.

Nawet żywe zainteresowanie autorki wspaniałym Edwardem nie zdołało przesłonić faktu, że cały trud wyposażenia okrętów wynajętych za pieniądze Małgorzaty spoczął na barkach Ryszarda, który miał wtedy niespełna osiemnaście lat. A kiedy Edward, ze śmiesznie małą garstką ludzi obozujący znowu na jakimś angielskim pastwisku, miał naprzeciw Clarence'a na czele armii - to właśnie Ryszard udał się do obozu brata i skłonił go, urobionego już przez Małgorzatę, do porozumienia, co otworzyło Edwardowi drogę na Londyn.

Co prawda to ostatnie nie było trudnym zadaniem. George'a najwyraźniej dało się do wszystkiego namówić. Był urodzony do tego, by go nawracano.





ROZDZIAŁ 6

Nie wyczerpał jeszcze wszystkich zdroźnych rozkoszy beletrystyki pod postacią „Róży zamku Raby”, gdy następnego ranka około jedenastej doręczono mu paczkę od Marty, zawierającą bardziej godny obiekt, a mianowicie historię sir Tomasza More’a.

Oprócz książki był i list pisany zamaszystym charakterem Marty na jej sztywnym wytwornym papierze listowym.

Posyłam, bo niestety nie mogę sama wpaść. Okropnie jestem zajęta. Zdaje się, że M. M. połknęła haczyk re Blessington. Żadnego Tomasza M. nie mają w księgarniach, więc spróbowałam w Wypożyczalni Publicznej. Że też nikomu do głowy nigdy nie przyjdzie Wyp. Publ. Może to ze strachu, że książki będą lepkie od brudu. Ta wygląda całkiem czysto i nie lepi się wcale. Dostałeś czternaście dni. Brzmi jak wyrok raczej, a nie termin zwrotu. Czy to zainteresowanie garbusem oznacza, że mniej cierpisz z nudów? Wpadnę niedługo.

Marta

Książka rzeczywiście była czysta, nie lepka, może tylko trochę starawa. Ale po lekkiej lekturze „Róży” wydawała się mało interesująca, a nabite akapity bez dialogów nie kusily oka. Mimo to zabrał się do niej z ciekawością. Bądź co bądź było to, jeżeli idzie o Ryszarda III, „samo źródło”.

Po godzinie wychynął z niego na powierzchnię z lekka zaniepokojony, trochę nieswój. I raczej nie treść go zdziwiła, bo fakty były właściwie takie, jakich się spodziewał. Nie tak wyobrażał sobie sposób pisania sir Tomasza.

Noc marny mu przynosiła spoczynek, leżał długo bezsenny i zamyślony, umęczony troską i czujnością, drzemał raczej, niż spał. I jego skołatane serce wciąż od nowa tłukło się, nie mogąc zapomnieć i przegnać męczącej zmyry tego najohydniejszego z czynów.

W porządku. Ale kiedy po tym następowała uwaga: „Wiem to od tych, co mieli dostęp do jego łożnicy”, wtedy poczuł wyraźnie, że go to odrzuca. Owiąła go atmosfera plotek z kuchennych schodów i szeptów podglądających fagasów. I bezwiednie sympatia przechylała się od tego, kto to opowiadał, ku udręczonej postaci miotającej się na swym łożu. Morderca wydał się raptem kimś większej skali niż ten, kto o nim pisał.

A to przecież nieprawda.

Grant znał to uczucie, miewał je niejednokrotnie, gdy słuchając gładko składanych zeznań świadka czuł, że gdzieś tu jest coś nie w porządku.

To naprawdę bardzo tajemnicze. Co mogło być nie w porządku w osobistej relacji człowieka tak od czterystu lat czczonego za swą nieskazitelną, jak Tomasz More?

Wprawdzie Ryszarda wyłaniającego się z tego opisu, pomyślał Grant, siostra przełożona łatwo by rozpoznała: człowiek nerwowy, zdolny do wielkiej zbrodni i do wielkiego cierpienia.

Nigdy nie był w duszy spokojny, nigdy nie czuł się bezpieczny. Wzrok jego błędził wkoło, zawsze pod szatami nosił pancerz, rękę bez przerwy trzymał na sztylcie, a z twarzy i zachowania znać było, że w każdej chwili gotów znowu uderzyć.

I oczywiście była tu dramatyczna, niemalże historyczna scena, którą Grant przypominał sobie ze szkolnych czasów, którą chyba każdy uczeń najlepiej pamiętał. Scena narady na zamku, w Tower, nim jeszcze Ryszard sięgnął po koronę. Jego nagłe pytanie rzucone Hastingsowi, na co zasługuje człowiek knujący spisek na życie Protektora Królestwa. Obląkany zarzut, że żona Edwarda i jego kochanka, Jane Shore, swymi czarami spowodowały uschnięcie ręki Ryszarda. Potem, w pasji, uderzenie w stół, które okazuje się znakiem dla uzbrojonych sług, ci wpadają, by pojmać lorda Hastingsa, lorda Stanleya i Johna Mortona, biskupa z Ely. I jeszcze opis, jak Hastingsa ciągną na dziedziniec i tam ścinają mu głowę na jakimś pniaku, pozwoliwszy zaledwie, by wypowiedział go pierwszy znaleziony w pośpiechu ksiądz.

To niewątpliwie był człowiek, który wpierw działał - z wściekłości, ze strachu, z zemsty - a później pokutował.

Ale dalej okazywało się, że jest zdolny do jeszcze większych niegodziwości. Otóż za jego sprawą 22 czerwca niejaki ksiądz Shaw, brat burmistrza Londynu, wygłosił przy krzyżu koło kościoła Świętego Pawła kazanie biorąc za temat werset „Nieprawe pędy nie zapuszczają korzeni”. W tym kazaniu ksiądz Shaw twierdził, że zarówno Edward, jak i George są synami księżny Yorku i jakiegoś nieznanego mężczyzny i że Ryszard jest jedynym legalnym synem pary książęcej.

Było to tak nieprawdopodobne, tak całkowicie absurdalne, że Grant zawrócił jeszcze raz i przeczytał cały ten ustęp. Ale tak właśnie było napisane. Że Ryszard dla własnych celów spotwarzył rodzoną matkę, publicznie oskarżając ją o wiarołomstwo.

No cóż, tak twierdził sir Tomasz More. A jeżeli ktoś może coś o tym

wiedzieć, to właśnie on. Kto jak kto, ale właśnie kanclerz Anglii wiedział, jakie wiarygodne fakty wybrać do przekazania.

Matka Ryszarda, wedle sir Tomasza, gorzko skarżyła się na tę synowską potwarz. Trudno jej się dziwić, pomyślał Grant.

Jeżeli zaś idzie o księdza Shaw, zmogły go wyrzuty sumienia. I to tak skutecznie, że „w przeciągu dni kilku szczęł i ducha wyzionął”.

Przypuszczalnie apopleksja, doszedł do wniosku Grant. Też nic dziwnego by w tym nie było. Musiało go niemało nerwów kosztować, żeby taką opowiestkę zasunąć londyńczykom.

To, co sir Tomasz More miał do powiedzenia o królewiczach w Tower, nie różniło się od wersji Amazonki, zawierało jedynie więcej szczegółów. Ryszard w rozmowie z Robertem Brackenburym, komendantem zamku, napomknął, że nieźle by było, gdyby obaj królewicze zniknęli, ale Brackenbury nie chciał mieć z tym nic wspólnego. Wobec tego Ryszard odczekał do momentu już po swojej koronacji, gdy w czasie podróży po Anglii zatrzymał się na zamku w Warwick i stamtąd do Londynu wysłał Tyrrela z rozkazami, by na jedną noc przekazano mu wszystkie klucze Tower. Owej nocy dwaj łotrzy, Dighton i Forrest - stajenny i wartownik - zadusili chłopców.

W tym momencie weszła Karliczka z lunchem i wyjęła mu z ręki książkę. Podczas gdy posłusznie zmiatał zapiekanek z talerza do ust, równocześnie przyglądał się uważnie twarzy oskarżonego. Tego wiernego i cierpliwego małego braciszka, który okazał się potworem.

Kiedy pielęgniarka wróciła po tacę, zapytała:

- Czy wie siostra, że Ryszard III był bardzo popularną osobistością w swoim czasie? To znaczy, zanim zasiadł na tronie.

Spojrzała ponuro na obrazek.

- Wiadomo, zmija hodowana za pazuchą. Gładki, układny, właśnie taki był. Tylko czekał okazji.

Jakiej okazji, zastanawiał się Grant, kiedy już jej kroki ucichły w korytarzu. Przecież nie mógł wiedzieć, że jego brat, Edward, umrze niespodziewanie mając zaledwie czterdzieści lat. Nie mógł przewidzieć, mimo naprawdę serdecznych i bliskich więzów w czasie wspólnie spędzonego dzieciństwa, że postępowanie George'a doprowadzi w końcu do wyjęcia go spod prawa i pozbawi jego dwoje dzieci praw do sukcesji. Cóż za sens czekać na okazję, kiedy nie ma na nią żadnych szans? Bratowa, cnotliwa piękność o złocistych włosach, okazała się podziwu godną królową - jeśli nie brać pod uwagę jej nieuleczalnego nepotyzmu - i obdarzyła Edwarda liczną gromadką dorodnych dzieci, wśród których byli dwaj chłopcy. Wszystkie one, wraz z George'em i jego dwójką, stały pomiędzy Ryszardem a tronem. Mało prawdopodobne, żeby człowiek

zajęty rządzeniem całą północną Anglią oraz poskramianiem, i to bardzo aktywnym, Szkotów mógł jeszcze pamiętać, że ma być gładki i układny.

Co więc zmieniło go tak gruntownie w tak szybkim czasie?

Grant sięgnął po „Różę zamku Raby”, żeby zobaczyć, co Evelyn Payne-Ellis ma do powiedzenia na temat tej nieszczęsnej metamorfozy najmłodszego syna Cecylii Nevill. Ale autorka zrezygnowała się sianem. Zależało jej, by książka była pogodna, a doprowadzić ją do logicznie słusznego zakończenia znaczyłoby napisać najczarniejszą, bo nie pomszczoną tragedię. Wobec tego dociągnęła opowieść do pięknego hucznego zakończenia, jakim był pierwszy bal młodej Elżbiety, najstarszej córki Edwarda. W ten sposób ominęło ją pisanie zarówno o tragicznym losie młodszych braci Elżbiety, jak też o kłęsce Ryszarda i jego śmierci.

Tak więc książka kończyła się przyjęciem w pałacu, na którym radosna, zarumieniona Elżbieta, śliczna w swej nowej białej sukni i z pierwszymi w życiu perłami na szyi, tańczy do zderzenia pantofelków, całkiem jak księżniczka z bajki. Ryszard i Anna, i ich słabowity mały synek przybyli na tę okazję. Ale ani George’a, ani Izabelli nie było. Izabella przed paroma laty zmarła w połogu w dość niewyraźnych okolicznościach, wcale zresztą przez męża nie opłakiwana, Clarence też zakończył życie tajemniczo, ale - z przewrotnością typową dla wszystkiego, co się go tyczyło - przez samą tajemniczość śmierci zyskał sobie trwałą sławę.

Całe jego życie było dążeniem od jednego nieprawdopodobnego wybryku do drugiego. Za każdym razem rodzina mówiła sobie: „No, tym razem to już szczyt szczytów! Nawet on nie wymyśli czegoś bardziej fantastycznego”. A za następnym razem znowu potrafił ich zadziwić. Jego możliwości pod tym względem były niewyczerpane.

Prawdopodobnie ziarno zostało zasiane już w czasie pierwszej zdrady, wspólnej z Warwickiem. Wtedy to teść, „Twórca Królów”, wyznaczył go następcą tronu po marionetkowym, obłąkanym Henryku VI, którego z powrotem osadził na tronie na złość kuzynowi Edwardowi IV.

Marzenia Warwicka, by zobaczyć swą córkę królową Anglii, i królewskie plany George’a spaliły jednak na panewce tamtej nocy, gdy Ryszard udał się do lancasterskiego obozu i namówił brata, by wrócił na stronę Edwarda. No tak, ale smak własnej ważności okazał się zbyt kuszący dla urodzonego łakomczucha. W następnych latach rodzina jeśli nie powstrzymywała go od jakiegoś kolejnego szaleństwa, to wyciągała go ze skutków poprzedniego.

Kiedy Izabella umarła, przyjął za pewnik, że została otruta przez jedną z dam dworu, a nowo narodzony syn przez drugą. Edward, uznając sprawę za tak ważną, że winna być rozpatrywana przez sąd w Londynie, wysłał akt oskarżenia po to tylko, by się przekonać, że wdowiec oddał już

niewiasty pod sąd miejscowy, złożony z własnych ludzi, i obie powiesił. Edward wściekły, chcąc dać bratu nauczkę, posłał dwóch jego dworzan pod sąd za zdradę; lecz ksiązę Clarence, zamiast zrozumieć przestrożę, oznajmił, że to było zwyczajne morderstwo pod płaszczykiem prawa, i wykrzykiwał o tym głośno i zupełnie bez szacunku dla osoby królewskiej.

Potem poślakomił się na najlepszą partię w Europie, którą był nie kto inny, a pasierbica jego siostry, młoda Maria Burgundzka. Pocziwa Małgorzata uważała wprawdzie, że to będzie bardzo miło mieć brata w Burgundii, ale Edward zobowiązał się poprzednio popierać starania matrymonialne Maksymiliana Austriackiego, a tu George wciąż stwarzał ogromnie niezręczne sytuacje.

Kiedy burgundzkie plany spełzły na niczym, rodzina odetchnęła z ulgą, łudząc się nadzieją, że będzie trochę spokoju. Ostatecznie Clarence władając połową olbrzymich włości Nevillów nie potrzebował żenić się powtórnie; miał przecież i dzieci, i fortunę. Ale jemu już marzyło się poślubienie siostry króla Szkocji.

W końcu jego *folie de grandeur* z tajnych negocjacji prowadzonych na własną rękę z obcymi dworami panującymi zmieniła się w wyraźne wyzwanie, gdy Lancastrowie aktem parlamentu ogłosili go następcą tronu po Henryku VI. To już nieuchronnie doprowadziło go przed oblicze Parlamentu, o wiele mniej łagodnego tym razem.

Proces upamiętnił się gwałtowną i płomienną kłótnią pomiędzy dwoma braćmi, Edwardem i George'em, ale kiedy - jak przewidywano - orzeczono wyjęcie spod prawa, nastąpiła przerwa. Pozbawić brata jego pozycji było jedną sprawą, wskazaną i bardzo potrzebną. Ale wykonać wyrok śmierci, to już co innego.

Kiedy dni mijały, a wyroku nie wykonywano, Izba Gmin przysłała ponaglenie. Następnego dnia obwieszczono, że George, ksiązę Clarence, zakończył życie w Tower.

„Utopił się w becze małmazji”, orzekł Londyn. Powiedzonko, będące filozoficznym ludowym komentarzem o tym, jak skończył pijak, przeszło do historii i Clarence'a, nie zasługującego na to wcale, uczyniło nieśmiertelnym.

Tak więc nie było go na owym przyjęciu w Westminsterze. Zresztą w tym ostatnim rozdziale autorka ukazuje Cecylię Nevill nie jako matkę synów, ale jako babkę dorodnej gromadki wnuków. Cóż stąd, że George umarł niesławnie na śmietniku zeschłych, wyświechtanych przyjaźni, skoro jego syn, młody Warwick, to udany rosły chłopak, a w małej dziesięcioletniej Małgorzacie już widać zadatki przysłowiowej urody Nevillów. Edmunda, poległego w boju siedemnastolatka, można by uważać za zbędną ofiarę - ale patrzcie, kto wyrósł z delikatnego maleństwa,

którego nie spodziewano się utrzymać na tym świecie, i w dodatku ma już syna, przedłużenie swego życia! Dwudziestoletni Ryszard wciąż jeszcze wygląda tak krucho, jakby go łatwo było złamać, choć naprawdę jest twardy jak wrzosowy korzeń, więc może jego słabowicie wyglądający syn też wyrośnie na równie odpornego mężczyznę. A co do Edwarda, jej jasnowłosego, wysokiego Edwarda, to choć jego wdzięk i uroda zmieniły się w rubaszne, ociężałe lenistwo, lecz jego dzieci - dwaj mali synowie i pięć córek - łączą w sobie talenty i piękność obu rodów.

Mogła patrzeć na tę gromadkę dzieci jako babka - z dumą, a jako księżna angielska - z poczuciem spokojnej pewności, że korona przez wiele pokoleń pozostanie przy linii Yorków.

I gdyby ktoś na tym przyjęciu spojrzawszy w kryształową kulę powiedział Cecylii Nevill, że nie minie cztery lata, a nie tylko linia Yorków, ale cała dynastia Plantagenetów skończy się na zawsze, zarzuciłaby mu, że jest chyba szaleńcem lub - zdrajcą.

Autorka nie próbowała natomiast przemilczać ogromnej ilości Woodville'ów obecnych na tym zebraniu Nevillów i Plantagenetów.

Rozejrzała się wokół i w głębi duszy pomyślała sobie, że lepiej by było, gdyby jej synową Elżbietę nie obdarowało albo mniej szczodrym sercem, albo nie tak liczną rodziną. Samo małżeństwo Edwarda okazało się szczęśliwsze, niż ktokolwiek przypuszczało. Elżbieta była doskonałą żoną, jedynie ci krewniacy, których wniosła w posagu, byli mniej udani. Chyba naprawdę opiekę nad chłopcami najlepiej było powierzyć jej najstarszemu bratu. Zresztą Rivers, choć może zanadto ambitny i w swym zamiłowaniu do przepychu trochę nouveau riche - był jednak niewątpliwie człowiekiem kulturalnym i doskonale nadawał się na opiekuna chłopców w okresie, gdy uczyli się na zamku Ludlow. Ale ta cała reszta: czterej bracia, siedem siostr i dwaj synowie z pierwszego małżeństwa! Było tego co najmniej o połowę za wiele jak na posąg wnoszony w małżeństwo.

Ponad śmiejącą się czeredą dzieci zajętych ciuciubabką wzrok Cecylii zatrzymał się na grupie dorosłych stojących przy stole nakrytym do wieczery. Anna Woodville wydana za syna hrabiego Essex, Eleonora Woodville wydana za syna hrabiego Kentu, Małgorzata Woodville wydana za syna hrabiego Arundel, Katarzyna Woodville za młodego księcia Buckingham, Jacqueline Woodville za lorda Strange, Mary Woodville za syna lorda Herberta. I jeszcze ich brat John Woodville, który bezwstydnie ożenił się z wdową po księciu Norfolk, tak starą, że mogłaby być jego babką. Dobrze, gdy nowa krew zasila stare rody - zawsze zresztą trochę jej dochodziło - ale źle, gdy się to dzieje tak nagle i tylko z jednego źródła. Ten obcy czynnik, trudny do asymilacji, podziałał jak gorączka na życie

polityczne kraju. Nieroztropne, godne pożałowania.

Ale cóż? Jest dość czasu, przez długie lata ta domieszka zdoła się zasymilować. Wtedy ta nowa siła w państwie nie będzie już tak skoncentrowana, rozprzestrzeni się, osiadzie, przestanie być niebezpieczna i wybuchowa.

Edward, choć taki dobroduszny, ma dużo zdrowego rozsądku; potrafi utrzymać nawę krajową na spokojnym kursie bez wstrząsów i wirów, tak jak to robi już prawie dwadzieścia lat. Nikt dotąd nie rządził Anglią równie despotycznie, a zarazem równie lekką ręką jak jej Edward, rozleniwiony kobieciarz.

W końcu wszystko będzie dobrze.

Już miała wstać i włączyć się do rozmowy o łakociach - nie powinni myśleć, że ich krytykuje albo że trzyma się na dystans - gdy nagle jej wnuczka Elżbieta wyrwała się z rozbawionej gromadki i z rozpędem rzuciła się na taboret koło księżny Cecylii.

- Za duża już jestem na takie zabawy - zdołała powiedzieć zziąjana - a jakie to niebezpieczne dla sukni! Jak się babci moja suknia podoba? Musiałam się namęczyć, żeby ojca na nią namówić. Twierdził, że ta z brązowej satyny wystarczy. Ta, którą dostałam, kiedy ciotka Małgorzata przyjechała do nas z Burgundii. Najgorsze, że ojciec zaraz dostrzega, co każda kobieta ma na sobie. Za dobrze zna się na niewieścich szatkach. Czy słyszała babcia, że Delfin mnie nie chce? Ojciec jest zły, ale ja się tak cieszę! Zaniośłam dziesięć świec świętej Katarzynie i wydałam na to wszystkie pieniądze, jakie miałam. Nie chcę wyjechać z Anglii. Nie chcę opuszczać Anglii na zawsze! Czy możesz mi w tym dopomóc, babciu?

Cecylia uśmiechnęła się i obiecała, że spróbuje.

- Stara Ankaret, ta, co umie wróżyć, powiada, że będę królową. Ale nie ma przecież żadnego królewicza, za którego bym mogła wyjść, więc nie wiem, jak to możliwe?

Umilkła, a potem dodała ciszej:

- Wyraźnie powiedziała „królową Anglii”. Ale pewnie była troszkę podpita, bo ona bardzo lubi grzane wino z korzeniami.

To nieuczciwe, nie mówiąc już, że artystycznie nie na miejscu ze strony autorki, tak napomykać o przyszłości Elżbiety jako żony Henryka VII, jeżeli nie miała zamiaru poruszyć wszystkich przykrych rzeczy, jakie w związku z tym muszą się zdarzyć. Zakładać zaś, że czytelnicy i tak wiedzą o tym, że Elżbieta poślubi pierwszego króla z dynastii Tudorów, oznaczałoby także, że wiedzą o zamordowaniu jej braci. I ten cień przypomnienia kładł się ciemną smugą na radosnej scenie kończącej książkę.

Ale w zasadzie, myślał Grant, sądząc z tych przeczytanych fragmentów,

ta powieść wyszła całkiem niezłe. Niewykluczone, że weźmie się jeszcze do niej i przeczyta całą.





ROZDZIAŁ 7

Tego wieczora Grant zgasił już lampę przy łóżku i prawie zasypiał, gdy nagle usłyszał najwyraźniej, jak jakiś wewnętrzny głos mu szeptem: „Ale Tomasz More to przecież Henryk VIII”.

Rozbudziło go to w jednej chwili. Znowu zaświecił lampę.

Słowa te, rzecz jasna, nie miały wcale znaczyć, że Tomasz More i Henryk VIII byli jedną i tą samą osobą, tylko że przy szufladkowaniu ludzi wedle panowania poszczególnych królów Tomasz More przypadał na rządy Henryka VIII.

Grant leżał na wznak, patrząc w jasną plamę na suficie; myślał, przypominał sobie i próbował to rozplątać, zrozumieć. Jeżeli Tomasz More był kanclerzem Henryka VIII, to znaczy, że musiał przeżyć przedtem całe długie panowanie Henryka VII, nie tylko panowanie Ryszarda III. Coś tu było nie w porządku.

Sięgnął po More'a „Historię Ryszarda III”. Zamiast przedmowy miała ona krótki życiorys autora, którego zresztą wcale nie pofatygował się przeczytać. Zabrał się do niego teraz, żeby wynaleźć, jakim sposobem More mógł być i historykiem Ryszarda III, i kanclerzem Henryka VIII. Ile miał lat, kiedy Ryszard wstąpił na tron?

Znalazł: pięć.

Gdy rozgrywała się ta dramatyczna scena w Tower, Tomasz More miał lat pięć. Miał ich osiem, kiedy król Ryszard zginął pod Bosworth.

Wszystko w tym dziele było powtarzaniem cudzych relacji.

A policjant najbardziej na świecie nienawidzi powoływania się na cudzą relację. Zwłaszcza wtedy, gdy potrzebne są dowody.

Był tak zbrzydzonej, że trzasnął czcigodną księgą o podłogę i dopiero po chwili przypomniał sobie, że to własność Biblioteki Publicznej, a on ma ją tylko z łaski i tylko na czternaście dni.

More wcale nie znał Ryszarda III. Dorastał w czasach Tudorów. Ta książka dla wszystkich historyków całego świata była ostateczną wyrocznią w sprawach Ryszarda III, to z niej Holinshed czerpał materiał do swojej historii, potem z niego brał wątki Szekspir, i - chociaż More niewątpliwie wierzył, że to, co pisze, jest prawdą - całość można określić mianem „jedna pani drugiej pani”. Święta prawda, widziana na własne oczy, tyle że przez kogoś innego. Z tego, że Tomasz More miał umysł krytyczny i był naprawdę wspaniałym człowiekiem, nie wynika wcale, że

jego historia może być uznana za źródło. Przecież wiele umysłów skądinąd wybitnych uwierzyło ongiś w pogłoski o rosyjskich wojskach maszerujących przez Anglię na pomoc Stuartom. Grant zbyt długo miał do czynienia z otrzymywanymi od ludzi informacjami, by móc uznać czyjeś zeznanie oparte na relacji osoby trzeciej, która przypominała sobie, co widziała, a także, co jej opowiadano.

Był zupełnie zniechęcony.

Przy pierwszej okazji musi zdobyć współczesny opis zdarzeń z okresu krótkich rządów Ryszarda. A Bibliotece Publicznej można zwrócić to dzieło już jutro. Niech się dadzą wypchać ze swoimi dwoma tygodniami! Fakt, że sir Tomasz More był wielkim myślicielem i zginął jako męczennik, jemu, Grantowi, nie może w tym wypadku wystarczyć. Znał poważnych myślicieli tak bezkrytycznych, że gotowi byli uwierzyć w zupełnie nieprawdopodobne dziecinne historyjki.

Jeżeli o niego, Granta, chodzi, to dzieło More'a jest spalone, odfajkowane, załatwione, a jutro rano trzeba zaczynać wszystko od początku.

Zasypiając był wciąż jeszcze bezsensownie wściekły i zbudził się równie zły.

- Co siostra na to powie, że Tomasz More w ogóle nic nie wiedział o Ryszardzie III? - zwrócił się oskarżycielsko do Amazonki, gdy tylko jej wielka postać pojawiła się w drzwiach.

Spojrzała na niego zaniepokojona, nie tyle tą nowiną, co raczej gwałtownością jego wypowiedzi. Zdawało się, że wystarczy jeszcze jedno szorstkie słowo, a oczy jej zaszkłą się łzami.

- Ależ oczywiście, że wiedział - zaprotestowała. - Przecież żył wtedy.

- Miał osiem lat, kiedy Ryszard zginął - oznajmił Grant dobitnie. - Wiedział tylko to, co mu powiedziano. Tak samo jak ja. Tak samo jak siostra. Nie, w „Historii Ryszarda III” nie ma nic świętego. Cała jest powtarzaniem cudzych relacji.

- Pan się chyba dzisiaj gorzej czuje? - zapytała zaniepokojona. - A może ma pan temperaturę?

- Nie wiem, jak jest z temperaturą, ale że ciśnienie mi podskoczyło, to pewne.

- O, mój Boże - westchnęła przejęta. - A tak ładnie już się pan sprawował. Siostra Ingham bardzo się zmartwi. Bardzo jest dumna z pana, stale się panem chwali.

Nie miał pojęcia, że służył Karliczce jako obiekt do dumy czy samochwalstwa, ale zupełnie go to nie ucieszyło. Postanowił mieć temperaturę, o ile tylko potrafi, choćby na złość pielęgniарce.

Ale poranna wizyta Marty przeszkodziła mu w sprawdzeniu, czy duch panuje nad materią. Marta najwyraźniej tylko sobie przypisywała zasługę

w podbudowaniu jego samopoczucia, tak jak Karliczka chwaliła się poprawą jego zdrowia. Cieszyło ją, że wyprawa po reprodukcje okazała się tak owocna.

- A więc postanowiłeś wykryć, kim był naprawdę Perkin Warbeck? - zapytała.

- Nie, Warbeck nie. Ale powiedz, dlaczego przyniosłaś mi portret Ryszarda III? Nie było chyba żadnych tajemnic w jego życiu?

- Nie. Pewnie wzięliśmy go jako ilustrację do sprawy Warbecka. Chociaż, zaraz, już pamiętam: James wziął to w rękę i powiedział: „Jeżeli on jest taki zbzikowany na temat twarzy, to ma tu coś ciekawego. Oto najślawniejszy zbrodniarz, jakiego zna historia, ale moim zdaniem ma twarz świętego”.

- Świętego! - powtórzył Grant i naraz coś mu się przypomniało. - Przerost sumienia.

- Co takiego?

- Nic. Przypomniało mi się tylko moje pierwsze wrażenie. Czy ty także w pierwszej chwili pomyślałaś, że to twarz świętego?

Popatrzyła na portret oparty o stos książek.

- Nie widzę pod światło.

Wzięła, żeby przyjrzeć się lepiej.

Grant uświadomił sobie w tym momencie, że dla Marty, tak samo jak dla sierżanta Williamsa, twarze należały do spraw zawodowych. Kąt nachylenia brwi, układ ust zarówno Marcie, jak Williamsowi mówiły o charakterze człowieka. Co więcej, Marta sama sobie robiła twarze takie, by pasowały do granych przez nią ról.

- Siostra Inghani uważa, że jest ponury. Siostra Darroll - że straszny. Doktor przypuszcza, że mógł mieć w dzieciństwie Heine-Medina. Sierżant Williams określił go jako typowego sędziego.

Marta przez chwilę milczała. Wreszcie rzekła z namysłem:

- Wiesz, to dziwne. W pierwszej chwili ma się wrażenie, że to niemila, podejrzliwa twarz. Nawet zgryźliwa. Ale jak popatrzysz na nią dłużej, widzisz, że wcale tak nie jest. To właściwie zupełnie szlachetna twarz. Może o tym myślał James, kiedy mówił, że przypomina mu świętego.

- Nie, nie. Chyba to co innego. Jemu chodziło pewno o to, że jest w niej podporządkowanie się sumieniu.

- Obojętne zresztą, ważne, że to jest naprawdę twarz. Nie tylko zespół organów do patrzenia, oddychania i jedzenia. Wspaniała twarz. Z bardzo niewielkimi poprawkami mógłby to być portret Lorenza de Medici...

- A może to jest Lorenzo de Medici i po prostu mylimy się co do osoby?

- Wykluczone. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Po prostu nic w tej twarzy nie pasuje do faktów historycznych. A stare podobizny nie raz już się mieszały.

- Bywało i tak. Ale to jest Ryszard bez żadnej wątpliwości. Oryginał, względnie portret uważany za oryginał, znajduje się na zamku w Windsorze. Wiem to od Jamesa. Figurował już w inwentarzu Henryka VIII, a więc wisi tam dobre czterysta lat. Zresztą są kopie w Hatfield i w Albury.

- Więc to jest Ryszard, a ja nie mam pojęcia o twarzach - powiedział z rezygnacją Grant. - Może masz kogoś w B.M.?

- W British Museum? - powtórzyła Marta, wciąż jeszcze zapatrzona w portret. - Nie, chyba nie. W każdym razie nie przypominam sobie w tej chwili. Byłam tam raz, żeby przyjrzeć się egipskiej biżuterii, kiedy przygotowywałam się do Kleopatry razem z Geoffreyem... widziałeś go kiedy jako Antoniusza?... niebywale pretensjonalny!... ale trochę byłam wystraszona tym gmaszyskiem. Co za zbieranina całych stuleci! Czułam się jak w obliczu gwiazd: malutka i nieważna. A po co ci British Museum?

- Potrzebuję informacji o historykach piszących w czasach Ryszarda III. Współczesne mu kroniki, zapiski, źródła.

- Czyżby czcigodny sir Tomasz ci nie odpowiadał?

- Czcigodny sir Tomasz to tylko powtarzanie cudzej gadaniny! - wybuchnął Grant, który okropnie się zniechęcił do wielkiego kanclerza.

- No, popatrz! A ten miły jegomość w bibliotece mówił o nim z takim szacunkiem. Po prostu „Ewangelia Ryszarda III według świętego Tomasza”.

- Akurat ewangelia - warknął, Grant. - W czasach Tudorów spisywał czyjeś relacje o czasach Plantagenetów, kiedy on sam miał pięć lat.

- Pięć lat?

- Tak.

- Ojej! To rzeczywiście nie jest „wprost ze źródła”.

- Nie tylko nie żadne źródło, ale nawet nie w przybliżeniu okolice źródła! Powiedzmy, tak można na tym polegać, jak na typach udzielanych przez bukmacherów. Po prostu od kogoś z przeciwnej strony barykady. Każdy, kto służył Tudorom, musiał kłamać tam, gdzie chodziło o Ryszarda III.

- Tak, chyba masz rację. Ale czego chcesz się dowiedzieć o Ryszardzie? Przecież w jego życiu nie było żadnych specjalnych tajemnic?

- Chcę wiedzieć, co stanowiło jego siłę napędową. To chyba głębsza tajemnica niż wszystko, z czym ostatnio miałem, do czynienia. Co tego człowieka zmieniło tak nagle, prawie z dnia na dzień? Aż do śmierci brata wydawał się bez zarzutu i naprawdę przywiązany do niego.

- Przypuszczam, że najwyższe dostojeństwa zawsze stanowią wielką pokusę.

- Ależ on był regentem aż, do pełnoletności chłopca! I Protektorem Anglii. Sądząc z jego dotychczasowej kariery powinno mu to być wystarczająco. Wydawałoby się nawet, że właśnie na tym mogło mu

najbardziej zależy: by bronić zarówno syna Edwarda, jak i jego królestwa.

- Może smarkacz był niemożliwy i Ryszard tylko czekał, żeby mu dać naukę. Czy to nie dziwne, że zawsze o ofiarach myślimy jako o świętej niewinności. Tak jak z tym Józefem w Biblii. A przysięgłabym, że to był młodzian zupełnie nie do zniesienia i od dawna mu się należało, żeby go ktoś wepchnął do studni. Może młody Edward także aż się prosił, by ktoś z nim zrobił porządek?

- Ale ich było dwóch - przypomniał jej Grant.

- Racja. Tego jednak nic nie usprawiedliwia. Potworne okrucieństwo. Biedne jagniątko! Och!

- Co to „och” miało znaczyć?

- Coś mi się przypomniało. „Biedne jagniątko” nasunęły mi pewien pomysł.

- No?

- Nie, teraz ci nie powiem, bo może nic z tego nie wyjdzie. Muszę lecieć.

- Oczarowałaś już Madelaine March tak, że zgodziła się napisać tę sztukę?

- No, kontraktu jeszcze nie podpisała, ale robi wrażenie, jakby się zapaliła do mego pomysłu. *Au revoir*, kochanie. Niedługo znów wpadnę.

Wyszła mijając po drodze zarumienioną z przejęcia Amazonkę. Grant zapomniał zupełnie o biednych jagniątkach aż do chwili, gdy jedno z nich zjawiło się nagle w drzwiach następnego wieczora.

Biedne jagniątko miało okulary w rogowej oprawie - co, o dziwo, raczej wzmacniało, niż zacierало podobieństwo. Grant właśnie drzemał, w lepszym tego dnia nastroju, niż mu to się ostatnio zdarzało; doszedł do wniosku, że historia rzeczywiście rozszerza perspektywy, jak to mówiła przełożona. Pukanie do drzwi było bardzo delikatne, uznał, że się przesłyszał. W szpitalu nie puka się na ogół zbyt delikatnie. Ale odruchowo powiedział: - Proszę - i to, co się ukazało, było tak niewątpliwie „biednym jagniątkiem” Marty, że nie mógł się powstrzymać i wybuchnął głośnym śmiechem.

Młody człowiek, bardzo speszony, uśmiechnął się nerwowo, długim chudym palcem poprawił zjeżdżające z nosa okulary i odchrząknąwszy zaczął:

- Czy to pan Grant? Nazywam się Carradine. Brent Carradine. Mam nadzieję, że nie przeszkodziłem panu w wypoczynku?

- Skądże znowu! Niech pan wchodzi. Ogromnie się cieszę, że pana widzę.

- Marta... to znaczy panna Hallard... przysłała mnie. Podobno będę mógł być panu w czymś pomocny.

- A nie powiedziała w czym? Proszę, niech pan siada. Tam koło drzwi znajdzie pan krzesło. Proszę przysunąć je tu bliżej.

Był to wysoki chłopak, bez kapelusza, z jasnymi falującymi włosami nad dużym czołem. Tweedowy płaszcz bez paska, o wiele za szeroki, falował wokół niego typowo po amerykańsku. Przyniósł krzesło, usiadł rozpościerając poły płaszcza niby królewską szatę i patrzył na leżącego pocziwymi piwnymi oczami, których promiennego wdzięku nie mogły przyćmić nawet rogowe okulary.

- Marta... to znaczy panna Hallard mówiła, że chciałby pan, żebym coś wyszperał.

- A pan właśnie jest szperaczem?

- Prowadzę badania naukowe tu w Londynie. To znaczy badania historyczne. A podobno panu potrzeba czegoś w tym guście. Marta wie, że całe ranki siedzę w British Museum. Z największą chęcią, proszę pana, zrobię, co tylko pan zechce.

- To bardzo miło z pana strony. Dziękuję. A nad czym pan siedzi? Czego dotyczą pańskie badania?

- Buntów Chłopskich.

- Ach, czasy Ryszarda II.

- Tak.

- Interesują pana sprawy społeczne?

Młody człowiek zrobił nagle minę zupełnie nienaukową i powiedział:

- Nie, zależy mi tylko na tym, by móc zostać w Anglii.

- A nie może pan pozostać w Anglii bez prowadzenia tych badań?

- To nie takie proste. Muszę mieć jakieś alibi. Mój ojciec uważa, że powinienem zacząć pracować w naszej firmie. To meble, sprzedaż hurtowa. Zamawia się je pocztą z naszych katalogów. Niech mnie pan tylko źle nie rozumie: to bardzo dobre meble. Nie do zniszczenia. Tylko że mnie jakoś nie bardzo interesuje handlowanie meblami.

- I, nie decydując się na wyprawę polarną, uznał pan British Museum za najlepszą z możliwych kryjówek?

- W każdym razie jest tu cieplej. A ja rzeczywiście lubię historię. Zresztą jeżeli pan naprawdę chce wiedzieć, to po prostu przyjechałem do Anglii ze względu na Atlantę Shergold. To ta blondynka, no wie pan, pierwsza naiwna w sztuce Marty... panny Hallard. To znaczy ona gra naiwną. Bo Atlanta wcale naiwna nie jest.

- Racja. To bardzo utalentowana młoda osoba.

- Widział ją pan?

- Wydaje mi się, że mało jest w Londynie ludzi, którzy jej nie widzieli.

- No właśnie. Ta sztuka idzie i idzie. Bez końca. Nie przypuszczaliśmy, Atlanta i ja, żegnając się, że utrzyma się na afiszu dłużej niż parę tygodni. Mówiliśmy: „do zobaczenia za miesiąc”. Dopiero, kiedy się okazało, że ciągnie się w nieskończoność, musiałem wynaleźć jakiś powód, żeby

przyjechać do Anglii.

- Więc sama Atlanta nie jest wystarczającym powodem?

- Nie dla mojego taty. Cała rodzina robi pogardliwe miny słysząc o Atlancie, ale on jest najgorszy z nich wszystkich. Jeżeli czasem musi coś o niej powiedzieć, nazywa ją „ta twoja znajoma aktoreczka”. Widzi pan, tata - Carradine Trzeci - jest królem mebli w naszym mieście. A ojciec Atlanty to wciąż jeszcze tylko Shergold Pierwszy; ma mały sklep spożywczy przy Main Street. Ale zapewniam pana, to najszlachetniejszy człowiek pod słońcem! Oczywiście Atlanta niewiele jeszcze osiągnęła, tam u nas, w Stanach. To znaczy na scenie. Tu odniosła pierwszy wielki sukces, dlatego nie chce zrywać kontraktu i wracać do domu. W ogóle myślę, że niełatwo będzie ją namówić do powrotu. Powiada, że tam jej nikt nie docenia.

- I dlatego zabrał się pan do badań?

- Musiałem wymyślić coś takiego, co mógłbym robić tylko w Londynie. Ponadto w czasie studiów zajmowałem się kiedyś podobnymi badaniami historycznymi. Dlatego British Museum wydawało się wymarzonym miejscem. Być szczęśliwym a równocześnie móc udowodnić ojcu, że naprawdę pracuję!

- Tak. Trudno o milsze alibi. Ale, ale, dlaczego akurat Bunty Chłopskie?

- No cóż, to interesujący okres. I myślałem, że ten temat spodoba się tacie.

- Więc to jego interesują ruchy społeczne?

- Nie, tylko nie cierpi królów.

- Carradine Trzeci?

- Tak, śmieszne, co? Wcale nie wykluczone, że w którymś sejfie ma schowaną koronę. Kto wie, może od czasu do czasu wymyka się na dworzec z paczką pod pachą i tam, w męskiej toalecie, przymierza ją przed lustrem. Ale ja pewnie pana męczę tym gadaniem o własnych sprawach. Nie po to przecież przyszedłem, tylko...

- Obojętne po co, w każdym razie z nieba mi pan spadł! I dlatego proszę trochę posiedzieć, o ile pan się nie spieszy.

- Ja się nigdy nie spieszę - oznajmił młody człowiek; rozplatał długie nogi i wyciągnął je przed siebie. W tym momencie - het, daleko, końcem długiej kończyny - zawadził o stolik przy łóżku Granta tak, że oparty o książki portret Ryszarda sfrunął na ziemię..

- Ojej, przepraszam, taki jestem niezgrabny. Nie przyzwyczaiłem się jeszcze do długości swoich nóg, choć już najwyższy czas, zważywszy, że mam dwadzieścia dwa lata. - Podniósł fotografię, na wszelki wypadek otarł ją z kurzu mankietem płaszcza, a potem z zainteresowaniem obejrzał.

- Ricardus III Ang. Rex - przeczytał na głos.

- Pan jest pierwszym człowiekiem, który zauważył ten napis w tle

obrazu.

- Tak, jest mało widoczny, trzeba akurat tu spojrzeć. Ale też nikt z moich znajomych nie trzyma na stoliku podobizny króla zamiast jakiejś ślicznotki.

- No, pięknoscią to on nie grzeszy.

- Czy ja wiem - powiedział wolno Amerykanin. - Wcale niezła twarz. Miałem w szkole profesora, który był dosyć podobny. Żywił się bizmutem i mlekiem, więc miał trochę wątrobiane spojrzenie na świat, ale trudno sobie wyobrazić łagodniejszego człowieka. Właśnie o Ryszardzie mam panu zebrać informacje?

- Tak, nic specjalnie zawiłego czy trudnego. Przede wszystkim, kto z jego współczesnych jest autorytatywnym źródłem.

- To nie powinno mi nastręczyć specjalnych trudności. Niezbyt daleko od moich czasów, czyli tego, co sam badam. Prawdę mówiąc nowożytny autorytet dla Ryszarda II, sir Cuthbert Oliphant, obejmuje oba te okresy. Czytał pan Oliphanta?

Grant odpowiedział, że czytał tylko szkolne podręczniki i sir Tomasza More'a.

- More'a? Kanclerza Henryka VIII?

- Tak.

- Przypuszczalnie jego nastawienie było dość specyficzne.

- Zupełnie jakbym czytał jakiś pamflet polityczny. - Mówiąc to Grant zdał sobie sprawę, że taki właśnie smak pozostał mu po tej lekturze. To nie przypominało relacji męża stanu, a raczej rozgrywki osobiste. Albo może obsmarowywanie kogoś w gazecie. I to takie, do którego materiał zdobyto kuchennym wejściem. Wie pan coś o Ryszardzie III?

- Nic prócz tego, że wykończył swoich bratanków i proponował królestwo za konia. I jeszcze, że miał dwóch sługusów zwanych Kot i Szczur.

- Co takiego? - zdziwił się inspektor.

- Istnieje taki wierszyk:

*To Kot i Szczur,
I Lovel, nasza psina,
Rządzą całą Anglią,
A nad nimi Świnia.*

- A rzeczywiście zapomniałem. Wie pan może, co to znaczy?

- Nie mam pojęcia. Nie znam tak dobrze tego okresu. Skąd to pańskie zainteresowanie Ryszardem III?

- Marta zaproponowała, żebyśmy się zajął jakimś teoretycznym

śledztwem, ponieważ jeszcze przez dłuższy czas nie ma mowy o żadnej prawdziwej pracy. A ponieważ interesują mnie twarze, przyniosła portrety rozmaitych ewentualnych bohaterów takich historycznych zagadek, które jej zdaniem warte są rozwiązania. Ryszard zaplątał się tam raczej przez przypadek, ale właśnie on okazał się najbardziej zagadkowy ze wszystkich.

- A to dlaczego?

- Jak to możliwe, że człowiek, który popełnił najbardziej odrażający czyn w całej naszej historii, ma twarz wielkiego sędziego i mądrego władcy? Według wszelkich źródeł był niezwykle wykształconym człowiekiem, nieposzlakowanym w życiu osobistym. Wiadomo, że wykazał się jako administrator: rządził Północną Anglią i robił to wspaniale. Był też dobrym strategiem i dzielnym żołnierzem. Nie wiadomo nic złego o jego życiu prywatnym. Jego brat natomiast, może pan słyszał, był - no, nie licząc jeszcze Karola II - największym kobieciarzem z całego pocztu królów angielskich.

- Edward IV. Tak, wiem. Wysoki, postawny, wręcz ideał męskiej urody. Może przez sam kontrast Ryszarda zżerała zazdrość? Ona by tłumaczyła chęć zlikwidowania potomstwa brata.

O tym Grant dotąd nie pomyślał.

- Przypuszcza pan, że Ryszard czuł do brata podświadomą nienawiść?

- Czemu podświadomą?

- Bo nawet ci, którzy najgorzej o nim mówią, twierdzą, że był oddany Edwardowi. Przeżywali razem wszystko od czasu, gdy Ryszard miał dwanaście czy trzynaście lat. Ich trzeci brat był do niczego. George.

- Co za George?

- Księżę Clarence.

- Ach, ten! Clarence od beczki małmazji!

- O, właśnie. I dlatego było ich razem tylko dwóch, Edward i Ryszard. A między nimi różnica dziesięciu lat. Akurat odpowiednia, by mógł uważać Edwarda za swój ideał i wzór.

- Gdybym był garbaty - mówił młody Carradine, jakby głośno myślał - na pewno czułbym nienawiść do brata, który ma wszystko: i moje zaszczyty, i moje kobiety, i moje miejsce pod słońcem.

- Możliwe - powiedział po chwili Grant. - To jak dotąd najlepsze wyjaśnienie.

- Mogła nie być bardzo wyraźna, może nawet nieświadoma. Przypuśćmy, że poczuł ją nagle w chwili, gdy zobaczył szansę zdobycia korony. Może sobie wtedy powiedział, może jakiś głos w nim szepnął: „Oto okazja! Po tylu latach bycia totumfackim brata, stania o jeden krok w tyle i zawsze bez słówka: dziękuję. Oto czas załatwienia naszych rachunków”.

Grant zauważył, że przypadkowo opisując Ryszarda Carradine użył tego

samego wyrażenia, co i autorka, pani Payne-Ellis. „Stojący o jeden krok w tyle”. Takim widniała go powieściopisarka, gdy wraz z jasnowłosą, do-rodną dwójką rodzeństwa, Małgorzatą i George’em, ze schodów zamku Baynarda patrzył, jak ich ojciec odjeżdża na wojnę. „O jeden krok w tyle”. Jak zwykle.

- Ale to jednak ciekawe, że jak pan twierdzi, aż do momentu zbrodni Ryszard wydawał się przyzwoitym człowiekiem - rzekł Carradine, znowu przesuając w górę okulary. - Dzięki temu robi się bardziej ludzki. Szekspirowska wersja Ryszarda to po prostu karykatura, wcale nie prawdziwy człowiek. Bardzo chętnie będę dla pana szukał wszystkiego, co tylko będzie potrzebne. Całkiem miła odmiana po moich chłopach.

- Kot i szczur zamiast Johna Bulla i Wata Tylera.

- Właśnie.

- To bardzo ładnie z pańskiej strony. Ucieszy mnie wszystko, co zdoła pan wygrzebać. Ale chwilowo zależy mi na współczesnych Ryszardowi relacjach o tym, co się działo. Przecież to były wydarzenia poruszające cały kraj. Chcę przeczytać, co o nich pisali żyjący wtedy ludzie. Nie, co słyszał ktoś, komu opowiadano o zdarzeniach z czasów, kiedy miał lat pięć, a w dodatku krajem rządził zupełnie kto inny.

- Dowiem się, kto był ówczesnym kronikarzem. Możliwe, że Fabyan. A może on jest od Henryka VII? W każdym razie dowiem się. A tymczasem czy nie zechciałby pan zajrzeć do Oliphanta? Z tego, co mi mówiono, on jest teraz największym autorytetem od tego okresu.

Grant odpowiedział, że z rozkoszą zajrzy do sir Cuthberta.

- Podrzucę go panu przechodząc tędy jutro, chyba mogę zostawić na dole w portierni? A jak tylko dowiem się czegoś o ówczesnych historykach, zaraz tu przyjdę. Odpowiada to panu?

Grant oznajmił, że i owszem, odpowiada wspaniale.

Młody Carradine, nagle onieśmielony, znowu przypomniał Grantowi biednego baranka, do którego zupełnie nie był podobny w czasie omawiania nowych aspektów sprawy Ryszarda. Powiedział „dobranoc” cicho i niewyraźnie, potem wysunął się z pokoju, a za nim odpłynęły fałdy jego płaszcza.

Grant powiedział sobie w duchu, że Atlanta Shergold chyba zrobiła dobry wybór, niezależnie od pieniędzy Carradine’ów.





ROZDZIAŁ 8

- No i co sądzisz o moim baranku? - spytała Marta od progu.
- Bardzo to ładnie z twojej strony, żeś mi go wyszukała.
- Nie musiałam wcale szukać. Wciąż się płacze pod nogami. Właściwie to prawie mieszka w teatrze. Tę naszą sztukę widział chyba z pięćset razy. Jeżeli nie tkwi w garderobie Atlanty, to jest na widowni. Marzę o tym, żeby się pobrali, bo może wtedy mniej byśmy go widzieli. A w dodatku, wyobraź sobie, oni wcale z sobą nie śpią. Czysta idylla. - Na chwilę zapomniała, o „aktorskim” głosie i ciągnęła dalej: - Okropnie mili są razem. Można by myśleć, że to bliźnięta a nie zakochani. Mają takie bezgraniczne zaufanie do siebie, przeświadczenie, że razem dopiero tworzą całość. I nigdy nie kłóć się, nawet nie sprzecząją. Idylla, mówię ci. Czy Brent przyniósł ci to tomisko?

Stuknęła palcem w grubą historię Oliphanta.

- Tak, zostawił to dla mnie u portiera.
- Pewnie ciężkostrawne?
- Powiedzmy, że z wyglądu trochę nie zachęcające. Ale jak się przełknie kawałek, to dalej idzie już zupełnie dobrze. Uniwersytecki podręcznik historii. Pełen drobiazgowo udokumentowanych faktów.

- Uff!
- W każdym razie odkryłem, od kogo czcigodny i świątobliwy sir Tomasz More uzyskał swoje wiadomości o Ryszardzie.

- Od kogo?
- Od niejakiego Johna Mortona.
- Nigdy o nim nie słyszałam.
- Ja chyba też nie, ale to już wynik naszej ignorancji.
- A któż to taki?
- Był arcybiskupem Canterbury za Henryka VII, a zarazem najgorszym wrogiem Ryszarda.

Gdyby Marta umiała gwizdać, niewątpliwie w tym momencie zagwizdałaby zamiast komentarza.

- A więc tak wygląda to najlepsze źródło.
- I na tym wizerunku Ryszarda opierają się wszystkie następne. Wpierw Holinshed napisał swoją historię, a wedle niej Szekspir uformował charakter swego bohatera.
- Wersja człowieka, który nienawidził Ryszarda. Tego nie wiedziałam.

Ale dlaczego sir Tomasz podaje właśnie wersję Mortona, a nie kogoś innego?

- Obojętne, na czyjej wersji by się oparł, zawsze byłaby to wersja Tudorów. Przypuszczalnie dlatego cytował Mortona, że jako chłopiec wychowywał się na jego biskupim dworze. A ponieważ Morton „brał w tym wszystkim udział”, więc oczywistą rzeczą było spisać relacje naocznego świadka, którą, mógł mieć z pierwszej ręki.

Marta znowu stuknęła palcem w tom Oliphanta.

- I ten nudny gruby historyk przyznaje, że to jest wersja nieobiektywna?

- Oliphant? Tylko pośrednio. Szczerze mówiąc on sam jest w sprawie Ryszarda wyraźnie pełen sprzeczności. Na tej samej stronie twierdzi, że był wspaniałym władcą i wodzem, powszechnie poważanym za stateczne i uczciwe życie i popularnym w odróżnieniu od parweniuszy-Woodville'ów, krewnych królowej, i zaraz potem, że był „zupełnie pozbawiony skrupułów, gotów utoczyć morze krwi, byle zdobyć koronę, gdy znalazła się w zasięgu jego ręki”. W jednym miejscu mówi: „można by sądzić, że był całkowicie wyzbyty sumienia”, a dalej z More'a przytacza opis człowieka tak udręczonego wspomnieniem tego, co zrobił, że wcale nie sypia.

I tak dalej.

- A może twój nudny Oliphant woli Czerwoną Różę Lancastrów?

- Nie wydaje mi się. W każdym razie nie jest świadomie prolancasterski. Choć w tej chwili przychodzi mi do głowy, że jest bardzo tolerancyjny, jeżeli chodzi o uzurpację Henryka VII. Nie mogę sobie przypomnieć, żeby gdziekolwiek powiedział brutalnie, że Henryk nie miał najmniejszego prawa do tronu.

- Więc kto Henryka Tudora na nim osadził?

- Resztki stronnictwa Lancastrów i parweniusze Woodville'owie, przypuszczalnie w oparciu o cały naród wzburzony wieścią o zamordowaniu chłopców. Niewątpliwie teraz woleli byle kogo, wystarczyło, że miał w żyłach choć kroplę krwi lancasterskiej. Sam Henryk był dość cwany, więc wśród swoich praw do tronu wpiერw wymieniał podbój kraju, a później tę lancasterską krew. *De iure belli et de iure Lancastriae*. Jego matka była dziedziczką nieślubnego syna trzeciego syna Edwarda III.

- Ja wiem o Henryku VII tylko tyle, że był fantastycznie bogaty i fantastycznie skąpy. Znasz tę uroczą nowelkę Kiplinga o tym, jak rzemieślnika pasował na rycerza nie za to, że wykonał doskonale swą pracę, ale za to, że oszczędził mu wydatku na rzeźbioną girlandę.

- Zardzewiałym mieczem, który leżał za arrasem. To niezwykle, że kobieta tak dobrze zna Kiplinga.

- No cóż, ja pod wieloma względami jestem niezwykłą kobietą. Więc na

temat samego Ryszarda dalej niewiele wiesz?

- Tak. Jestem równie otumaniony jak sir Cuthbert Oliphant. Jedyną różnicą jest to, że ja wiem, jak mało wiem, a on wydaje się zupełnie tego nieświadomy.

- Często widzisz mojego baranka?

- Widziałem go jedynie wtedy, kiedy przyszedł tu po raz pierwszy. Zaczynam już przypuszczać, że może pożałował swojej obietnicy.

- Och, co to, to nie. Wierność to jego hasło i ceł.

- Tak jak Ryszarda.

- Ryszarda?

- Jego motto brzmiało: *Loyaulté me lie*. Lojalność mnie wiąże.

Usłyszawszy lekkie wahające pukanie do drzwi, Grant powiedział:

- Proszę wejść - i ukazał się Brent Carradine, znowu w rozwianym płaszczu.

- Och, przepraszam, wpadłem nie w porę. Nie przypuszczałem, że pani jest tutaj. Spotkałem na korytarzu Statuę Wolności i ona mi powiedziała, że pan jest sam.

Grant bez trudu domyślił się, kogo Brent nazywa Statuą Wolności. Marta zaczęła się żegnać, stwierdzając przy okazji, że Brent jest i tak o wiele ważniejszym gościem, więc zostawi ich, by mogli w spokoju poszukiwać duszy mordercy.

Pożegnawszy Martę ukłonem przy drzwiach, Brent wrócił i uplasował się na krześle. Miał przy tym taki sam wyraz twarzy, jak Anglik, gdy po obiedzie kobiety opuszczą towarzystwo, a on zasiada do portwajnu. Grant był ciekaw, czy i Amerykanie, zawojowani tak zupełnie przez kobiety, też odczuwają coś w rodzaju podświadomej ulgi, gdy znajdują się w czysto męskim towarzystwie. W odpowiedzi na jego pytanie Grant przyznał, że sir Cuthbert Oliphant okazał się wspaniale czytelny.

- Przypadkiem odkryłem, kim byli Kot i Szczur. Okazuje się, że to bardzo godni dostojnicy państwowi, William Catesby i Ryszard Ratcliffe. Catesby był Speakerem czyli Przewodniczącym Izby Gmin, a Ratcliffe jednym z komisarzy ustalających warunki pokoju ze Szkocją. Ciekawe, jak czasem brzmienie jakiegoś słowa powoduje, że wierszyk polityczny nabiera obrzydliwego wydźwięku. Świnia to oczywiście herb Ryszarda, Biały Dzik. Czy bywa pan w naszych angielskich barach?

- Oczywiście. To jedna z tych rzeczy, które u was są lepsze niż u nas..

- Wybaczają nam pan nasze łazienki, ze względu na piwo „Pod Dzikim”.

- „Wybaczają” to może za duże słowo. Powiedzmy, że to się wyrównuje.

- Uprzejmie z pana strony. Jest jeszcze coś innego, z czym będzie pan musiał się pogodzić. Otóż figa z tej teorii, że Ryszard nienawidził Edwarda z powodu kontrastu pomiędzy jego urodą a własnym kalectwem. Zdaniem

sir Cuthberta garb jest mitem. Tak samo jak uschnięta ręka. Wygląda na to, że nie miał żadnej wyraźnej deformacji; w każdym razie nic poważnego. Tylko lewe ramię troszkę niższe niż prawe, i to wszystko. Dowiedział się pan, kto był ówczesnym historykiem?

- Nie było żadnego.

- W ogóle żadnego?

- W tym sensie, o jaki panu chodzi, nie. Żyli pisarze współcześni Ryszardowi, ale pisali już po jego śmierci dla Tudorów. A to podważa ich bezstronność. Istnieje jakaś klasztorna kronika pisana po łacinie, ale nie wiem, gdzie, i nie zdołałem jej jeszcze zdobyć. W każdym razie odkryłem, że ta „Historia Ryszarda” nazywana jest dziełem sir Tomasza More’a nie dlatego, że on ją napisał, ale dlatego, że manuskrypt został znaleziony wśród jego papierów. Jest to niedokończona kopia czegoś, co znajduje się gdzie indziej ukończone.

- Ciekawe! - zastanowił się Grant. - Znaczyłoby to może, że została tylko własnoręcznie przepisana przez More’a.

- Tak, jego charakterem pisma. Pisane, gdy miał około trzydziestu pięciu lat. W owych czasach, zanim druk stał się powszechny, książki wciąż jeszcze przepisywano ręcznie.

- Racja. A więc jeżeli źródłem informacji był dla niego John Morton, a wiadomo, że był, to całkiem prawdopodobne, że i oryginał napisany został przez Mortona.

- Tak.

- To by zarazem tłumaczyło ów... brak kultury. Taki karierowicz jak Morton nie pogardziłby plotkami z kuchennych schodów. Słyszał pan kiedy o Mortonie?

- Nie.

- Był to prawnik, który stał się dostojnikiem kościelnym i piastował tak wielką ilość godności i urzędów jak nikt inny. Wybrał stronę Lancastrów i trzymał z nimi aż stało się jasne, że Edward wrócił na dobre i mocno siedzi na tronie. Wtedy pogodził się z Yorkami, a Edward dał mu biskupstwo Ely i Bóg wie ile prebend poza tym. Ale kiedy Ryszard został królem, Morton opowiedział się wpierw po stronie Woodville’ów, potem Henryka Tudora, no i wylądował w kapeluszu kardynalskim jako powołany przez Henryka VII arcybiskup...

- Chwileczkę! - przerwał gość z uśmiechem. - Oczywiście, że znam Mortona. Przecież od niego pochodzą słynne „Widły Mortona”³: „Widać, że nie wydajesz dużo, więc na pewno znajdzie się coś i dla króla; wydajesz

³ „Widły Mortona” - znany pod tą nazwą (Morton’s Fork) sposób bezwzględnego drenażu zasobów społeczeństwa na rzecz skarbu Henryka VII.

tylę, że musisz być bogaty, więc na pewno znajdzie się coś i dla króla”.

- O właśnie. Ten sam Morton, który w imieniu Henryka tak świetnie umiał przykręcać śrubę. W tej chwili przyszedł mi do głowy powód jego osobistej nienawiści do Ryszarda, o wiele wcześniejszy niż zamordowanie chłopców.

- A mianowicie?

- Edward dał się przekupić Ludwikowi XI: duża łapówka w zamian za niezbyt chwalebny pokój we Francji. Ryszard się o to wściekł, bo sprawa była naprawdę paskudna, i umył ręce od tego wszystkiego, włącznie z propozycją dużej sumy. Ale Morton popierał gorąco zarówno układ, jak i jego finansową stronę. Po prostu był na pensji u Ludwika, i to wcale niezłej: dwa tysiące koron rocznie. Przypuszczalnie niełatwo mu było przełknąć uwagi nie liczącego się ze słowami Ryszarda, chociaż złoto pomaga wiele przełknąć.

- Możliwe.

- No i oczywiście pod rządami surowego Ryszarda nie czekały Mortona takie zaszczyty, jak za szczodrego i dobrodusznego Edwarda. Dlatego też opowiedziałby się po stronie Woodville'ów, nawet gdyby nie było żadnego morderstwa.

- Jeżeli idzie o to morderstwo... - zaczął chłopak i urwał.

- Co?

- Z tym zabiciem obu chłopców jest dość dziwna sprawa. Czemu nikt o tym nie wspomina?

- Co to znaczy: „nie wspomina”?

- Przez ostatnie trzy dni przeglądałem tylko ówczesne papiery, listy i tede. I nigdzie nie ma o tym wzmianki.

- Może ludzie się bali. To przecież okres, kiedy raczej dyskrecja popłacała.

- Tak, ale powiem panu coś jeszcze dziwniejszego. Wie pan, że Henryk Tudor spowodował, że uchwalono akt pośmiertnego odsądzenia Ryszarda od czci już po bitwie pod Bosworth. To znaczy uchwalono w Parlamencie. Otóż oskarża on swego poprzednika o okrucieństwo i tyranję, ale o tej zbrodni nie ma tam nawet wzmianki.

- Jak to? - zdumiał się Grant.

- Tak, tak, słusznie się pan dziwi.

- Jest pan tego pewny?

- Najzupełniej.

- Ależ Henryk opanował Tower natychmiast po przybyciu do Londynu spod Bosworth. Trudno wprost uwierzyć, że nie zastawszy tam chłopców, nie rozgłosił tego faktu natychmiast. Przecież to byłoby w jego ręku najsilniejszą kartą. - Przez chwilę leżał w milczeniu. Słysząc było tylko wróble

jazgocące na parapecie za oknem.

- Nie rozumiem tego. Czym wytłumaczyć, że nie starał się wyzyskać w pełni faktu, że nie znalazł tam chłopców?

Brent przesunął nogi w bok, trochę wygodniej.

- Widzę tylko jedno wytłumaczenie, a mianowicie, że chłopcy tam byli.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Tym razem trwało to dłużej.

- Nie, nie, to nonsens. Musi być jakieś oczywiste wytłumaczenie, tylko myśmy jeszcze na nie nie wpadli.

- Na przykład?

- Nie wiem. Nie miałem czasu nad tym pomyśleć.

- Ja miałem prawie całe trzy dni i też nie wpadłem na żadne wyjaśnienie, które by pasowało. Pasuje tylko jedno wyjaśnienie: że chłopcy żyli, kiedy Henryk zajął Tower. Przecież to odsądzenie od czci było aktem ułożonym zupełnie bez skrupułów. Oskarżono tam stronników Ryszarda - lojalnych poddanych króla-pomazańca walczących przeciwko najeźdźcy - o zdradę. Henryk nie zapomniał o niczym, co można było bezkarnie wpakować do tego aktu. A tymczasem najgorsze, co miał do zarzucenia Ryszardowi, to tylko zwykłe „okrucieństwo i tyrania”. O chłopcach ani słowa.

- Fantastyczne!

- Nie do uwierzenia, ale to fakt.

- Z tego wynika, że nikt w owym czasie go o to nie oskarżał.

- Widocznie nie.

- No dobrze, ale Tyrrela powieszono za tę zbrodnię. Przyznał się do niej przed śmiercią. Zaraz, zaraz - sięgnął po tom Oliphanta i zaczął szybko przerzucać strony, szukając czegoś. - Tu gdzieś czytałem nawet cały opis tej sprawy. Bo to wcale nie była tajemnica, nawet Amazonka wie o tym.

- Kto taki?

- Moja pielęgniarka, ta Statua Wolności, którą pan spotkał w korytarzu. Tyrrel był mordercą, stwierdzono jego winę i wyznał wszystko przed śmiercią.

- Pewno zaraz po zajęciu Londynu przez Henryka?

- Chwileczkę... O, mam to tutaj. - Przebiegł wzrokiem znaleziony akapit. - Nie, to było w roku tysiąc pięćset drugim. - Nagle zdał sobie sprawę z sensu wypowiedzianych słów i powtórzył całkiem innym, speszonym tonem: - W tysiąc pięćset drugim.

- Ależ to jest...

- Tak. Prawie dwadzieścia lat później.

Brent chwilę w kieszeniach szukał papierosów. Wyjął paczkę, a potem szybko odłożył ją na bok.

- Proszę, niech pan pali - powiedział Grant. - Mnie by się teraz przydał łyk czegoś mocniejszego. Chyba moja głowa pracuje niezupełnie

prawidłowo. Czuję się tak, jak w dzieciństwie przy zabawie w ciuciubabkę, kiedy mi zawiązano oczy i mocno okręcono w kółko.

- Tak - zgodził się Carradine zapalając papierosa. - W zupełnej ciemności i z lekkim zawrotem głowy.

Siedział i przyglądał się wróblom.

- Czterdzieści milionów podręczników szkolnych nie może się mylić - szepnął po chwili Grant.

- Dlaczego nie?

- Więc może?

- Ja też tak myślałem, ale teraz już nie jestem całkiem pewny.

- Czy nie zbyt szybko ogarnął pana sceptycyzm?

- Och, nie ta sprawa go wywołała.

- A więc co?

- Historia zwana „Masakrą Bostońską”. Słyszał pan kiedy o tym?

- Oczywiście.

- Otóż zupełnie przypadkowo w czasie studiów odkryłem, szukając czegoś innego, że Masakra Bostońska sprowadzała się do tego, że tłum obrzucił kamieniami angielskich wartowników. Ofiar było cztery. A ja, proszę pana, byłem wychowany na Masakrze Bostońskiej. Pierś wzbierała mi oburzeniem na sam dźwięk tego słowa. Krew burzyła mi się w żyłach na myśl o bezbronnej ludności koszonej ogniem brytyjskich żołdaków. Nie ma pan pojęcia, jaki to był dla mnie szok, gdy dowiedziałem się, że całą sprawę można by nazwać bójką uliczną, która dzisiaj nie zajęłaby w prasie więcej miejsca niż wzmianka w prowincjonalnej gazecie o drobnym starciu policji ze strajkującymi.

Nie otrzymawszy na to odpowiedzi, Carradine przymrużył oczy i próbował pod światło dojrzeć, jak Grant przyjął jego słowa. Ale inspektor leżał teraz bez ruchu wpatrzony w sufit, jakby oglądał jakieś nowe tworzące się na nim rysunki.

- To jeden z powodów, dlaczego tak lubię badania historyczne - zaczął znowu Carradine i siedział, dalej przypatrując się wróblom.

Wreszcie Grant bez słowa wyciągnął rękę po papierosa.

Palili w milczeniu.

Grant przestał obserwować występy wróbli i mruknął:

- Tonypandy.

- Co to znaczy?

Ale Grant odbiegł myślami daleko.

- No cóż, sam widziałem, i to już w moich czasach, jak się taką rzecz tworzy - mówił nie do Carradine'a, ale do sufitu. - To właśnie jest Tonypandy.

- Ale co to jest Tonypandy? - zapytał Brent. - Brzmi jak nazwa leku. Czy

twoje dziecko niewyraźnie się czuje? Czy miewa wysypkę na twarzy, nagłe napady złości i łatwo się męczy? Daj mu trochę Tonypandy, a na rezultat nie będziesz długo czekać. - A kiedy leżący nie reagował, dodał: - A zresztą, co tam, niech pan sobie trzyma swoje Tonypandy, obejdzie się.

- Tonypandy - mówił Grant tym samym głosem lunatyka - jest to miejscowość w południowej Walii.

- Wiedziałem, że coś niesamowitego się za tym kryje.

- Jakbyś pan pojechał do południowej Walii, dowiedziałbyś się, że w roku 1910 rząd kazał wojsku strzelać do walijskich górników, którzy strajkowali, by uzyskać to, co im się należało. Usłyszałyś, że odpowiedzialny za to był Winston Churchill, ówczesny minister spraw wewnętrznych. Dowiedziałbyś się pan, że południowa Walia nigdy nie zapomni Tonypandy.

Carradine spoważniał.

- A tymczasem to wcale nie tak było, prawda?

- Fakty wyglądały następująco: część mieszkańców miasteczka w dolinie Rhondda rozwydrzyła się tak, że była zupełnie nie do poskromienia. Rozbijali sklepy, nawet nie dla rabunku, ale z samej chęci niszczenia. Komendant policji Glamorgan zażądał, by Ministerstwo Spraw Wewnętrznych przysłało wojsko dla obrony reszty obywateli. Kiedy miejscowa policja uważa, że sytuacja jest dostatecznie poważna, by prosić o pomoc żołnierzy, to minister nie ma wyboru. Ale Churchill przerażony na samą myśl, że wojsko, zetknąwszy się twarzą w twarz ze wzburzonym tłumem, mogłoby być zmuszone do użycia broni, postanowił wstrzymać oddziały wojskowe i zamiast nich wysłał zwykłą londyńską policję, zaopatrzoną wyłącznie w zrolowane płaszcze deszczowe. Wojsko trzymano w rezerwie, a wszelkie kontakty z tłumem miała tylko nieuzbrojona policja. Jedyna krew, jaka wtedy się połała, to z kilku rozbitych nosów. Przy okazji minister spraw wewnętrznych został ostro skrytykowany w Izbie Gmin za swoją „interwencję bez precedensu”. To właśnie było Tonypandy. Owo strzelanie do tłumu, którego Walia nigdy nie zapomni.

- Tak - przyznał zamyślony Carradine - tak. Prawie to samo, co sprawa bostońska. Dla celów politycznych ktoś rozdmuchuje zupełnie proste zdarzenie do monstrualnych rozmiarów.

- Nie, rzecz polega na tym, że to nie jest to samo. Mianowicie każdy, ale to każdy, kto tam był, wie dobrze, że to wszystko bzdura, a jednak nikt nigdy temu nie zaprzeczył. A teraz tym bardziej już się tego nie załatwi. Całkowicie nieprawdziwa historia, z której urosła legenda podczas gdy ludzie, którzy doskonale wiedzą, że to nieprawda, nie oponowali wcale i milczeli.

- Tak, to bardzo interesujące, bardzo. Oto, jak tworzy się historię.
- Tak, historię.
- Wolę badania. Bądź co bądź, prawda o każdej rzeczy nie zawiera się w jej późniejszym opisie. Prawda tkwi w drobnych codziennych faktach współczesnych. W ogłoszeniach gazetowych, w akcie sprzedaży domu. W cenie pierścienia.

Grant dalej wpatrywał się w sufit i znowu w pokoju słychać było tylko jazgot wróbli.

- Co pana tak rozbawiło? - spytał nagle, obróciwszy głowę. Dostrzegł zmianę wyrazu twarzy swego gościa.

- Po prostu pierwszy raz zobaczyłem w panu policjanta.
- Czuję jak policjant. Myślę jak policjant. Zadaję sobie pytanie, które każdy z nas zadaje zawsze w wypadku morderstwa: kto na tym zyskuje? I właśnie przyszło mi do głowy, że ta zręczna teoria, jakoby Ryszard dlatego pozbył się chłopców, by czuć się pewniej na tronie, nie ma sensu. No dobrze, pozbył się chłopców, ale ich pięć siostr wciąż jeszcze zagradzało mu drogę do tronu. Nie licząc dzieci George'a, chłopca i dziewczynki. Ta dwójka była w owym czasie pozbawiona prawa sukcesji z powodu uchwały parlamentu w stosunku do ich ojca. Ale jestem pewien, że taka uchwała może być odwołana, anulowana czy coś w tym rodzaju. Jeżeli prawa Ryszarda do tronu były wątpliwe, to póki żyli wszyscy ci krewniacy, mógł mieć im za złe, że stoją pomiędzy nim a pełnym bezpieczeństwem.

- A tymczasem wszyscy oni go przeżyli?

- Nie wiem jeszcze. Ale postaram się sprawdzić. Najstarsza siostra chłopców na pewno go przeżyła, bo została królową Anglii jako żona Henryka.

- No dobrze, panie inspektorze, wobec tego zacznijmy od samego początku. Bez podręczników historii, bez nowoczesnych wersji i czyichkolwiek opinii na ten temat. Prawda nie leży w książkach historycznych, tylko w książkach rachunkowych.

- Zgrabnie powiedziane - pochwalił Grant. - Ale czy to coś znaczy?

- Bardzo wiele. Prawdziwa historia uwieczniona jest w papierach, które wcale nie miały temu służyć. W rachunkach Garderoby Królewskiej, w wydatkach Prywatnej Szkatuły, w listach osobistych, w księgach majątkowych. Jeżeli na przykład ktoś upiera się, że lady Takaataka nigdy nie miała dziecka, a ja znajduję w księdze rachunkowej następującą pozycję: „Dla syna powitego przez naszą panią w przeddzień świętego Michała: pięć jardów niebieskiej wstążki, cztery i pół pensa” - to wolno mi wyciągnąć z tego wniosek, że nasza pani w przeddzień świętego Michała urodziła syna.

- Rozumiem. A więc od czego zaczniemy?

- Ja jestem tylko od szukania. Szperacz, nic więcej.

- Badacz naukowy.
- Dziękuję. Czego chce się pan dowiedzieć?
- No cóż, na początek byłoby pożyteczne, a co więcej pouczające, dowiedzieć się, jak wszystkie ważniejsze osoby biorące udział w tej sprawie zareagowały na śmierć Edwarda. Edwarda IV, oczywiście. Umarł niespodziewanie, więc ta śmierć musiała spaść na nich jak grom z jasnego nieba. Chciałbym wiedzieć, jak się zachowali wszyscy ci, którzy mnie interesują.
- To jest wyraźne i łatwe. Rozumiem przez to, że chce pan wiedzieć, co robili, a nie, co myśleli.
- Oczywiście.
- Tylko historycy mówią, co kto myślał. Archiwiści trzymają się tego, co kto robił.
- Chcę tylko wiedzieć, co robili. Stare przysłowie, że czyny mówią głośniej niż słowa, bardzo mi przemawia do przekonania.
- A przy okazji, co wedle sir Tomasza zrobił Ryszard na wiadomość, że jego brat umarł?
- Czcigodny sir Tomasz (czyli właściwie John Morton) twierdzi, że Ryszard zaczął od nadszkarowania królowej i przekonywania jej, aby do Ludlow po królewicza nie posyłała dużego oddziału straży przybocznej, która go miała eskortować do Londynu, jako że równocześnie przygotowywał spisek, mający na celu porwanie chłopca w czasie drogi.
- A więc, jego zdaniem, Ryszard od początku zamierzał zdetronizować bratanka?
- O, tak.
- No, w każdym razie dowiemy się, kto gdzie był i co wtedy robił, niezależnie od tego, czy potrafimy odgadnąć ich zamiary.
- Właśnie tego potrzebuję.
- Znowu policjant - zaśmiał się Brent. - Gdzie pan był piętnastego o piątej po południu?
- Ale to jest skuteczne - zapewnił go Grant. - Mówię panu.
- A więc do roboty! Wpadnę tu, jak tylko zdobędę informacje, o które panu chodzi. Bardzo panu jestem wdzięczny. To o wiele lepsze niż moi chłopci.
- Rozpłynął się w gęstniejącym mroku zimowego popołudnia.
- Inspektor zaśwycił lampę, a potem długo przyglądał się wzorom, które rzucała na sufit, jakby ich nigdy jeszcze nie widział.
- Bo też ta wiadomość, od niechcienia rzucona przez Brenta, stanowiła nowy problem, nieoczekiwany i zupełnie niepojęty.
- Jaki mógł być powód tego, że współcześnie nie oskarżono Ryszarda?
- Przecież Henryk nie potrzebował nawet żadnego dowodu, że to sam

Ryszard był winny. Wystarczał mu fakt, że chłopcy pozostawali pod opieką Ryszarda. Jeżeli w chwili opanowania zamku nie znaleziono ich, to ta nieobecność stanowiła doskonały, konkretny zarzut, o wiele mocniejszy niż normalne oskarżenie o okrucieństwo i tyranie.

Grant zjadł kolację nieświadom zupełnie, co je i że w ogóle je.

Dopiero kiedy Amazonka, przyszedłszy po tacę, pochwaliła go gorąco:

- O, bardzo dobry znak! Oba sznycle zjedzone do czysta! - uświadomił sobie, że jest już po kolacji.

I znowu wpatrywał się we wzór na suficie, roztrząsając w myśli całe zagadnienie; próbował znaleźć coś, co by mu wskazało drogę do rozwikłania tajemnicy.

Wreszcie przestał o tym myśleć. Robił tak zawsze, ilekroć orzech okazywał się zbyt twardy do zgryzienia za pierwszym razem. Postanowił to przespać, może rankiem odkryje jakiś inny aspekt całej sprawy, dziś przeoczony.

Tymczasem chcąc oderwać myśl od tej uchwały parlamentu, zobaczył stos listów czekających odpowiedzi. Miłe, życzliwe listy z życzeniami szybkiego powrotu do zdrowia; kilka było nawet od eks-więźniów. Coraz rzadziej ostatnio trafiali się tacy przestępcy, mili, dający się lubić. Teraz ich miejsce zajęły bezczelne młode draby myślące tylko o sobie, egoiści bez cienia ludzkich uczuć, a do tego najczęściej chamy i sadyści. Dawny włamywacz-zawodowiec miewał swoje cechy indywidualne, podobnie jak ludzie należący do każdej innej profesji, i wcale nie musiał być antypatyczny. Ot, spokojny domator, myślący o rodzinnych uroczystościach i o operacji migdałków dziecka, albo stary kawaler, co hoduje ptaki, kupuje książki w antykwariacie albo ma niezawodny system gry na wyścigach. Staroświeckie typy.

Żaden dzisiejszy oprych nie napisałby do gliny wyrazów współczucia po wypadku, który go wyłączył z obiegu. Nawet by mu do głowy nie przyszło coś podobnego.

Odpisywanie na listy, kiedy się leży na wznak, jest dość ciężką pracą, więc Grant nie kwapił się do niej. Ale koperta na samym wierzchu zaadresowana była ręką kuzynki Laury, która denerwowałaby się nie otrzymując długo odpowiedzi. W dzieciństwie razem spędzali w Szkocji wszystkie wakacje, a potem nadeszło takie lato, kiedy troszkę się w sobie podkochiwali; przetrwała z tamtych czasów nierozzerwalna więź. Tak, musi napisać do Laury choćby parę słów, dać znać, że żyje.

Przeczytał powtórnie jej list uśmiechając się przy tym, bo zdawało mu się przez chwilę, że widzi bystry nurt Turlie; w uszach miał jej szum; owionął go świeży zimowy zapach górskiego wrzosowiska - zapomniał, że jest pacjentem zamkniętym w szpitalu, zapomniał, jak mu tu ciężko i

nudno.

Pat kazałby Cię ucałować, gdyby był trochę starszy albo trochę młodszy. Ale ponieważ ma lat dziewięć, powiedział tylko: „Napisz Alanowi, że pytam, co u niego”, a także że ma błysk zrobiony własnoręcznie, który zostanie Ci ofiarowany, jak przyjedziesz tu na rekonwalescencję. Jest teraz troszkę na bakier ze szkołą, bo kiedy dowiedział się, że Szkoci sprzedali Anglikom Karola I, uznał, że nie może dłużej należeć do takiego narodu. Wobec tego postanowił rozpocząć jednoosobowy strajk protestacyjny przeciw wszystkiemu, co ma jakiś związek z takim wstrętnym krajem; nie będzie się uczył ani historii, ani geografii Szkocji, nie będzie śpiewał szkockich pieśni. Oznajmił to wczoraj wieczór idąc spać. I że postanowił ubiegać się o obywatelstwo norweskie.

Grant sięgnął po blok leżący na stoliku i napisał ołówkiem:

Lauro kochana,

Czy zdziwiłabyś się bardzo, gdyby Ci kto powiedział, że „książątka z Tower” przeżyły Ryszarda III?

Twój Alan

PS. Jestem już prawie zdrów.





ROZDZIAŁ 9

- Czy wie pan, że akt pozbawienia czci Ryszarda III przedłożony Parlamentowi nie wspomina wcale o morderstwie popełnionym na królewskich bratankach? - zwrócił się Grant następnego ranka do lekarza.

- Rzeczywiście? To dosyć dziwne.

- Nawet bardzo dziwne. Czy przychodzi panu na myśl jakieś wyjaśnienie?

- Może starali się nie powiększać skandalu. Dla dobra rodziny.

- Ale jego następca nie należał do rodziny. Ryszard to ostatni z Plantagenetów. Po nim zaczynają się Tudorowie. Henryk VII.

- Ach tak, oczywiście. Zapomniałem. Zresztą nigdy nie byłem mocny w historii. Zwykle w czasie lekcji historii odrabiałem zadania domowe z algebry. Po prostu nie był to najciekawszy przedmiot. Może bardziej by nas to wszystko interesowało, gdybyśmy mieli w książce więcej portretów.

- Zerknął na Ryszarda III i powrócił do swych zawodowych spraw. - Cieszę się, że pana stan wyraźnie się poprawia. Nie odczuwa już pan bólu?

Odszedł po chwili, uprzejmy i zdawkowy. Interesowały go twarze, bo wiązało się to z jego zawodem, ale historię chętnie zastępował czymś innym; takim choćby jak odrabianie algebry pod ławką. Miał pod opieką ciała ludzi żywych, ich przyszłość była w jego rękach, więc nie mógł tracić czasu na problemy akademickie.

Siostra przełożona też miała ważniejsze zmartwienia. Słuchała uprzejmie, gdy wyjaśniał jej swój kłopot, ale odniósł wrażenie, że najchętniej powiedziałaaby: „Proszę się z tym zwrócić do administracji szpitala”. To nie była jej dziedzina. Spoglądała z góry na ten wielki ruchliwy ul, kłębiący się od spraw ważnych i pilnych; czy można więc było oczekiwać, że zechce skierować spojrzenie na sprawcy odległe o przeszło czterysta lat.

Chciał powiedzieć: „Ależ właśnie pani powinna być zainteresowana tym, co może się przydarzyć koronowanym głowom; jak nietrwała okazuje się ludzka reputacja - z dnia na dzień byle pogłoski mogą człowieka zniszczyć”. Ale wiedział, że nie ma prawa przetrzymywać tu siostry przełożonej dla spraw zupełnie nie dotyczących jej pracy, przedłużać i tak długi poranny obchód.

Karliczka nie wiedziała nawet, co to jest akt odsądzenia od czci, i wyraźnie widać było, że mało ją to obchodzi.

- On już dla pana staje się obsesją - powiedziała wskazując portret skinięciem głowy. - To chorobliwe. Czemu nie przeczyta pan którejś z tych ciekawych powieści?

Nawet Marta, której odwiedzin ledwo się mógł doczekać, bo bardzo chciał jej opowiedzieć o tym nowym zdumiewającym odkryciu i zobaczyć jej reakcję, nawet Marta była zbyt oburzona na Madelaine March, by zwracać uwagę na jego słowa.

- I to po tym, jak mi niemal obiecała, że napisze! Po tylu omawianiach, kiedy już tak liczyłam na jej sztukę, bo przecież wreszcie dobrniemy do końca z tą nudą. Już nawet mam obmyślane kostiumy. A tymczasem ona postanawia nagle, że napisze teraz jedną z tych swoich okropnych zagadek kryminalnych. Mówi, że musi pisać, póki ma to na świeżo w głowie! Słyszałeś coś podobnego?

- Chyba u niej długo nie trwa pisanie takiej detektywistycznej powieści? - starał się ją pocieszyć.

- No nie, zwykle około sześciu tygodni. Ale jak przestała o tym myśleć, to nie wiadomo, czy w ogóle da się jeszcze do tego namówić. Tony Savilla też ma na nią zakusy, chce, żeby mu napisała sztukę na temat Malborougha - a wiesz, jaki jest Tony, kiedy sobie czymś nabije głowę. Potrafiłby kamień wzruszyć swoją wymową.

Przed wyjściem, już stojąc w drzwiach, raz jeszcze na moment wróciła do sprawy Ryszarda:

- Na pewno istnieje jakieś wyjaśnienie, mój drogi.

Oczywiście, że istnieje jakieś wyjaśnienie, chciał za nią krzyknąć, ale jakie? Przecież to wszystko jest i nieprawdopodobne, i zupełnie pozbawione sensu. Historycy twierdzą, że morderstwo spowodowało powszechną niechęć do Ryszarda, że prości ludzie całej Anglii znienawidzili go za ten czyn i dlatego chętnie przyjęli obcego, który zajął jego miejsce, a tymczasem w przedłożonym Parlamentowi wyliczeniu przestępstw Ryszarda nie ma o tej zbrodni ani słowa.

Sam Ryszard nie żył już, kiedy spisywano ten dokument, zaś jego pozostali przy życiu stronnicy byli bądź w rozsypce, bądź na obczyźnie; wrogowie mogli wytoczyć przeciw niemu wszelkie oskarżenia, jakie by im tylko przyszły do głowy. A oni nie wspomnieli nawet o tym niebywałym morderstwie.

Dlaczego?

Przecież w kraju podobno aż szumiało z oburzenia na wieść o zniknięciu chłopców. To była świeża, najświeższa sensacja. I kiedy wrogowie Ryszarda zbierali wszystkie przypisywane mu przestępstwa przeciw moralności i przeciw państwu, nie włączyli do nich jego najgroźniejszej zbrodni.

Dlaczego?

Henrykowi zależało na każdym, najdrobniejszym nawet szczególe, mogącym dać mu przewagę, tak niepewnie czuł się jeszcze na tronie. W kraju był prawie nieznan, nie miał dziedzicznych praw do korony. A mimo to nie użył tak potężnego argumentu, jakim byłoby dla niego urzędowe stwierdzenie tej właśnie zbrodni Ryszarda.

Dlaczego?

Wstąpił na tron po człowieku, który aż do chwili zniknięcia bratanków był powszechnie znany, ceniony i podziwiany od krańców Walii aż po granicę szkocką. A tymczasem nie używa tego jedyne punktu przewagi, jaki ma nad Ryszardem, nie wspomina o tak niewybaczalnej, ohydnej zbrodni.

Dlaczego?

Tylko Amazonka zdawała się być przejęta tą zagadką, która zaprzętała mu umysł, nie dlatego jednak, by Ryszard obchodził ją cokolwiek, tylko że jej wrażliwe sumienie niepokoiła możliwość jakiegokolwiek pomyłki. Amazonce nieraz zdarzało się przejść cały długi korytarz tam i z powrotem tylko po to, żeby zerwać kartkę z kalendarza. Ale jeszcze silniejsza niż tendencja do przejmowania się była jej instynktowna chęć uspokajania i pocieszania.

- Niechże się pan tym tak nie dręczy! Na pewno znajdzie się jakieś zupełnie proste wyjaśnienie. Na pewno wpadnie pan na to, ale dopiero kiedy pan będzie myślał o czymś zupełnie innym. Zwykle tak bywa, jak coś zgubię. Powiedzmy, że stawiam właśnie czajnik na ogniu albo liczę sterylne opatrunki, które mi wydaje siostra oddziałowa - i nagle przychodzi mi do głowy: „Mój Boże, przecież zostawiłam to w kieszeni płaszcza”, obojętnie, co to akurat było, i dlatego niech się pan już nie martwi.

Sierżant Williams przebywał gdzieś w hrabstwie Essex i wraz z miejscową policją starał się ustalić, kto uderzył starą właścicielkę sklepiku miedzianym odważnikiem i zostawił ją nieżywą wśród rozrzuconych sznurowadeł i ciągutek. Nie było co liczyć na pomoc Scotland Yardu.

Tak więc Grant nie miał pomocy znikąd aż do chwili, gdy w trzy dni później zjawił się młody Carradine. Inspektorowi przyszło na myśl, że jego zawsze pogodna twarz jest pogodniejsza niż zwykle, że otacza go aura niemal samouwielbienia. Zaczął jednak, jak na dobrze wychowanego chłopca przystało, od grzecznego zapytania o zdrowie Granta, a otrzymawszy zadowolającą odpowiedź wyłowił z przepastnej kieszeni swego płaszcza jakieś zapiski i zza okularów spojrzał wesoło na swego współnika.

- Nie przyjąłbym sir Tomasza nawet w prezencie - oznajmił pogodnie.

- Nikt go panu nie daje.

- To zupełnie nie ma sensu.
- Podejrzywałem coś takiego. Ale proszę o fakty. Może pan zacząć od dnia, kiedy Edward umarł?
- Oczywiście. Umarł dziewiątego kwietnia 1483 roku. W Londynie. A raczej w Westminsterze, co wtedy wcale nie było tym samym. Królowa z córkami były przy nim i chyba młodszy z chłopców. Następca tronu spędzał czas na nauce w zamku Ludlow pod opieką lorda Riversa, brata królowej. Krewniaków królowej wszędzie było pełno, sam wie pan zresztą, roilo się wprost od tych Woodville'ów.
- Tak, wiem o tym. Proszę mówić dalej. Gdzie był wtedy Ryszard?
- Na granicy szkockiej.
- Co takiego?
- Powiedziałem, na granicy szkockiej. Daleko od miejsca, gdzie rozgrywa się wszystko. Ale czy każe natychmiast siodłać konia i gna do Londynu? Bynajmniej.
- A co robi?
- Poleca odprawić w Yorku uroczystą mszę żałobną, wzywa na nią całe rycerstwo Północy i odbiera od nich przysięgę na wierność młodemu królewiczowi.
- To ciekawie - zauważył Grant. - A co robi Rivers, brat królowej?
- Dwudziestego czwartego kwietnia wyrusza z chłopcem do Londynu zabierając dwa tysiące ludzi i dużą ilość broni.
- Po co mu duża ilość broni?
- Mnie niech pan o to nie pyta. Ja jestem tylko zwykłym szperaczem. Dorset, starszy syn królowej z pierwszego małżeństwa, objął zarówno arsenał, jak skarbiec w Tower i zaczął przygotowywać okręty do opanowania Kanału. Zaś zarządzenia Rady wydawane były w imieniu Riversa i Dorseta - *avunculus Regis* (wuj króla) i *frater Regis uterinus* (przyrodni brat króla z tej samej matki) - bez żadnej wzmianki o Ryszardzie. Nie świadczyło to o niczym dobrym, bo jak pan pamięta - o ile słyszał pan o tym, oczywiście - Edward w testamencie wyznaczył Ryszarda opiekunem chłopca i Protektorem Królestwa na wypadek niepełnoletności następcy tronu. Samego Ryszarda, powtarzam, i nikogo poza nim.
- Tak, to zresztą do niego pasuje. Wygląda, że Edward zawsze miał do Ryszarda pełne zaufanie, tak w sprawach prywatnych, jak i państwowych. Do niego jako do człowieka i do jego rządów. Czy Ryszard także ruszył na południe z dużą armią?
- Nie. Przybyło wraz z nim trzystu panów z Północy, wszyscy w ciężkiej żałobie. W Northampton zjawił się dwudziestego dziewiątego kwietnia. Najwyraźniej przypuszczał, że połączy się tu z orszakiem przybywającym z Ludlow, ale wiem to tylko z relacji historyków. Jednakże przybysze z

Ludlow, lord RIVERS i młody Edward, nie czekając na niego, już wyruszyli od Stony Stratford. Natomiast w Northampton spotkał kogoś innego, a mianowicie księcia Buckingham z trzystu ludźmi. Zna pan Buckinghama?

- Raczej tylko z widzenia. Był przyjacielem zmarłego króla.

- Tak. Właśnie w największym pośpiechu przybył z Londynu.

- Z wiadomościami, jak się tam sytuacja przedstawia.

- Tak należałoby sądzić. Nie brałby ze sobą trzystu ludzi po to tylko, by wyrazić kondolencje. Dość że zwołano od razu Radę. Ryszard miał wystarczającą ilość notabli w swoim orszaku i wśród przybyłych z Buckinghamem. Riversa i jego trzech zaufanych pojmano i odesłano na północ, podczas gdy Ryszard z bratankiem ruszył do Londynu. Dotarli tam czwartego maja.

- No tak, prosto i jasno. Ale z tego widać wyraźnie, biorąc pod uwagę czas i odległość, że bezsensowne jest twierdzenie Tomasza More'a, jakoby Ryszard pisał uprzejme listy do królowej po to, aby wysłała tylko małą eskortę po syna.

- Tak, to bzdura.

- Tymczasem Ryszard zrobił akurat to, czego należało się po nim spodziewać. Nie ulega wątpliwości, że znał treść testamentu Edwarda. Jego postępowanie sugeruje wyłącznie żal po śmierci brata i poczucie odpowiedzialności za los bratanka. Msza żałobna i przysięga na wierność.

- Tak.

- A kiedy nastąpiła ta nagła zmiana, to znaczy, w normalnym zachowaniu się Ryszarda?

- O, o wiele później. Po przybyciu do Londynu okazało się, że królowa z młodszym chłopcem, z córkami i z Dorsetem, synem z pierwszego małżeństwa, schroniła się w Opactwie Westminsterskim. Ale poza tym wydaje się, że wszystko szło zwykłym trybem.

- Czy zabrał chłopca do Tower, do zamku?

Carradine zaczął przeglądać swoje notatki.

- Nie pamiętam. Chyba nic na ten temat nie znalazłem. Wiem tylko... Ach, tak, mam. Zawiózł chłopca do pałacu biskupa w pobliżu katedry Świętego Pawła, a sam zatrzymał się u matki w zamku Baynarda. Może pan wie, gdzie to było, bo ja nie wiem.

- Tak, wiem. To była londyńska siedziba księcia Yorku. Zamek stał blisko katedry, trochę na zachód, na brzegu Tamizy.

- Ach tak. Otóż mieszkał tam do piątego czerwca, kiedy przybyła z północy jego żona, i wtedy zamieszkali w domostwie zwanym Crosby Place.

- Do dzisiaj się tak nazywa. Zostało przeniesione do Chelsea i chociaż wspinał się okno, które Ryszard kazał w nim umieścić, może już nie istnieje,

bo ostatnio go nie widziałem, to jednak budynek stoi.

- Rzeczywiście? - ucieszył się Carradine. - Prosto stąd pójde zobaczyć. To brzmi bardzo zwyczajnie, jak tak o tym wszystkim myślę. Zatrzymał się u matki aż do przyjazdu żony, a potem zamieszkał z nią razem. Czy Crosby Place było ich własnością?

- Zdaje mi się, że Ryszard wynajął ten wielki dom, należący do jednego z aldermanów, czyli radnych miasta Londynu. A więc nie znalazł pan żadnych śladów opozycji przeciwko uznaniu go za Protektora, żadnej zmiany planów po przybyciu do Londynu.

- O nie. Zanim jeszcze przybył do Londynu, był już uznany za Protektora.

- Skąd pan to wie?

- W dokumentach miejskich nazwany jest Protektorem przy dwóch okazjach - o tu... dwudziestego pierwszego kwietnia, to znaczy w niespełna dwa tygodnie po śmierci Edwarda, oraz drugiego maja, czyli na dwa dni przed przybyciem Ryszarda do Londynu.

- No dobrze. To mnie przekonało. Ale nie było żadnych sprzeciwów? Żadnych zapowiedzi, że wkrótce coś się stanie?

- Niczego takiego nie znalazłem. Piątego czerwca wydał szczegółowe rozporządzenia dotyczące koronacji bratanka, wyznaczonej na dwudziestego drugiego. Poleciał nawet wysłać wezwanie do czterdziestu rycerzy, którzy mieli otrzymać Order Łaźni. Był zdaje się taki zwyczaj, że odbywało się to zawsze w dniu koronacji.

- Piątego - zastanawiał się Grant. - A koronację wyznaczył na dwudziestego drugiego. Niewiele czasu zostawił sobie na zamach stanu.

- Właśnie. Jest nawet wzmianka o zamówieniu szat koronacyjnych dla chłopca.

- I co potem?

- Otóż - w głosie Brenta zabrzmiała skrucha - ja tylko tyle zdołałem dotąd znaleźć. Coś się wydarzyło w czasie zebrania Rady, chyba ósmego czerwca, ale współczesna relacja figuruje w „Memoires” Filipa de Commines i jeszcze nie udało mi się tego zdobyć. Ale mam obiecanę, że jutro ktoś mi pokaże egzemplarz tego dzieła, wydanie Mandrota z 1901 roku. Podobno ósmego czerwca biskup z Bath zaskoczył Radę jakąś wiadomością. Słyszał pan o biskupie z Bath? Nazywał się Stillington.

- Nigdy, o nim nie słyszałem.

- Był członkiem „All Souls”, cokolwiek to może znaczyć, oraz kanonikiem Yorku, cokolwiek to znów znaczy.

- Jedno i drugie brzmi mądrze i godnie.

- No, no, zobaczymy.

- Znalazł pan może jakichś ówczesnych historyków, poza Filipem de Commines?

- Jak dotąd ani jednego, który by pisał przed śmiercią Ryszarda. Commines pisał stroniczo z punktu widzenia francuskiego, ale nie był protudorski, i dlatego można mu wierzyć bardziej niż Anglikowi piszącemu o Ryszardzie w czasach Tudorów. Ale mam doskonały przyczynek do pana rozważań, jak tworzy się historię. Znalazłem to szukając współczesnych Ryszardowi historyków. Wie pan, między innymi zarzucano Ryszardowi, że po bitwie pod Tewkesbury z zimną krwią zabił jedyne go syna Henryka VI? Otóż może mi pan wierzyć albo nie, ale cała ta historia jest zmyślona. Można prześledzić dzieje tego kłamstwa od czasu, gdy pierwszy raz to opisywano. Świetna odpowiedź dla tych wszystkich, którzy mówią, że nie ma dymu bez ognia.

- Ależ Ryszard był jeszcze chłopcem w czasie bitwy pod Tewkesbury!

- Miał chyba osiemnaście lat. I wedle wszystkich współczesnych źródeł znał się na wojaczce bardzo dobrze. Obaj byli w tym samym wieku, syn Henryka i Ryszard. Otóż wszystkie ówczesne źródła, niezależnie od zabarwienia, twierdzą jednogłośnie, że księżę Walii został zabity w czasie bitwy. Dopiero potem zaczyna się to wszystko.

Carradine niecierpliwie szukał w swoich notatkach.

- Do licha, co ja z tym zrobiłem? Aha, jest tutaj. A więc Fabyan, piszący dla Henryka VII, twierdzi, że chłopiec został pojmany i przyprowadzony przed Edwarda IV, który uderzył go w twarz rękawicą, a wtedy natychmiast słudzy królewscy go zabili. Ładnie, co? Ale Polydore Virgil idzie krok dalej. Jego zdaniem morderstwa dokonali osobiście George, księżę Clarence, Ryszard, księżę Gloucester, i William, lord Hastings. Hall dodaje do nich jeszcze Dorseta. Ale to wszystko nie zadowala Holinsheda. Holinshed twierdzi, że to właśnie Ryszard, księżę Gloucester, zadał pierwszy cios. Jak to się panu podoba? Tonypany w najlepszym gatunku, no nie?

- Tak, całkowicie. Dramatyczna historia, w której nie ma jednego słowa prawdy. Jeżeli wytrzyma pan jeszcze parę zdań z dzieła More'a, to dam panu znowu jeden przykład, jak się tworzy historię.

- Już mnie mdli, jak to słyszę, ale proszę, niech pan czyta.

Grant znalazł ustęp, o który mu chodziło, i zaczął:

Niektórzy mądrzy ludzie także myśleli, że w jego (to znaczy Ryszarda) dążeniu, dosyć ukrywanym, nie brakło chęci pchnięcia brata Clarence'a do śmierci, której to śmierci przeciwstawił się otwarcie, jakkolwiek trochę, sądzono, mniej silnie, niż gdyby bardzo mu zależało na jego ocaleniu. A ci, co tak myśleli, uważali, że on, dawno już, za czasów króla Edwarda, przypuszczał, iż będzie królem w wypadku, gdyby król, jego brat (którego nieodpowiednie żywienie mogło jego zdaniem życie mu skrócić), miał

zembrzeć (jak w rzeczywistości zmarł) pozostawiając dzieci jeszcze małe. I myśleli, że z tego powodu zadowolony był ze śmierci swego brata Clarence'a, którego życie musiałoby przeszkadzać mu w tych zamierzeniach, gdyby rzeczony Clarence pozostał wierny swemu bratankowi, młodemu królowi, albo gdyby sam zechciał być królem. Ale na ten temat nie ma żadnej pewności i ten, kto tak przypuszcza opierając się na pogłoskach, może strzelać albo za daleko, albo, za blisko.

- Co za wredne insynuacje - mruknął pod nosem Carradine.

- Ale czy w tym wszystkim udało się panu wyodrębnić jedną jedyną informację konkretną?

- O, tak.

- Zauważył pan, prawda? To sprytnie, mój chłopcze. Ja musiałem trzy razy przeczytać ten kawałek, zanim rzucił mi się w oczy ten jeden niewątpliwy fakt.

- Że Ryszard publicznie sprzeciwiał się zgładzeniu brata?

- Właśnie.

- Oczywiście, po tych wszystkich „myślano” i „sądzono” zostaje wrażenie wręcz odwrotne - stwierdził Carradine gorąco. - Do diabła z takimi historykami!

- Powinniśmy chyba pamiętać, że to jest relacja Johna Mortona, a nie sir Tomasza.

- Ale sir Tomasz brzmi lepiej. Może zresztą podobała mu się ta wersja, jeżeli ją sobie przepisał.

Grant, który w swoim czasie był żołnierzem, leżał rozmyślając, jak zręcznie została rozwikłana ta bardzo niełatwa sytuacja w Northampton.

- Ryszard doskonale załatwił się z dwoma tysiącami ludzi Riversa bez żadnego przelewu krwi.

- Przypuszczalnie woleli brata króla od brata królowej, kiedy już musieli wybierać.

- Tak. A zresztą człowiek, który umie walczyć, ma zawsze większe szanse u wojska niż człowiek, który pisze książki.

- To Rivers pisał książki?

- Pierwsze dzieło wydrukowane w Anglii wyszło spod jego pióra. To był bardzo uczony człowiek.

- Ale nie nauczył się jednego: że lepiej nie zaczynać z człowiekiem, który mając osiemnaście lat posiadał już doświadczenie bojowe, a armią dowodził, zanim skończył dwadzieścia trzy. To zresztą jest dosyć zdumiewające, nieprawdaż?

- Co? Uzdolnienia wojskowe Ryszarda?

- Nie, jego młodość. Raczej myślałem o nim jako o zgryźliwcu w średnim

wieku. A on miał zaledwie trzydzieści dwa lata, kiedy zginął pod Bosworth.

- Jeszcze jedno: kiedy Ryszard przejął opiekę nad chłopcem w Stony Stratford, czy pozbył się całej jego świty, która przybyła z Ludlow? To znaczy, czy chłopiec został nagle oddzielony od wszystkich, wśród których dotąd żył?

- O nie. Na przykład jego nauczyciel, ksiądz Alcock, przybył z nim razem do Londynu.

- A więc nie widać żadnego panicznego usuwania każdego, kto mógłby być po stronie Woodville'ów i nastawiać chłopca przeciw stryjowi?

- Chyba nie. Tylko tamtych czterech, których uwięziono.

- Tak, bardzo zręczna, przemyślana akcja. Pogratulować Ryszardowi Plantagenetowi.

- Facet zaczyna mi się coraz wyraźniej podobać. No, to teraz pójdę obejrzeć sobie Crosby Place. Jestem wprost podniecony na myśl, że naprawdę będę mógł obejrzeć dom, w którym mieszkał. A jutro dostanę ten egzemplarz Commines'a i dam panu znać, co on ma do powiedzenia o wydarzeniach w Anglii w roku pańskim 1483, a zwłaszcza, co Robert Stillington, biskup z Bath, powiedział Radzie Królewskiej w czerwcu tegoż roku.





ROZDZIAŁ 10

Grant dowiedział się, że owego letniego poranka roku 1483 Stillington oznajmił Radzie, iż udzielił ślubu Edwardowi IV i lady Eleonorze Butler, córce pierwszego hrabiego Shrewsbury, zanim Edward pojął za żonę Elżbietę Woodville.

- Ale czemu biskup tak długo ani słówka nie pisał? - spytał inspektor po pierwszym momencie zaskoczenia.

- Edward nakazał mu tajemnicę. To oczywiste.

- Wygląda, że Edward z zasady małżeństwa zawierał ukradkiem - cierpko zauważył Grant.

- Sytuacja stawała się dla niego nie do zniesienia, ilekroć trafiał na nieugiętą cnotę. Zostawało jedynie małżeństwo. Nasz Edward był przyzwyczajony do tego, że każdą kobietę mógł zdobyć - zarówno dzięki swojej urodzie, jak i dzięki koronie - więc nie umiał zrezygnować, znieść niepowodzenia.

- Tak, w ten sposób przecież doszło do ożenku z Elżbietą Woodville. Nieugięte cnotliwa piękność o złotych włosach i ślub w tajemnicy. Po prostu Edward posłużył się tą samą metodą już wcześniej, o ile Stillington mówił prawdę.

- W każdym razie w czasie panowania Edwarda Stillington był kolejno Lordem Tajnej Pieczęci i Kanclerzem, a także spędził czas pewien jako poseł królewski w Bretanii. Wynika z tego, że Edward albo zaciągnął wobec niego jakieś zobowiązania, albo go lubił. Stillington zaś ze swej strony nie miał powodu, by knuć coś przeciwko Edwardowi. O ile w ogóle był typem, który ma tendencje do knucia czegokolwiek.

- Chyba raczej nie był.

- Dość że całą sprawę przedłożono Parlamentowi, więc nie musimy polegać tylko na słowie Stillingtona.

- Parlamentowi!

- Oczywiście. Wszystko zostało jawnie i wyraźnie opowiedziane. Nastąpiło długie posiedzenie Izby Lordów w Westminsterze dziewiątego czerwca. Stillington przedstawił swoją opowieść i świadków, przygotowano sprawozdanie, by je przedłożyć Izbie Gmin, która miała się zebrać dwudziestego piątego czerwca. Dziesiątego Ryszard wystosował list do miasta York z żądaniem, by przysłano mu wojsko dla ochrony i pomocy.

- Ach, więc w końcu jednak zaczęło się jakieś zamieszanie?
- Tak. Jedenastego wysłał podobny list do swego kuzyna, lorda Nevilla. Widać przewidywał realne niebezpieczeństwo.
- Tak, musiało być realne. Człowiek, który tak zręcznie rozprawił się z nieoczekiwaną, a paskudną sytuacją w Northampton, nie straciłby głowy z powodu jakiejś pogroźki.
- Dwudziestego z małą grupą swoich ludzi udał się do Tower. Wie pan, że wtedy Tower było królewską siedzibą w Londynie, a wcale nie więzieniem.
- Tak, wiem. Przyzwyczajiliśmy się myśleć innymi kategoriami i słowa „posłać kogoś do Tower” mają dziś tylko jedno znaczenie. Oczywiście, że w czasach, kiedy w naszym kraju nie istniały jeszcze więzienia, w tym królewskim zamku, posiadającym mocne lochy, trzymano też przestępców. Po co Ryszard udał się do Tower?
- Po to, by przerwać knowania konspiratorów, uwięził lorda Hastingsa, lorda Stanley’a i niejakiego Johna Mortona, biskupa z Ely.
- Otóż to! Wiedziałem, że prędzej czy później dotrzemy do Johna Mortona.
- Ogłoszono proklamację, podającą szczegóły ich spisku mającego na celu zgładzenie Ryszarda, ale nie ulega wątpliwości, że do naszych czasów nie zachował się żaden egzemplarz tego aktu. Ścięto tylko jednego ze spiskowców i, co najdziwniejsze, był nim dawny przyjaciel i Edwarda, i Ryszarda: lord Hastings.
- Tak, wedle More’a od razu wyprowadzono go na dziedziniec i ścięto na pierwszym pnju, jaki był pod ręką.
- Wcale nie od razu - skorygował Carradine z niesmakiem. - Ścięto go w tydzień później. Zachował się z tamtych czasów list podający dokładną datę. Co więcej, niemożliwe, by Ryszard zrobił to z samej mściwości, bo wdowie po Hastingsie przyznał jego skonfiskowane dobrą, a dzieciom przywrócił prawo dziedziczenia, które utraciły automatycznie.
- Tak, widocznie śmierci Hastingsa nie można było uniknąć - mówił Grant, przewracając kartki „Ryszarda III” More’a. - Nawet sir Tomasz stwierdza: „Niewątpliwie Protektor kochał go bardzo i bolał nad jego utratą”. A co się stało ze Stanleyem i Johnem Mortonem?
- Stanleya ułaskawiono. Dlaczego pan jęknął?
- Biedny Ryszard. Tym podpisał swój wyrok śmierci.
- Wyrok śmierci? Czemu?
- Bowiem właśnie nagła decyzja Stanleya, że przejdzie na stronę wroga, spowodowała klęskę Ryszarda pod Bosworth.
- Niemożliwe?
- Aż dziw pomyśleć, że gdyby tylko Ryszard dopilnował, by Stanley dał

głowę, tak jak ją dał drogi przyjaciel Hastings, to wygrałby bitwę pod Bosworth. nie byłoby nigdy żadnych Tudorów, a ów garbaty potwór straszący w tradycji tudorowskiej nigdy by nie został wymyślony. Sądząc z początkowych osiągnięć, panowanie Ryszarda byłoby chyba najlepszym i najbardziej oświeconym okresem w dziejach Anglii. A co się stało z Mortonem?

- Nic.

- Znowu błąd.

- A w każdym razie nic ważnego. Przebywał w areszcie domowym pod nadzorem Buckinghama. Ścięto tylko samych przywódców spisku, tych aresztowanych w Northampton, to znaczy Riversa i spółkę. No, a Jane Shore została skazana na odbycie pokuty.

- Jane Shore? A cóż ona miała z tym wspólnego? Myślałem, że była kochanką Edwarda?

- Bo i była. Ale wygląda, że Hastings odziedziczył ją po Edwardzie. A raczej... ach, tak, to nie on, a Dorset. Pośredniczyła pomiędzy Hastingsem z jednej strony a Woodville'ami z drugiej. Jeden z zachowanych do dziś listów Ryszarda dotyczy jej, właśnie Jane Shore.

- O czym jest ten list?

- Prokurator koronny chciał się z nią ożenić. Kiedy już Ryszard został królem.

- A on się zgodził?

- Zgodził się. To uroczy list. Więcej w nim smutku niż gniewu i jakby lekkie przymrużenie oka.

- „Oj, co za głupcy ci ludzie!”⁴

- Z ust mi pan to wyjął!

- A przy tym bez żadnej mściwości, prawda?

- Nie, wręcz przeciwnie. Widzi pan, chociaż pamiętam, że nie do mnie należy myślenie czy wysnuwanie wniosków, jestem bowiem tylko szperaczem, ale uderzające jest dla mnie, jak wyraźnie Ryszardowi zależało na położeniu kresu walkom Yorków i Lancastrów, i to raz na zawsze.

- Z czego pan to wnioskuje?

- Po prostu przejrzałem spisy ludzi, którzy brali udział w jego koronacji. Nawiasem mówiąc, była to najliczniej obesłana koronacja ze wszystkich dotychczasowych. Rzuca się w oczy, że właściwie nikogo nie brakowało. Tak ze stronników Lancastrów, jak Yorków.

- Włącznie ze Stanleyem, zmiennym jak chorągiewka na wietrze, co?

- Przypuszczalnie. Nie poznałem jeszcze dobrze wszystkich osobistości,

⁴ William Shakespeare „Sen nocy letniej”, akt III, scena II, w tłum. St. Koźmiana.

by pamiętać poszczególne nazwiska

- Może ma pan rację, że chciał ostatecznie zakończyć Wojnę Dwóch Róż. Może i pobłażliwość wobec Stanleya wynikała z tego.

- Więc Stanley też należał do obozu Lancastrów?

- Nie, ale był żonaty z osobą zupełnie zwariowaną na tym punkcie. Jego żoną była bowiem Małgorzata Beaufort, Beaufortowie zaś byli odwrotną stroną, że tak powiem, nieślubną gałęzią rodziny Lancastrów. Nic się tym zresztą nie przejmowała ani ona, ani jej syn.

- Kto był jej synem?

- Henryk VII.

Carradine aż zagwizdał - cicho, ale przeciągle.

- A więc mówi pan, że lady Stanley była matką Henryka?

- Tak, bo pierwszym jej mężem był Edmund Tudor.

- Ale... ale chyba tej lady Stanley przypadło honorowe miejsce w czasie koronacji Ryszarda. Niosła tren królowej. Zapamiętałem, bo wydawało mi się takie śmieszne to noszenie trenu. My w naszym kraju nie nosimy niczych trenów. Przecież to musiał być zaszczyt?

- Cholerny zaszczyt! Biedny Ryszard, biedny. Nie opłaciła mu się.

- Co?

- Wielkoduszność. - Leżał i rozmyślał nad tym wszystkim, podczas gdy Carradine przerzucał swoje notatki. - A więc Parlament uwierzył oświadczeniu Stillingtona?

- Nie tylko uwierzył. Włączył je do aktu nadającego Ryszardowi prawo do korony i zwanego *Titulus Regius*.

- Jak na czcigodnego męża bożego, ten Stillington nie wydaje się postacią zbyt budującą. Ale przypuszczam, że gdyby wcześniej zaczął mówić, sam by spowodował swój upadek.

- Ostro go pan sądzi. Przecież wcześniej nie było żadnej potrzeby, by mówił. Nikomu nie działa się krzywda.

- A co z lady Eleonorą Butler?

- Umarła w klasztorze, pochowano ją w kościele Białych Karmelitanek w Norwich, o ile to pana interesuje. Póki Edward żył, nikomu nie działa się krzywda. Ale kiedy zaistniał problem następstwa tronu, wtedy Stillington musiał zacząć mówić bez względu na to, co ludzie o nim pomyślą.

- Tak. Oczywiście, racja. A więc Parlament uznał dzieci za nieślubne. Ryszard został ukoronowany w obecności całej szlachty angielskiej. Czy królowa dalej pozostawała w opactwie?

- Tak. Ale zgodziła się, by młodszy syn zamieszkał z bratem.

- Kiedy to było?

Carradine znowu zaczął szukać w swoich notatkach.

- Szesnastego czerwca. Zanotowałem: „Na żądanie arcybiskupa

Canterbury. Obaj mieszkają w Tower”.

- To było już po tej wiadomości. Po wiadomości, że są nieślubnymi dziećmi Edwarda.

- Tak. - Ułożył kartki i wsadził do swojej ogromnej kieszeni. - To chyba wszystko na dzisiaj. Ale tu jest jeszcze coś na deser. - Zarzucił sobie na kolana połę płaszcza takim ruchem, że zarówno Marta, jak i król Ryszard mogli mu pozazdrościć. - Pamięta pan ten akt, ten *Titulus Regius*?

- Tak, a o co chodzi?

- Otóż Henryk VII, jak tylko wstąpił, na tron, zażądał, by ten akt został anulowany i to bez czytania. Nakazał sam dokument zniszczyć i zabronił przechowywania jakichkolwiek kopii. Każdy, kto by kopię rzeczonego aktu przechowywał, miał być ukarany grzywną i uwięziony na tak długo, jak długo królowi się spodoba.

Grant szeroko otworzył oczy.

- Henryk VII? - powtórzył. - Dlaczego? A cóż za różnica, czy go czytano, czy nie?

- Nie mam zielonego pojęcia. Ale nie omieszkać się dowiedzieć, i to jak najszybciej. A tymczasem przyniosłem tu coś, żeby panu się nie nudziło aż do czasu, kiedy zjawi się Statua Wolności z filiżanką herbaty.

Upuścił leżącemu na pierś jakiś papier.

- Cóż to takiego? - spytał Grant na widok kartki wydartej z notesu.

- To ten list Ryszarda na temat Jane Shore. Do zobaczenia.

Pozostawszy sam Grant ujął kartkę i zaczął czytać.

Kontrast pomiędzy niewyrobionym charakterem pisma Brenta a staroświeckimi zdaniem Ryszarda był wręcz fascynujący. Ale ani nieporządne pismo, ani dystyngowane sformułowania nie zdołały zatrzeć ogólnego tonu listu, smaku trochę takiego, jaki pozostawia szlachetne wino. Po przetłumaczeniu na dzisiejszy język list ten brzmiał mniej więcej tak:

Dowiaduję się ku memu wielkiemu zdumieniu, że Tom Lynom chce pojąć za żonę wdowę po Willu Shore. Najwidoczniej świata poza nią nie widzi i postanowienie jego jest niezłomne. Poślij po niego, drogi księżę biskupie, i spróbuj, może uda Ci się przemówić do rozsądku temu durniowi. Jeżeli tego nie zdołasz i jeżeli z punktu widzenia Kościoła nie ma żadnych przeszkód do zawarcia rzeczonego małżeństwa, to zgadzam się, ale powiedz mu, by wstrzymał się ze ślubem, dopóki nie wróci do Londynu. Tymczasem list ten wystarczy do jej zwolnienia, byleby się dobrze sprawowała, a ja proponuję, byś na ten czas przekazał ją pod opiekę ojca lub kogoś innego, kto Ci się wyda odpowiedni.

W liście rzeczywiście było „więcej smutku niż gniewu”, jak mówił Carradine. I kiedy się pomyśli, że słowa te odnoszą się do kobiety, która wyrządziła mu śmiertelną krzywdę, wtedy widać wyraźnie, jak wiele tu dobroci i wyrozumiałości. Co więcej, wspaniałomyślność w tej sprawie nie mogła mu przynieść żadnej osobistej korzyści. Wyrozumiałość, dzięki której dążył do pokoju pomiędzy stronnikami Yorków i Lancastrów, mogła nie być bezinteresowna: o ileż łatwiej rządzić krajem spokojnym i nieskłóconym! Natomiast ten list do biskupa Lincoln u dotyczył drobnej prywatnej sprawy, zaś uwolnienie Jane Shore nie było ważne dla nikogo, prócz zakochanego Toma Lynoma. Ryszard nie zyskiwał tu niczego w zamian za swoją wspaniałomyślność. Jego chęć uszczęśliwienia przyjaciela była widocznie silniejsza niż chęć odwetu.

Doprawdy, wygląda, że Ryszardowi w zdumiewającym stopniu brakło instynktu zemsty; byłoby to dziwne u każdego gorącokrwistego mężczyzny, a już u niego, uważanego za potwora - zdawało się wręcz nieprawdopodobne.





ROZDZIAŁ 11

List znakomicie zajął Granta aż do herbaty, którą mu podała Amazonka. Słuchając dwudziestowiecznych wróblei rozćwierkanych na parapecie okna myślał, jakie to dziwne czytać zdania, sformułowane przez kogoś przeszło czterysta lat temu. A Ryszardowi jakie fantastyczne wydawałoby się przypuszczenie, że ktoś po czterystu latach będzie czytał jego krótki prywatny list na temat wdowy po Willu Shore i że ktoś będzie się zastanawiał nad nim.

- Przyniosłam panu list, to miła niespodzianka, prawda? - powiedziała Amazonka wchodząc z dwoma kromkami chleba i kawałkiem ciasta.

Grant podniósł oczy i stwierdził, że list jest od Laury. Zabrał się do niego z zadowoleniem.

Kochany Alanie,

Jeżeli idzie o historię, to już nic, ale to nic zdziwić mnie nie jest w stanie. Szkocja posiada wielkie pomniki dwóch męczennic utopionych za wiarę - mimo faktu, że nie zostały wcale utopione, że żadna nie była męczennicą za wiarę, ale zostały skazane za zdradę, typowa piąta kolumna przygotowująca inwazję, z Holandii, zdaje się. W każdym razie nie miało to nic wspólnego z wiarą. Same wniosły prośbę do Tajnej Rady i zostały ułaskawione, a tekst owego ułaskawienia figuruje po dziś dzień w rejestrach Rady.

Ale to oczywiście nie odstraszyło tych, którzy kolekcjonują szkockich męczenników; do dzisiaj opowieść o ich smutnym końcu wraz z odpowiednio wzruszającym dialogiem można znaleźć w każdej szkockiej bibliotece, choć na ogół dialogi się trochę różnią.

Częstokroć te męczennice stanowią nawet temat pięknych prezbiteriańskich kazań, choć wiem to tylko z opowiadania, sama ich nie słyszałam. A przejści turyści kiwają głowami czytając wzruszające napisy na pomnikach.

I wszystko to pomimo faktu, że w okresie największego tryumfowania prezbiterianizmu, w czterdzieści zaledwie lat po tym przypuszczalnym męczeństwie, pierwszy człowiek, który usiłując zebrać do tych spraw materiały, przeczesał dokładnie całą okolicę Wigtown i skarżył się, że „wielu stwierdzało, iż to się w ogóle nie zdarzyło”, i nie mógł znaleźć żadnych naocznych świadków.

Bardzo ucieszyła nas wiadomość o poprawie Twego zdrowia. Przyniosło

nam to wielką ulgę. Jeżeli się postarasz, to może przyjedziesz tu na rekonwalescencję akurat w porze wiosennej ciągu pstrągów.

W tej chwili woda jest niska, ale kiedy wydobrzejesz, powinna już być dostatecznie wysoka i dla ryb, i dla Ciebie.

Moc serdeczności od nas wszystkich

Laura

PS. To dziwne, ale kiedy mówisz ludziom prawdziwe fakty na temat jakiejś mitycznej opowieści, od razu zaczynają się złościć nie na tego, kto pierwszy tę opowieść przyniósł, ale na ciebie. Nie lubią obalania raz powziętych poglądów, czują się wtedy jakoś niewyraźnie, i to ich złości. Wolą więc odrzucić tę nowość i nawet o niej nie myśleć. Gdyby pozostali po prostu obojętni do całej sprawy, byłoby to naturalniejsze i zrozumialsze, ale nie, ona budzi o wiele silniejsze, o wiele bardziej zdecydowane uczucia, denerwuje, drażni. Dziwne, prawda?

Znowu Tonypandy, pomyślał Grant. Zaczął się zastanawiać, jak wiele z treści podręczników, które dotąd składały się na historię brytyjską, było także takim Tonypandy.

Sięgnął znów po dzieło sir Tomasza, by zobaczyć, jak zabrzmiały te wszystkie ważniejsze ustępy teraz, gdy poznał fakty.

Jeżeli przedtem, czytając bez przygotowania, wedle własnego sądu, uważał je za zdumiewająco plotkarskie, a chwilami wręcz absurdalne, to teraz sprawiały wrażenie odpychające. Był, jak to określał mały synek Laury, wyraźnie „zbrzydzony”. A zarazem zaintrygowany.

Przecież to jest relacja Mortona. Mortona będącego świadkiem, uczestnikiem tych zdarzeń. Mortona, który musiał wiedzieć najdokładniej, co się zdarzyło pomiędzy początkiem a końcem czerwca owego roku. A mimo to nie było tu ani słowa wzmianki o lady Eleonorze Butler, ani słowa o akcie zwanym *Titulus Regius*.

Wedle Mortona Ryszard twierdził, że Edward ożenił się wcześniej ze swoją kochanką, Elżbietą Lucy. Ale Elżbieta Lucy, co Morton wyraźnie podkreślał, zaprzeczyła, jakoby kiedykolwiek była poślubiona królowi.

Czemuż to Morton ustawił tego pionka, by go natychmiast przewrócić?

Po co zastąpił Eleonorę Butler jakąś Elżbietą Lucy?

Czy dlatego, by móc szczerze zaprzeczyć, jakoby Elżbieta Lucy była kiedykolwiek poślubiona królowi - a nie mógłby, gdyby mowa była o Eleonorze Butler?

Prawdopodobnie komuś bardzo zależało na tym, żeby twierdzenie Ryszarda o nieślubnym pochodzeniu dzieci było wyraźnie nie do obronienia.

A ponieważ Morton - w odręcznej kopii czcigodnego sir Tomasza - pisał na zlecenie Henryka VII, więc tym kimś był przypuszczalnie Henryk VII, ten sam Henryk VII, który kazał zniszczyć *Titulus Regius* i zabronił komukolwiek przechowywać odpis.

Słowa, wypowiedziane przez Carradine'a, wróciły raptem na myśl Grantowi: Henryk polecił, by akt ów został anulowany bez czytania.

Henrykowi tak zależało na tym, by nawet treści tego aktu nie przypomniano sobie, że specjalnie zalecił zniszczenie wszystkich egzemplarzy też bez czytania.

Czemu było to takie ważne dla Henryka VII?

Co mogło obchodzić Henryka, jakie prawa do korony miał Ryszard? Przecież tu nie zachodziła możliwość powiedzenia: „Prawa Ryszarda były sfabrykowane, wobec tego moje są dobre”. Te minimalne prawa do korony, jakie miał Tudor, były to prawa po Lancastrach, a więc prawa domu Yorków nie miały z tym nic wspólnego.

Dlaczego więc było to tak niezwykle ważne dla Henryka, żeby treść aktu *Titulus Regius* pozostała w zapomnieniu?

Po co zatajać Eleonorę Butler, a na jej miejsce wymieniać jakąś kochankę, co do której nigdy nie było nawet przypuszczenia, jakoby ją król poślubił?

Grant głowił się nad tym wszystkim prawie do kolacji, a właściwie do chwili, gdy zjawił się portier z liścikiem

- To zostawił dla pana jakiś młody Amerykanin.
- Dziękuję bardzo - ucieszył się Grant. - Co też pan wie o Ryszardzie III?
- Można zdobyć jakąś nagrodę?
- Za co?
- No, w jakimś konkursie?
- Nie, chcę zaspokoić własną intelektualną ciekawość. Co pan wie o Ryszardzie III?
- Że był pierwszym masowym mordercą.
- Masowym? Myślałem, że zabił dwóch bratanków.
- Ale skąd. Niedużo umiem z historii, ale to wiem. Zamordował własnego brata, potem biednego starego króla zamkniętego w Tower i na zakończenie dwóch bratanków. Hurtownik był z niego i tyle.

Granta zastanowiły jego słowa.

- Gdybym pana zawiadomił, że w ogóle nikogo nie zamordował, co by pan na to powiedział?

- Powiedziałbym, że wolno panu tak sądzić. Są ludzie, którzy do dziś wierzą, że ziemia jest płaska. Inni, że w roku dwutysięcznym będzie koniec świata. Jeszcze inni, że świat nie ma więcej niż pięć tysięcy lat. A koło Marble Arch można usłyszeć jeszcze dziwniejsze rzeczy.

- Więc nawet na chwilę nie zaciekawiałyby pana taka wiadomość?
- Owszem, to nawet bardzo ciekawe, choć nie bardzo prawdopodobne. Ale ma pan wolną drogę, żeby wypróbować to w lepszym miejscu. Niech pan zacznie o tym mówić w jakąś niedzielę koło Marble Arch, na pewno znajdzie się mnóstwo takich, co uwierzą. Może zapoczątkuje pan cały ruch.

Żartobliwie zasalutował i odszedł nucąc coś pod nosem - bezpiecznie niewzruszony.

O mój Boże, zreflektował się Grant, wcale mi do tego niedaleko. Jeszcze trochę, a naprawdę wyląduję koło Marble Arch na skrzynce od mydła.

Wyjął i rozłożył liścik Carradine'a i przeczytał:

Polecił mi Pan sprawdzić, czy pozostali w linii sukcesji przeżyli Ryszarda III tak samo jak chłopcy. Zapomniałem od razu poprosić, ale może mógłby Pan sporządzić mi listę tych osób, żebym wiedział, kogo szukać. Myślę, że to okaże się ważne.

No cóż, pomyślał Grant, większość ludzi idzie swoją drogą nucąc obojętnie, ale przynajmniej mam po swej stronie młodą Amerykę.

Odłożywszy na bok sir Tomasza z opisami dramatycznych scen i oskarżeń sięgnął po spokojną uniwersytecką historię, by spisać ewentualnych rywali Ryszarda III do angielskiego tronu.

Już po odłożeniu dzieła More'a, czy raczej Mortona, przypomniał sobie coś jeszcze.

Przecież to historyczne zajście podczas zebrania Rady w twierdzy londyńskiej, opisane przez More'a, to szalone oskarżenie Ryszarda, że czary spowodowały uschnięcie mu ręki, skierowane było przeciwko Jane Shore.

Zdumiewający kontrast pomiędzy opisywaną - jakoby autentyczną - sceną, bezsensowną i obrzydliwą nawet dla obojętnego czytelnika, a owym dobrym, wyrozumiałym, niemal żartobliwym nastrojem listu, jaki naprawdę został w tej sprawie napisany przez Ryszarda.

Niech mnie licho, pomyślał znowu, gdybym miał wybierać pomiędzy człowiekiem, który przekazał tę scenę, a człowiekiem, który napisał ten list, wybrałbym na pewno autora listu, nie bacząc na to, co poza tym zrobili w życiu ci dwaj ludzie.

Kiedy zaczął myśleć o Mortonie, to zaciekawilo go, co ostatecznie się z nim stało. Odłożył więc jeszcze na chwilę wypisywanie ewentualnych kolejnych sukcesorów z rodu Yorków. Okazało się, że Morton zużytkował swój pobyt w domu Buckinghamów na przygotowanie wspólnego przedsięwzięcia Woodville'ów i Lancastrów (w którym Henryk Tudor uzyskawszy okręty i wojska od Francji miał się spotkać z Dorsetem i resztą

rodu Woodville'ów na czele wszystkich angielskich malkontentów, jakich uda się im pociągnąć za sobą), a potem uciekł do swoich dawnych rewirów w okręgu Ely i stamtąd na kontynent. Nie wrócił do Anglii aż dopiero w ślad za Henrykiem, gdy ten już zwycięstwem pod Bosworth zdobył koronę. Miał wtedy przed sobą Canterbury i kapelusz kardynalski, a także nieśmiertelność jako ten od Widel Morton, czyli jedyne go szczegółu, jaki każdy angielski uczeń pamięta z czasów Henryka VII.

Przez resztę wieczoru Grant ochoczo grzebał w książkach historycznych, kolekcjonując spadkobierców do tronu.

Bo też i nie brakowało ich wcale. Piątka Edwarda, chłopiec i dziewczynka George'a. A jeżeli by tych nie brać pod uwagę, jednych z powodu nieprawego pochodzenia, a drugich ze względu na wyjęcie spod prawa, zostawał jeszcze ktoś inny: syn starszej siostry Ryszarda, Elżbiety. Wyszła ona za księcia Suffolk, a jej synem był John de la Pole, hrabia Lincoln.

Żył ponadto w rodzinie chłopiec, którego istnienia Grant nie podejrzewał. Okazało się bowiem, że ten chorowity malec w Middleham nie był jedynym synem Ryszarda. Miał on jeszcze dziecię miłości, nieślubnego syna, imieniem John. John z Gloucester. Chłopiec bez znaczenia, bez pozycji, ale uznany i mieszkający na dworze. Były to czasy, kiedy *bend sinister*, miano bastarda, noszono bez rozgoryczenia. Sam Zdobywca sprawił, że bywało nawet modne. A losy późniejszych zdobywców potwierdzały, że nie stanowiło dla nich wielkiego kłopotu.

Grant zrobił sobie małe *aide memoire*:

Edward - Edward, książę Walii

Ryszard, książę Yorku

Elżbieta

Cecylia

Anna

Katarzyna

Brygida

Elżbieta - John de la Pole, hrabia Lincoln

George - Edward, hrabia Warwick

Małgorzata, hrabina Salisbury

Ryszard - John z Gloucester

Przepisał to jeszcze raz na użytek młodego Carradine'a, zastanawiając się jednocześnie, jak mogło komukolwiek, a zwłaszcza Ryszardowi, przyjść do głowy, że wyeliminowanie dwóch synów Edwarda zabezpieczy go

przed rebelią. Przecież tam „aż gęsto było od sukcesorów” - powiedziałyby młody Carradine. Niechęci i zawiści mogły wybuchnąć z każdej strony.

Po raz pierwszy uświadomił sobie wyraźnie nie tylko, jak bezużyteczne byłoby z tego względu mordowanie chłopców, lecz także jak głupi.

A Ryszard, księżę Gloucester, jaki był, taki był - ale na pewno nie był głupi.

Zajrzał do Oliphanta, żeby zobaczyć, co też on ma do powiedzenia na temat tej niejasności.

„Zastanawiające - stwierdzał Oliphant - ale Ryszard nie podał chyba do publicznej wiadomości żadnej wersji śmierci chłopców”.

Więcej niż zastanawiające - to było niepojęte.

Gdyby Ryszard chciał zgładzić synów swego brata, to niewątpliwie zrobiłby to po mistrzowsku. Umarliby na złośliwą gorączkę, a ich ciała wystawiono by na widok publiczny, jak to bywało zazwyczaj ze zwłokami każdego z członków rodziny królewskiej, by wszyscy poddani przekonali się, że naprawdę zeszedł z tego świata.

Nikt nie może powiedzieć, że jakiś człowiek nie potrafiłby popełnić morderstwa - po długich latach pracy spędzonych w gmachu na Embankment Grant wiedział to aż nadto dobrze - ale można wiedzieć z niemal absolutną pewnością, kto nie popełni głupiego morderstwa.

Jednakże Oliphant nie miał żadnych wątpliwości co do sprawcy tego morderstwa. Ryszard jego zdaniem był potworem. Może zawsze tak jest, że historyk zajmujący się równie długim okresem, jak średniowiecze i renesans, nie ma czasu na analizę szczegółów. Oliphant przyjął wersję More'a, mimo że tu i ówdzie zastanawiało go to i owo. Nie zauważył, że niekonsekwencje podważają już podstawy samej relacji.

Ponieważ miał w ręce tom Oliphanta, więc przeglądał go dalej i czytał o triumfalnym objeździe Anglii odbytym po koronacji: Oksford, Gloucester, Worcester, Warwick. W czasie całej tej wyprawy nigdzie nie zanotowano głosów niechętnych, wszędzie słyhać było błogosławieństwa i dziękczynne modły - panowała powszechna radość, że wreszcie na stałe zapanują dobre rządy, że mimo wszystko nagła śmierć Edwarda nie skazała kraju na długie lata zamieszek czy na odnowienie się wojny domowej, co zdawała się wróżyć małość jego syna.

A tymczasem właśnie w czasie tego triumfu, tej jednogłośnie akceptacji, tej powszechnej radości (zdaniem Oliphanta, który powtarza ślepo za wersją More'a) miał Ryszard wysłać Tyrrela z powrotem do Londynu, by zgładził dwóch chłopców odrabiających swe lekcje na zamku Tower. Pomiedzy siódmym a piętnastym lipca. Tego lata, gdy przebywał bezpiecznie w samym sercu ziem Yorków w Warwick na granicach Walii, uknuł plan zagłady dwojga pozbawionych już znaczenia dzieci.

Brzmiało to bardzo mało prawdopodobnie.

Zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem historycy pod względem zdrowego sensu nie są podobni do owych znanych mu wielkich uczonych, którzy okazali się tak łatwowierni. Musi dowiedzieć się, i to bez zwłoki, dlaczego Tyrrel, jeżeli popełnił ten czyn w lipcu 1485, został postawiony pod sąd dopiero w dwadzieścia lat później? Gdzie był przez cały ten czas?

Zresztą dla Ryszarda to lato okazało się podobniejsze do dnia kwietniowego, zmienne, obiecujące, ale nic z tych obietnic nie wyszło. Jesienią musiał odpierać inwazję Woodville'ów i Lancastrów, którą Morton zdążył zmontować przed opuszczeniem ziemi angielskiej. Z łancasterskiej części przedsięwzięcia Morton mógł być dumny: wylądowali wiodąc flotę francuskich okrętów

i wojska francuskie. Ale strona Woodville'ów osiągnęła niewiele, bo tylko małe oddziały zebrały się w rozrzuconych po całym kraju punktach, takich jak Guildford, Salisbury, Maidstone, Newbury, Exeter i Brecon. Anglicy nie chcieli mieć nic wspólnego z Henrykiem Tudorem, którego nikt nie znał, ani z Woodville'ami, których wszyscy znali aż nadto dobrze. Nawet pogoda angielska im nie sprzyjała, a wezbrana powodzią rzeka Severn zatopiła nadzieje Dorseta, że zobaczy swą przyrodnią siostrę jako królowę, żonę Tudora. Henryk próbował wylądować na zachodzie, ale stwierdziwszy, że Devon i Kornwalia zbroją się przeciw niemu, odplynął z powrotem do Francji, by tam czekać pomyślniejszej sposobności. Dorset zaś przyłączył się do coraz większej grupy Woodville'owskich wygnańców trzymających się francuskiego dworu królewskiego.

Tak więc plan Mortona rozplynął się w jesiennym deszczu i obojętności Anglików, a Ryszard na jakiś czas miał spokój; ale z wiosną zjawiła się inna troska, na którą nie można było zaradzić. Śmierć syna.

„Mówiono, że król okazywał rozpaczliwy żal; nie był więc zupełnym potworem, kompletnie pozbawionym uczuć ojcowskich” - pisze historyk.

Ani uczuć mężowskich, jak się zdaje. Bo takie same oznaki cierpienia zauważono u niego w niecały rok później, kiedy zmarła Anna.

A potem nie pozostało mu już nic, tylko czekanie na powtórny inwazję, po tej, która się nie udała; trzymanie kraju w pogotowiu obronnym i niepokój, czy skarb państwa wytrzyma takie ciężary.

Zrobił tyle dobrego, ile mógł. Jego imieniem nazywa się wzorowy Parlament. Zawarł wreszcie pokój ze Szkocją i doprowadził do skutku małżeństwo swojej bratanicy z synem Jakuba III. Starał się usilnie o zawarcie pokoju z Francją, ale bez powodzenia. Na dworze francuskim przebywał Henryk Tudor, a Henryk Tudor był pupilkiem Francji. To, że Henryk wylądował w Anglii, tym razem z lepszym zapleczem, było tylko kwestią czasu.

Nagle Grant przypomniał sobie lady Stanley, zażarcie prolancasterską matkę Henryka. Jaką rolę odegrała lady Stanley w jesiennej inwazji, która zakończyła ostatecznie to lato Ryszarda?

Polował na tę wiadomość wśród gęsto nabitego druku, aż znalazł: lady Stanley została przyłapana na zdradzieckiej korespondencji ze swym synem.

Tylko że Ryszard znowu, nie bacząc na własny interes, okazał się zbyt wyrozumiały. Skonfiskowawszy majątki lady Stanley przekazał wszystko jej mężowi. Ją samą także oddał, pod nadzór mążowski. Cała ironia polegała na tym, że Stanley niemal na pewno tyle samo wiedział o inwazji co jego żona.

Tak, nie ulega wątpliwości, że potwór nie postępował tak, jakby można było oczekiwać.

Ostatnie pytanie, na jakie już prawie śpiący Grant nie umiał znaleźć odpowiedzi, brzmiało: jeżeli chłopców zamordowano w lipcu, a woodville'owsko-lancasterska inwazja zaczęła się w październiku, czemu nie wykorzystano śmierci książątek jako hasła zwołującego ludzi?

Niewątpliwie najazd był planowany na długo przedtem, zanim powstała myśl o morderstwie. Była to duża wyprawa w liczbie piętnastu okrętów i pięciu tysięcy zaciężnych, więc przygotowania na pewno trwały długie miesiące. Ale gdy nastał czas powstania, pogłoski o niemym czynie Ryszarda musiały już rozprzestrzenić się szeroko - o ile były w ogóle jakieś pogłoski. Czemuż więc nie rozgłaszali tej zbrodni po całej Anglii, by tym większą ilość wstrząśniętych ludzi pozyskać dla swojej sprawy?





ROZDZIAŁ 12

Spokojnie, spokojnie, napominał sam siebie obudziwszy się nazajutrz rano, zaczynasz się robić stronniczy. W ten sposób nie należy prowadzić śledztwa.

A więc, dla własnej dyscypliny wewnętrznej, przejął rolę oskarżyciela.

Przypuśćmy, że historia małżeństwa z lady Eleonorą była sfabrykowana. Wyreżyserowana przy pomocy Stillingtona. Przypuśćmy, że Izba Lordów i Izba Gmin chętnie uwierzyły w to oszustwo w nadziei na spokojne rządy.

Czy to wyjaśnia sprawę morderstwa chłopców?

Bynajmniej.

Przecież jeżeli ta historia była nieprawdą, to osobą, której należało się pozbyć, był Stillington. Lady Eleonora dawno już umarła w swoim klasztorze, więc nie ona była tym, kto w każdej chwili mógł obalić *Titulus Regius*. Ale Stillington mógł. A tymczasem Stillington jakoś bez trudu żył sobie w spokoju. Przeżył człowieka, którego osadził na tronie.

Nagła przerwa w działalności, gwałtowna zmiana normalnego rytmu przygotowań do koronacji była albo wspaniale wyreżyserowanym posunięciem, albo po prostu zrozumiałym skutkiem szoku, jaki wyznanie Stillingtona spowodowało u nie przygotowanych słuchaczy. Ryszard miał ile?... jedenaście czy dwanaście lat, kiedy kontrakt ślubny z lady Eleonorą został podpisany w obliczu świadka; mało więc prawdopodobne, by mógł coś o tym wiedzieć.

Jeżeli historia lady Butler była wymyślona po to, by przysłużyć się Protektorowi, to niewątpliwie Ryszard musiał potem wynagrodzić Stillingtona. A tymczasem nie ma najmniejszych śladów, jakoby Stillington otrzymał kapelusz kardynalski, jakiś tytuł czy urząd.

Lecz najsilniejszym potwierdzeniem, że historia tego małżeństwa jest prawdziwa, pozostaje gwałtowna potrzeba Henryka, by zatrzeć jego ślady. Gdyby to było kłamstwo, nie potrzebowałby do zdyskredytowania Ryszardą niczego więcej, jak tylko wyciągnąć sprawę na światło dzienne i kazać Stillingtonowi odszczekać wszystko. A tymczasem zatarł jak najgorliwiej wszelkie ślady.

W tym momencie zły na siebie Grant zdał sobie sprawę, że znowu jest po stronie obrony. Postanowił zająć się czym innym, Lawinią Fitch albo Rupertem Rouge, albo jeszcze którymś z modnych autorów leżących w zapomnieniu na stole. Musi przestać myśleć o Ryszardzie Plantagenecie aż

do chwili, gdy pojawi się młody Carradine, by wznowić śledztwo.

Wsadził do koperty szkic drzewa genealogicznego wnuków Cecylii Nevill, zaadresował do Carradine'a i wręczył Karliczce, by ją wysłała pocztą. Potem portret oparty o książki odwrócił twarzą do blatu - aby nie dać się uwieść twarzy, którą sierżant Williams bez chwili wahania zakwalifikował jako sędziowską - i sięgnął po „Pot na bruździe” Silasa Weekleya. Po tych zmaganiach serdecznych zabrał się do herbatek Lawinii, po herbatkach Lawinii do wybryków Ruperta za kulisami, a humor pogarszał mu się coraz bardziej, aż do chwili, gdy znowu pojawił się Brent Carradine.

Młody Amerykanin przyjrzał mu się troskliwie i spytał:

- Nie wygląda pan dzisiaj tak rzeško jak ostatnim razem. Nic się sytuacja nie poprawiła?

- Jeżeli idzie o Ryszarda, to nic. Mogę panu tylko pokazać nowy przykład Tonypandy.

I wręczył mu list Laury o utopionych kobietach, których nikt nigdy nie utopił.

Carradine rozpromieniał się w miarę czytania, aż wreszcie roześmiał się głośno.

- Ależ to stuprocentowe Tonypandy w najlepszym stylu. Nic pan o tym dotąd nie słyszał? Przecież pan jest Szkotem?

- Tylko z jednej strony. No cóż, wiedziałem wprawdzie, że jeżeli ktoś z tych prezbiterian zginął, to nie „za swoją wiarę”, ale nie miałem pojęcia, że ktoś - a raczej nawet dwie osoby - wcale nie zostały zabite.

- Jak to „nie za swoją wiarę”? - powtórzył Carradine zaniepokojony. - Czy to ma znaczyć, że cała ta sprawa jest mistyfikacją?

- Chyba tak - potwierdził Grant, sam trochę zdziwiony. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałem. Wiedziałem już od tak dawna, że ci „męczennicy” byli mniej więcej takimi samymi męczennikami jak bandziory, co wykończyły tamtą staruszkę w sklepiku w Essex, więc przestałem w ogóle o tym myśleć. W Szkocji nikt nie został skazany na śmierć za wiarę. Wszystko to były przestępstwa polityczne.

- Ależ ja byłem pewien, że ci prezbiterianie byli bardzo świętymi ludźmi.

- Bo oglądał pan dziewiętnastowieczne ryciny przedstawiające ich konwentykle. Grupkę ludzi na wrzosowisku wsłuchanych w słowa kaznodziei, ich młode uduchowione twarze i jego siwe włosy rozwiane na wietrze. A tymczasem prezbiterianie byli akurat odpowiednikiem IRA, najbardziej krańcowych niepodległościowców Irlandii. Znikoma nieprzejeżdżalna mniejszość, tak żadna krwi jak nigdy jeszcze w żadnym chrześcijańskim narodzie. Kto w niedzielę poszedł do kościoła zamiast na zebranie prezbiterianów, mógł zbudziwszy się w poniedziałek zastać

spaloną stodołę albo okaleczone konie. Za bardziej otwartą krytykę czekała kula. Ludzie, którzy w biały dzień na drodze koło Fife zastrzelili arcybiskupa Sharpa w obecności jego córki, byli tam czczeni jako bohaterowie. „Pełni odwagi i zapału w służbie Pana” - zdaniem ich zagorzałych wyznawców. Przez całe lata jeszcze żyli sobie spokojnie i butnie wśród swych prezbiteriańskich zwolenników na zachodzie kraju. Taki właśnie „głosiciel słowa Bożego” zastrzelił biskupa Honeymana na edynburskiej ulicy. Tak samo jak inni zabili starego proboszcza z Carspharin na jego własnym progu

- To brzmi rzeczywiście tak, jakby się działo w Irlandii - zauważył Carradine.

- Oni byli nawet gorsi od IRA, bo niejednokrotnie to miało charakter prawdziwej dywersji. Byli finansowani przez Holandię i stamtąd otrzymywali broń. Ich ruch nie miał w sobie nic stracącego, o nie! Zamierzali lada dzień objąć władzę i po swojemu rządzić Szkocją. Wszystkie ich kazania były jawną zdradą. Więcej, wyraźnym zachęcaniem innych do zdrady, nie ma co do tego dwóch zdań. Żaden nowoczesny rząd nie mógłby sobie pozwolić na tyle cierpliwości wobec podobnego niebezpieczeństwa. A prezbiterianom stale darowywano winy.

- No, no. A ja myślałem, że walczyli o prawo do chwalenia Boga na swój własny sposób.

- Nikt im nigdy nie zabraniał chwalić Go, jak tylko chcieli. Im zależało na tym, by narzucić swoją formę rządów kościelnych, i to nie tylko Szkocji, ale i Anglii może mi pan wierzyć. Niech pan sobie poczyta tekst „Przymierza z Panem” przy okazji. Wedle niego wolność wyznawania swojej wiary nie miała być przyznana nikomu, prócz prezbiterian, oczywiście.

- A te wszystkie nagrobki i pomniki, które turyści oglądają...

- To właśnie Tonypany. Jeżeli wyczyta pan na nagrobku, że John Takiataki „poniósł śmierć za wyznawanie Słowa Bożego i za szkocką kongregację dążącą do zreformowania Kościoła”, a poniżej jeszcze wzruszający wierszyk „o prochach tego, co stał się ofiarą tyranii”, to może pan być pewien, że John Takiataki został skazany przez praworządnie ukonstytuowany sąd za przestępstwo polityczne karane śmiercią, a także że jego śmierć nie miała nic, ale to nic wspólnego ze Słowem Bożym. - Roześmiał się cicho. - Cała ironia tej sprawy polega na tym, że mała grupka, której imię w swoim czasie budziło grozę w całej Szkocji, została z czasem wyniesiona na piedestały jako święci i męczennicy.

- Zastanawiam się, czy to nie polega na onomatopei - myślał na głos Carradine.

- Co?

- Tak jak z tym kotem i szczurem.

- Ale o czym pan mówi?
- Nie pamięta pan tego wierszyka o kocie i szczurze, gdzie sam rym, samo brzmienie słów powoduje, że całość jest obelgą?
- Tak, pełno w nim jadu.
- To samo stało się z dragonami. Bo przecież w owych czasach to była po prostu policja?
- Tak, policja konna.
- No właśnie. A tymczasem dla mnie, a przypuszczam, że i dla wielu innych ludzi, słowo „dragoni” budzi okropne skojarzenia, bo później zaczęło znaczyć więcej, niż początkowo znaczyło.
- Tak, siłę i przemoc, *force majeure*. A w rzeczywistości rząd dysponował zaledwie garstką ludzi, która miała utrzymać w ryzach ogromny obszar, toteż wszystkie szanse mieli prezbiterianie. Pod każdym względem. Taki dragon, czyli policjant, nie mógł aresztować nikogo bez pisemnego nakazu. Prawdę mówiąc, nie mógł nawet konia umieścić w czyjejs stajni bez pozwolenia właściciela, ale nic nie przeszkadzało jego przeciwnikowi leżeć sobie w ukryciu wśród wrzosowiska i wedle swojego widzimisię strzelać do dragona. Co też robili, i to z zapalem. A dzisiaj istnieje całkiem pokaźna literatura o tym biednym prześladowanym męczenniku kryjącym się z pistoletem wśród wrzosowisk. Dragon zaś, poległy w czasie pełnienia służby, przekształcił się w potwora.
- Jak Ryszard.
- Jak Ryszard. A co z pana poszukiwaniami?
- Wciąż jeszcze nie zdołałem odkryć, dlaczego Henrykowi tak bardzo zależało na odwołaniu tego aktu, a w dodatku w zupełnej tajemnicy. Cała sprawa była otoczona ścisłą tajemnicą i na długie lata wszyscy o niej zapomnieli, aż wreszcie, zupełnie przypadkowo, wśród dokumentów zamku Tower znaleziono brulion oryginalnego aktu. W roku 1611 Speed wydrukował pełny tekst w swojej „Historii Wielkiej Brytanii”.
- Och, *Titulus Regius* nie budzi żadnych wątpliwości. Ryszard odziedziczył koronę stosownie do treści tego aktu, a wersja Mortona jest bezsensowna. Elżbieta Lucy nigdy w tę sprawę nie była zamieszana.
- Lucy? Kto to taki, ta Elżbieta Lucy?
- Och, zapomniałem, że pan o tym nie wie! Wedle wersji Mortona Ryszard miał twierdzić, jakoby Edward pojął uprzednio za żonę jedną ze swych kochanek, niejaką Elżbietę Lucy.
- Zdegustowana mina, jaką wywoływała każda wzmianka o tym dziele, pojawiła się na twarzy Carradine’a.
- To nonsens!
- Właśnie to samo wykazał z zadowoleniem More.
- Ale czemu starali się ukryć istnienie Eleonory Butler? - spytał

Carradine spostrzegłszy to od razu.

- Dlatego, że ją naprawdę poślubił Edward, a więc dzieci naprawdę były nieślubne. A jeżeli były nieślubne, to nikt w ich obronie nie robiłby powstania i nie stanowiły dla Ryszarda żadnego niebezpieczeństwa. Zauważył pan może, że inwazja Woodville'ów i Lancastrów była w obronie interesów Henryka, a nie chłopców, chociaż Dorset był ich przyrodnim bratem? A gdy ją przedsiębrano, wtedy jeszcze żadne pogłoski o zniknięciu chłopców nie mogły go dosięgnąć. Czyli że z punktu widzenia spiskowców, Dorseta i Mortona, chłopcy nie mieli znaczenia. Stawiali na Henryka. W ten sposób Dorset miałby szwagra na tronie angielskim, a królową byłaby jego przyrodnia siostra. Dla uciekiniera bez grosza przy duszy to całkiem miła odmiana.

- Tak, coś w tym jest, że Dorset wcale nie walczył, by odzyskać tron dla swego przyrodniego brata. Gdyby była jakakolwiek szansa, że Anglia zgodzi się uznać chłopca, to niewątpliwie opowiedziałyby się za nim. Powiem panu jeszcze coś ciekawego, co znalazłem. Otóż królowa z córkami opuściła azyl westminsterski w niedługi czas potem. Przypomniał mi pan o tym wzmianką o Dorsecie. Zresztą nie tylko opuściła azyl, ale zamieszkała w mieście jakby nigdy nic. Jej córki bywały na uroczystościach w pałacu królewskim. A wie pan, na czym polega *clou* całej historii?

- Mianowicie?

- Że to wszystko działo się po zamordowaniu obu królewiczów. Tak, tak. Ale to jeszcze nie koniec. Po tym, jak wuj-potwór wykończył jej obu synów, królowa pisze do swego trzeciego syna przebywającego we Francji - do Dorseta - i wzywa go, by wracał do kraju i pogodził się z Ryszardem, który będzie wobec niego wspaniałomyślny.

Zapanowała cisza.

Tego dnia nie było słyhać jazgotu wróblei, tylko cichy szum deszczu za oknem.

- Nic pan nie mówi? - zapytał wreszcie Carradine.

- Widzi pan, z policyjnego punktu widzenia nie ma tu w ogóle podstaw, by oskarżyć Ryszarda. Mówię zupełnie serio. Nie, żeby materiału było za mało, nie dosyć dla sądu. Po prostu, tu nie ma wcale podstaw do oskarżenia go.

- Tak, ja też tak uważam. Zwłaszcza od kiedy przekonałem się, że wszyscy ci ludzie, których mi pan wypisał, w momencie gdy Ryszard zginął pod Bosworth, byli zdrowi, wolni i czuli się dobrze. Nie tylko byli wolni, ale mieli zabezpieczoną przyszłość. Dzieci Edwarda, poza tym, że tańczyły w pałacu królewskim, otrzymywały też pensje. Jednego ze swoich bratanków wyznaczył na następcę tronu, kiedy jego własny syn umarł.

- Którego?

- Syna George'a.
- A więc chciał przywrócić dzieciom brata prawo do sukcesji, którego zostały pozbawione?
- Tak. Sprzeciwiał się przecież także jego skazaniu.
- Nawet czcigodny Tomasz More tak twierdzi. Czyli że wszyscy inni następcy w linii dziedzictwa tronu angielskiego żyli sobie spokojnie, wolni i zajęci własnymi prawami przez cały czas panowania Ryszarda III, potwora.
- Powiem więcej: należeli do ustalonego porządku rzeczy. To znaczy i do rodziny, i do całego organizmu państwowego. Czytałem zbiór dokumentów yorkowskich, wydany przez niejakiego Daviesa. To znaczy wszystko, co się tyczy miasta York, a nie rodziny. Zarówno młody Warwick, syn George'a, jak i jego kuzyn, młody Lincoln, byli członkami rady miejskiej. Co więcej, Ryszard pasował Warwicka na rycerza w tym samym dniu, co swego własnego syna, w czasie wspaniałej uroczystości w mieście York. - Zamilkł na długą chwilę, a potem wykrzyknął:
 - Panie inspektorze, może napisze pan książkę na ten temat?
 - Książkę? Broń Boże! Dlaczego?
 - Pytam, bo ja sam bardzo chętnie napisałbym o tym. Z tego będzie o wiele lepsza książka niż z moich chłopów.
 - Niechże pan napisze!
 - Widzi pan, chciałbym się czymś wykazać przed ojcem. On myśli, że ja do niczego się nie nadaję, bo nie interesują mnie ani meble, ani rynki zbytu, ani krzywe produkcyjne. Gdyby tak mógł wziąć do ręki książkę przeze mnie napisaną, to może uwierzyłby w końcu, że i ze mnie coś będzie. Może nawet zaczęłyby wreszcie na odmianę trochę się mną chwalić przed ludźmi.
- Grant spojrział na niego dobrotliwie.
 - Zapomniałem spytać, jak się panu podobał Crosby Hall?
 - O, bardzo. Gdyby Carradine Trzeci go zobaczył, na pewno zechciałby zabrać cały budynek i ustawić go na nowo gdzieś wśród wzgórz Adirondacks.
 - Zwłaszcza jeżeli jego syn napisze książkę o Ryszardzie III, to wtedy będzie się czuł do pewnego stopnia współwłaścicielem Crosby Hall. Jaki pan da tytuł?
 - Książce?
 - Tak.
 - Pożyczę sobie sentencję od Henry Forda i nazwę ją „Historia to bzdura”.
 - Wspaniale!
 - Ale muszę jeszcze mnóstwo przeczytać, tyle pozostało do zbadania, zanim będę mógł zacząć pisać.

- Racja, racja. Nie doszliśmy jeszcze do najważniejszego pytania.
- Jakiego?
- Kto zamordował chłopców.
- Oczywiście.
- Jeżeli chłopcy żyli, kiedy Henryk zajął londyńską twierdzę, to co się z nimi stało?

- Zaraz do tego dojdę. Ale przede wszystkim chciałbym wiedzieć, dlaczego tak ważne było dla Henryka zatuszowanie treści aktu *Titulus Regius*.

Wstał już, aby wyjść, ale spojrzenie jego zatrzymało się na odwróconym portrecie leżącym na stole. Sięgnął i ostrożnie postawił go na zwykłym miejscu, tak by stał podparty stosem książek.

- Poczekaj tu - powiedział do Ryszarda - przywrócę cię tam, gdzie być powinieneś.





ROZDZIAŁ 13

Nie upłynęło więcej jak dwadzieścia minut od wizyty Carradine'a, gdy zjawiała się Marta obładowana książkami, słodyczami i mnóstwem najlepszych chęci. Zastała Granta zatopionego w piętnastym stuleciu takim, jak je opisał sir Cuthbert Oliphant. Przywitał ją wyraźnie nieobecny duchem, do czego zupełnie nie była przyzwyczajona.

- Czy gdyby szwagier zamordował ci dwóch synów, przyjęłabyś od niego pokaźną stałą pensję?

- Ufam, że to jest pytanie retoryczne - odparła, kładąc kwiaty; rozglądała się, który z już pełnych wazonów najlepiej się na nie nada.

- Naprawdę ci historycy to kupa wariatów. Posłuchaj tylko: „Trudno wytłumaczyć postępowanie królowej matki. Nie wiadomo właściwie, czy bała się, że ją siłą wyciągną z klasztornej azylu, czy też była po prostu zmęczona nudą życia w Westminsterze i ze zwykłej apatii postanowiła pogodzić się z mordercą swych synów”.

- Boże miłosierny! - wykrzyknęła Marta, zatrzymując się z porcelanowym dzbanuszkim z Delft w jednej ręce, a szklanym smukłym wazonem w drugiej i patrząc na leżącego ze zdumieniem.

- Czy historycy słuchają kiedy tego, co sami twierdzą?

- Kto to taki, ta królowa matka?

- Elżbieta Woodville, wdowa po Edwardzie IV.

- Ach tak. Grałam ją raz. Taka mała rólka w sztuce o Warwicku, Twórcy Królów.

- No cóż, ja jestem tylko policjantem. Widać nigdy nie obracałem się we właściwych sferach. Może stykałem się tylko z przyzwoitymi ludźmi. Ale gdzie należy szukać, by znaleźć kobietę, która jest w dobrej komitywie z mordercą swoich dwóch synów?

- Może w Grecji - podsunęła Marta. - W starożytnej Grecji.

- Nie mogę sobie nawet tam przypomnieć ani jednej takiej.

- Albo może w szpitalu obłąkanych. Nie było żadnych śladów aberacji u Elżbiety Woodville?

- Nikt czegoś takiego nie zauważył. A była królową ze dwadzieścia lat.

- Oczywiście cała ta sprawa jest farszą, chyba sam to widzisz - mówiła Marta układając kwiaty. - To wcale nie żadna tragedia. „Tak, tak, wiem, zabił mi Edzia i małego Rysia, ale tak prawdę mówiąc, on jest bardzo miły, a przy tym to mieszkanie w pokojach wychodzących na północ było

wprost fatalne dla mego reumatyzmu”.

Grant roześmiał się i poczuł, że wraca mu dobry humor.

- Chyba masz rację. Trudno o coś bardziej absurdalnego. Wierszowane okropności, owszem, ale nie zwykła historia. I dlatego zdumiewają mnie historycy. Zupełnie pozbawieni są rozeznania co do prawdopodobieństwa danej sytuacji. Robią wrażenie, jakby patrzyli na teatr cieni, gdzie dwuwymiarowe postacie poruszają się na dalekim tle.

- Może kiedy się szpera w zniszczonych, wystrzępionych dokumentach, wtedy nie ma się już czasu na poznawanie ludzi. Nie tych, których dotyczą dokumenty, ale po prostu zwykłych ludzi z krwi i kości. Choćby tego, jak reagują w różnych okolicznościach.

- Jak ty byś ją zagrała? - zapytał Grant, świadomy, jak ważne w zawodzie Marty jest zrozumienie motywów czyjegoś działania.

- Kogo?

- Kobiętę, która opuściła azyl klasztorny i pojednała się z mordercą swoich dzieci w zamian za siedemset marek rocznie oraz prawo uczestniczenia w przyjęciach na dworze królewskim.

- Nie umiałabym. Taką kobietę znalazłbyś tylko w tragedii Eurypidesa albo wśród mętów społecznych. Można by ją najwyżej zagrać jako szmatę. Ale wiesz, nadawałaby się też do burleski, taka parodia poetycznej tragedii, wszystko białym wierszem. Muszę spróbować przy okazji, może na jakimś dobroczynnym występie. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko mimozie? Śmieszne, jak mało wiem, co lubisz a czego nie, mimo że tak długo się znamy. Kto wymyślił tę plotkę, że ona przyjaźni się z mordercą swoich synów?

- Nikt jej nie wymyślał. Elżbieta Woodville opuściła azyl w Westminsterze i przyjęła pensję od Ryszarda. Pensja ta została nie tylko przyznana, ale była wypłacana. Córki jej bywały na uroczystościach w pałacu, a eks-królowa napisała do swego starszego syna - z pierwszego małżeństwa - by powrócił z Francji do kraju i pogodził się z Ryszardem. Rozważając przyczyny jej postępowania Oliphant przypuszcza jedynie, że albo bała się, by siłą nie wywleczono jej z klasztornej azylu (czy słyszałaś kiedy o czymś podobnym? Przecież człowiek, który by to zrobił, od razu zostałby ekskomunikowany, a Ryszard był bardzo dobrym synem Kościoła), albo że znudziło ją już życie w klasztorze.

- A co ty sądzisz o tym jej dziwnym postępowaniu?

- Najprostszym wyjaśnieniem jest, że chłopcy byli zdrowi i cali. Nikt w owym czasie nie twierdził, że jest inaczej.

Marta przyglądała się kiściom mimozy.

- Tak, oczywiście. Mówiłeś już, że to oskarżenie nie figurowało w tym pośmiertnym akcie odsądzającym Ryszarda od czci. - Skierowała wzrok z

mimozy na portret stojący na stole, a potem na Granta. - Więc ty naprawdę na serio myślisz, i to jako policjant, że Ryszard nie miał nic wspólnego ze śmiercią chłopców?

- Jestem zupełnie pewien, że obaj byli zdrowi i cali. Henryk po przybyciu do Londynu opanował Tower. Przecież gdyby chłopców tam nie było, na pewno wybuchłby natychmiast potworny skandal. Czy możesz sobie wyobrazić jakikolwiek powód przemilczenia wtedy takiego faktu?

- Nie, rzeczywiście to zupełnie niewytłumaczalne. Przypuszczałam zawsze, że tą sprawą wywołała olbrzymie poruszenie. A także, że to musiało być jednym z głównych zarzutów wobec Ryszarda. Razem z moim barankiem macie dzięki historii pasjonujące zajęcie. Wtedy, kiedy ci zaproponowałam tę zabawę w swoiste dochodzenie, żebyś się przestał nudzić, nie miałam pojęcia, że przyczyniam się do wprowadzenia zmian do historii. Ale, to mi przypomina, że Atlanta Shergold jest na ciebie wściekła.

- Na mnie? Ależ ja jej nigdy w życiu nie widziałem!

- Mimo to chętnie by cię obdarła ze skóry. Mówi, że Brenta wykurzyć nie można z B.M., że to już zupełny nałóg. Skarżyła mi się, bo nie potrafi go stamtąd wyciągnąć, a nawet jeżeli czasem jej się to uda, to i tak widzi, że duchem przebywa w muzeum. Mogłaby w ogóle nie istnieć - tak mu się stała obojętna. Nawet nie przychodzi na przedstawienia. Czy często go widzisz?

- Był tutaj dziś, rozminęłaś się z nim o kilka minut. Ale nie spodziewam się go w najbliższych dniach.

Mylił się jednak.

Tuż przed kolacją zjawił się portier z telegramem. Grant rozerwał kopertę i wyciągnął długi telegram, całe dwie kartki.

Nadawcą był Brent.

piekło i szatani coś okropnego się stało stop pamięta pan tę łacińską kronikę o której mówiłem stop spisywana przez mnicha w opactwie croyland stop właśnie ją przeglądałem i jest tam pogłoska że chłopcy nie żyją stop pisane to było przed śmiercią ryszarda więc klops z nami a zwłaszcza ze mną i nie napiszę wcale mojej wspianiałej książki stop czy każdemu wolno się topić w waszej pięknej tamizie czy może jest zarezerwowana tylko dla brytyjczyków brent

W ciszy zabrzmiał głos portiera:

- To jest z opłaconą odpowiedzią, proszę pana. Czy napisze pan odpowiedź?

- Co takiego? Nie, jeszcze nie teraz. Ześlę ją za chwilę.

- Tak jest, proszę pana. - Portier z szacunkiem popatrzył na dwa arkusiki

telegramu; u niego w domu nie zdarzały się tak długie telegramy. Odszedł, nic tym razem nie nuąc.

Grant zaś zamyślił się nad tą nowiną przekazaną z zamorską rozrzutnością. Przeczytał jeszcze raz.

- Croyland - powtórzył z namysłem. Czemu brzmi to tak znajomo? Nazwa ta nie była dotąd wymieniona ani razu w tej sprawie. Carradine wspomniał tylko o jakiejś spisywanej przez mnichów kronice.

Nie zniechęcał się jednak, bo wielokrotnie już w jego praktyce zawodowej bywało, że jakiś nowy fakt zdawał się zupełnie niweczyć poprzednie wyniki śledztwa. Postąpił tak samo jak zawsze w podobnych wypadkach: zaczął zastanawiać się nad tym nowym faktem - spokojnie, bez podniecenia i rozgoryczenia tak wyraźnego w telegramie Brenta.

- Croyland - powtórzył jeszcze raz. Croyland to gdzieś w hrabstwie Cambridge. A może w okolicy Norfolk? W każdym razie gdzieś dalej, na żuławach.

Karliczka przyniosła kolację i oparła bezpiecznie głęboką miseczkę, żeby mu było jak najwygodniej jeść, ale Grant nawet jej nie zauważył.

- Czy teraz będzie panu łatwiej sięgnąć do budyniu? - spytała, a kiedy nie odpowiadał, powtórzyła głośniej: - Proszę pana, czy dobrze postawiłam ten budyń, żeby panu było łatwo sięgać?

- Ely! - wykrzyknął nagle.

- Co takiego?

- Ely - powiedział, ale już ciszej, do sufitu.

- Czy pan się gorzej czuje?

Wreszcie zdał sobie sprawę z zaniepokojonej miny Karliczki pochyłającej się nad nim, przesłaniającej mu znajome spēkania na suficie.

- Ależ doskonale. Rzadko kiedy czułem się tak dobrze. Tylko jeszcze jedna prośba: niech siostra chwilę poczeka i ześle na dół telegram do wysłania. Poproszę o blok, nie mogę się do niego dostać, bo mi przeszkadza ten budyń.

Podawała mu blok listowy i ołówek. Wypełnił formularz opłaconej odpowiedzi:

Czy może mi pan znaleźć podobną pogłoskę we Francji z tego samego okresu?

Grant

Potem zjadł z apetytem kolację i ułożył się do snu. Odpływał już ku zupełnej nieświadomości i był akurat mniej więcej w połowie drogi - co jest stanem bardzo przyjemnym - gdy zdał sobie sprawę, że ktoś bacznie mu się przygląda, pochyłony nad łóżkiem. Uniósł powieki, by sprawdzić,

kto to, i dostrzegł tuż nad sobą niespokojne piwne oczy Amazonki w tym świetle jeszcze większe i bardziej krowie niż zazwyczaj. W rękę trzymała żółtą kopertę.

- Zupełnie nie wiedziałam, co mam zrobić. Nie chciałam pana budzić, a z drugiej strony to może być coś ważnego. Bądź co bądź telegram. Nigdy nie wiadomo. Gdybym go teraz nie przyniosła, to dostałby go pan o całe dwanaście godzin później. Siostra Ingham skończyła dyżur, więc nie byłoby kogo spytać aż do dziesiątej, kiedy przyjdzie siostra Briggs. Mam nadzieję, że pana nie zbudziłam, jeszcze chyba pan nie spał, prawda?

Uspokojona zapewnieniem Granta, że bardzo dobrze zrobiła, odetchnęła z ulgą tak mocno, że prawie zdmuchnęła portret Ryszarda. Podczas gdy czytał telegram, stała troskliwie obok, jakby oczekiwała, że trzeba go będzie podtrzymywać na duchu z powodu złych wieści. Dla Amazonki każdy telegram oznaczał złe wieści.

Ten był od Carradine'a, brzmiał tak:

czy co znaczy że panu zależy na tym żeby było drugie podobne oskarżenie znak zapytania brent

Znowu na formularzu opłaconej odpowiedzi Grant odpisał:

Tak. Najlepiej we Francji.

Potem zwrócił się do Amazonki:

- Można już chyba zgasić światło, siostró. Będę teraz spał do siódmej rano.

Zasypiając pomyślał jeszcze, ile też czasu upłynie, zanim znowu zobaczy u siebie Carradine'a i jakie są szanse na znalezienie drugiej takiej pogłoski.

Ale Carradine pojawił się dość szybko, a jego wygląd wcale nie zdradzał tendencji samobójczych. Można by sądzić, że w jakiś dziwny sposób rozrósł się. W każdym razie obszerny płaszcz zaczynał wyglądać na jego własne ubranie, a nie jak rekwizyt teatralny.

Zaczął rozpromieniony:

- Pan jest wspaniały! Czy w tym Scotland Yardzie mają więcej takich, czy też pan jest wyjątkiem?

Grant spojrział na niego prawie z niedowierzaniem.

- Czyżby pan naprawdę wynalazł coś i we Francji?

- Przecież tego właśnie miałem szukać.

- Owszem. Ale nie śmiałem wprost o tym marzyć. Tak mało było szans, że istnieje. W jakiej formie pojawiła się ta pogłoska? W liście? W kronice?

- Nie, to o wiele bardziej zdumiewające. I powiedziałbym, że gorzej nas może zniechęcić. Otóż kanclerz Francji w przemówieniu do Stanów

Generalnych zebranych w Tours wspomina o takiej pogłosce. Mówi nawet z elokwencją. Właśnie ta jego elokwencja pociesza mnie trochę w całej sprawie.

- Dlaczego?

- Bo to robi takie wrażenie, jak mowa senatora, który chce szybko skarcić kogoś, kto proponuje uchwałę nie mającą szans na popularność wśród wyborców tegoż senatora. Więcej w tym politykierstwa niż racji stanu, jeżeli można się tak wyrazić.

- Powinien pan pracować w Scotland Yardzie, Brent. Co powiedział kanclerz?

- Ale to po francusku, a że moja francuszczyzna jest dość kiepska, więc niech pan raczej sam przeczyta.

Podał mu kartkę zapisaną swym niewyrobionym pismem; Grant przeczytał:

*Regardez, je vous prie, les événements qui après la mort du roi Edouard sont arrivés dans ce pays. Contemplez ses enfants, déjà grands et braves, massacrés impunément, et la couronne transportée à l'assassin par la faveur des peuples.*⁵

- *Ce pays* - powtórzył inspektor. - A więc był w trakcie większej perory przeciw Anglii. Twierdzi nawet, że to zgodnie z wolą narodu angielskiego chłopców „zmasakrowano”. Przedstawia nas jako kraj barbarzyńców.

- Właśnie o tym mówiłem. Zupełnie jak kongresman udowadniający swoją rację. A tymczasem francuska Regencja wysłała poselstwo do Ryszarda w tymże roku, mniej więcej w sześć miesięcy później, więc przypuszczalnie się przekonali, że pogłoska była kłamliwa. Ryszard sam wystawił listy żelazne dla członków tego poselstwa, a nie zrobiłby tego, gdyby wciąż jeszcze szkalowali go jako pariasa i mordercę.

- Racja. Czy może mi pan podać daty tych dwóch oszczerstw?

- Oczywiście. Oto one. Mnich w Croyland pisze o tych sprawach pod koniec lata 1483. Wspomina, że krążą pogłoski, jakoby chłopcy zostali zgładzeni, ale nikt nie wie jak. A ten brzydki incydent w czasie posiedzenia Stanów Generalnych wydarzył się w styczniu 1484.

- Doskonale.

- Ale czemu chciał pan mieć drugą podobną wzmiankę?

- Dla sprawdzenia. Czy wie pan, gdzie leży Croyland?

- Tak. Na żuławach, wśród mokradeł Fen.

⁵ *Regardez...* (fr.) - Spójrzcie, proszę, na to, co się dzieje w tym kraju od śmierci króla Edwarda. Pomyślcie o jego dzieciach, dużych już i dzielnych, zamordowanych bezkarnie, i o koronie z woli narodu ofiarowanej mordercy.

- Wśród mokradeł Fen. Blisko Ely. A właśnie w tych stronach ukrywał się Morton po ucieczce spod kurateli Buckinghamama.

- Morton! Ach, tak!

- Jeżeli to Morton rozprzestrzenił te wiadomości, to musiał to robić i na kontynencie, kiedy tam się udał. Wyjechał z Anglii jesienią 1483 roku, no i rzeczywiście pogłoska jest ze stycznia roku następnego. A przy okazji warto przypomnieć, że opactwo Croyland leży zupełnie na odludziu i stanowiło wprost idealne miejsce na kryjówkę dla zbiegłego biskupa do czasu, aż zdołał sobie zorganizować dalszą drogę za granicę.

- Morton - raz jeszcze z naciskiem powtórzył Carradine. - Ilekroć w tej historii coś się podejrzanie gmatwa, zawsze natykamy się na Mortona.

- A więc i pan to zauważył?

- On był główną sprężyną spisku, by zamordować Ryszarda, zanim zostanie ukoronowany, on maczał palce w rebelii przeciw Ryszardowi już po koronacji, a jego ślady wiodące na kontynent aż się lepią od zdrady niby ślad po ślimaku.

- To są raczej nasze domysły. W sądzie nie można by tego udowodnić. W każdym razie, jak już przepłynął Kanał, to osiadł i zabrał się wyłącznie do wywrotowej roboty. On i jego przyjaciel, niejaki Christopher Urswick, pracowali z całym zapałem dla sprawy Henryka wysyłając ukradkiem do Anglii listy i przebranych wysłanników, aby rozbudzać w kraju niechęć do Ryszarda.

- Nie znam się na tym, co można przed sądem udowodnić, ale wydaje mi się, że nasze domysły są ogromnie prawdopodobne. Czemuż by Morton miał czekać ze swoją wywrotową robotą, aż się znajdzie poza Anglią?

- Tak, na pewno nie czekał. Dla Mortona pozbycie się Ryszarda było sprawą życia i śmierci. Z Ryszardem u władzy - tyle Morton wiedział - jego kariera była skończona. Nie tylko, że nie miał szans na dalsze awanse. W ogóle nie miał szans. Pozbawiony szybko swych rozlicznych godności pozostałby zwykłym duchownym. On, John Morton! On, który lada chwila oczekiwał arcybiskupstwa! A jeżeli zdoła dopomóc Henrykowi Tudorowi w zdobyciu tronu, wtedy może zostać nie tylko arcybiskupem Canterbury, ale pewno i kardynałem. O tak, dla Mortona było niezwykle, szalenie ważne, by Ryszard nie władał Anglią.

- W każdym razie był akurat odpowiednim człowiekiem do takiej dywersyjnej roboty. Przypuszczalnie nie wiedział w ogóle, co to są skrupuły. Puścić w świat pogłoskę o zamordowaniu dzieci byłoby dla niego fraszką.

- Zawsze jeszcze istnieje możliwość, że wierzył w to - powiedział Grant. Przyzwyczajenie, by rozważyć wszelkie możliwości, okazało się silniejsze od niechęci do Mortona.

- Wierzył, że chłopcy zostali zamordowani?
- Tak. Może to ktoś inny wymyślił. Bądź co bądź cały kraj musiał aż kipieć od rozpuszczonych przez Lancastrów opowieści, po części tylko niechętnych, po części celowo propagandowych. Może Morton tylko powtarzał to, co właśnie usłyszał.

- E, tam. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby przygotowywał grunt do ich zamordowania w przyszłości.

Grant roześmiał się.

- Ja też nie. Co jeszcze znalazł pan u tego mnicha z Croyland?

- Trochę się pocieszyłem. Już po wysłaniu do pana telegramu pełnego rozpaczony stwierdziłem, że nie należy tej kroniki uważać za nieomylną. Po prostu notował w niej wszystko, każdą pogłoskę ze świata, jaką tylko usłyszał. Powiada na przykład, że Ryszard został po raz drugi ukoronowany w York, a to na pewno nie jest prawdą. Jeżeli ktoś może się mylić w sprawie tak ważnego, znanego faktu jak koronacja, to nie należy mieć zaufania do tego, co opisuje. Ale przypadkowo wiedział o istnieniu *Titulus Regius*. Przytacza całą jego treść włącznie z lady Eleonorą.

- To ciekawe. Nawet ten mnich w Croyland słyszał, kogo rzekomo Edward poślubił.

- Tak. Czcigodnemu sir Tomaszowi musiała się przyśnić Elżbieta Lucy o wiele później.

- Nie mówiąc już o tej ohydnej historii, jakoby Ryszard uzasadniał swoje roszczenia rzucając kalumnie na własną matkę.

- Co takiego?

- Twierdzi, że Ryszard kazał wygłosić kazanie nadmieniające, że Edward i George byli synami jego matki i jakiegoś nie znanego mężczyzny oraz że tylko on, Ryszard, jest legalnym synem pary książęcej, a co za tym idzie, prawdziwym następcą tronu.

- Mogliby już wymyślić coś prawdopodobniejszego - mruknął Carradine.

- Tak, zwłaszcza że Ryszard w tym właśnie czasie mieszkał w domu swojej matki.

- Rzeczywiście, zupełnie zapomniałem. Nie umiem myśleć tak logicznie jak policjant. Pańskie przypuszczenie, że to Morton mógł rozpuszczać te pogłoski, jest bardzo trafne. Ale może się jeszcze okazać, że i gdzie indziej znajdziemy ślady tej pogłoski.

- To oczywiście jest możliwe. Ale gotów jestem się założyć o każdą sumę, że nie znajdziemy. Absolutnie nie wierzę, by powszechnie chodziły słuchy, jakoby chłopcy zniknęli.

- Z jakiego powodu?

- Moim zdaniem argument to nieodparty: gdyby istniało jakieś ogólne niezadowolenie czy niepokój, jakieś wyraźne buntownicze pogłoski czy

działania, Ryszard natychmiast by im kres położył. Gdy w pewien czas później rozeszła się pogłoska, że zamierza się ożenić ze swą bratanicą Elżbietą, najstarszą siostrą obu chłopców, zareagował błyskawicznie. Nie tylko rozesłał do wielu miast listy kategorycznie zaprzeczające tej plotce, lecz był tak wściekły (i najwyraźniej uważał za bardzo ważne, by nie przeinaczono jego słów), że wezwał najznamienitszych przedstawicieli Londynu do największej sali, jaką mógł znaleźć (żeby ich mieć zebranych wszystkich razem), i powiedział im w twarz, co sądzi o tej sprawie.

- Tak, oczywiście ma pan rację. Ryszard publicznie by zaprzeczył pogłoskom o morderstwie, gdyby się takie pogłoski szerzyły. Przecież to była sprawa o wiele poważniejsza niż plotka o małżeństwie z bratanicą.

- Zresztą w tamtych czasach można było dostać dyspensę na małżeństwo z bratanicą. Może i dzisiaj także, nie mam pojęcia. To nie moja dziedzina. Ale nie ulega wątpliwości, że Ryszard, który zadał sobie tyle trudu, by zdemontować plotki o małżeństwie, niewątpliwie tym bardziej by się starał zdusić gadaninę o morderstwie, gdyby cokolwiek na ten temat mówiono. Wniosek z tego prosty nie było żadnych powszechnych głosów ani o zniknięciu chłopców, ani o jakimś ich złym losie.

- Oprócz tych dwóch: z mokradeł Fen oraz z Francji.

- Tak, tylko z Fen i z Francji. Nic w ogólnym obrazie nie sugeruje zresztą żadnego niepokoju o los chłopców. Widzi pan, w śledztwie szukamy zawsze wszelkich odchyłeń od normy w zachowaniu osób podejrzanych. Czemu X, który zazwyczaj w czwartek chodził do kina, akurat tego wieczora do kina nie poszedł? Czemu Y kupił jak zwykle bilet powrotny, a mimo to - nie wrócił? Coś w tym guście. A tymczasem w owym krótkim okresie pomiędzy wstąpieniem na tron Ryszarda a jego śmiercią wszyscy zachowują się zupełnie zwyczajnie. Matka chłopców porzuca azyl w Westminsterze i następuje pojednanie między nią a Ryszardem. Jej córki znowu biorą udział w rozrywkach dworskich. Chłopcy przypuszczalnie wracają do lekcji przerwanych po śmierci ojca. Ich młodzi kuzynowie należą do Rady i są osobistościami wystarczająco ważnymi, by miasto York wysyłało do nich pisma. Zupełnie normalne, spokojne życie, w którym wszyscy zajmują się swymi sprawami i nic nie nasuwa podejrzenia, że dopiero co zdarzyło się w tej rodzinie niezwykle i niepotrzebne morderstwo.

- Więc może jednak napiszę tę książkę, panie inspektorze?

- Na pewno ją pan napisze. Ma pan zresztą do rehabilitacji nie tylko Ryszarda; przy okazji musi pan też uwolnić Elżbietę Woodville od zarzutu, że pogodziła się z zamordowaniem swoich dwóch synów w zamian za siedemset marek rocznie i inne łapówki.

- Jednakże pisząc tę książkę nie mogę urwać jej tak nagle, nie dając

zakończenia. Będę musiał podać choćby jakieś teoretyczne wyjaśnienie, co się stało z chłopcami.

- Będzie pan je miał.

Wzrok Carradine'a z obłoczków nad Tamizą przesunął się, pytająco, w stronę Granta.

- Czemu mówi pan takim zadowolonym tonem? Całkiem jak kot, który się dobrał do śmietanki.

- Po prostu przemyślałem to głębiej. Przez te dni czekając na pana nic innego nie robiłem, tylko analizowałem to wszystko stosując policyjną formułkę.

- Policyjną formułkę?

- Tak. Kto na tym zyskuje i tak dalej. Już odkryliśmy, że dla Ryszarda śmierć chłopców nie miała żadnego znaczenia. Szukamy wobec tego dalej, kto naprawdę by zyskał. I tu wracamy do sprawy *Titulus Regius*.

- A cóż ma ten *Titulus Regius* wspólnego z morderstwem?

- Henryk VII poślubił najstarszą siostrę chłopców, Elżbietę.

- Tak.

- Zrobił to po to, by stronnicy Yorków pogodzili się z faktem zajęcia przez niego tronu.

- Tak.

- Przez anulowanie aktu zwanego *Titulus Regius* sprawił, że Elżbieta z powrotem stała się prawną córką króla.

- Oczywiście.

- Ale zarazem wszystkie dzieci Edwarda przestały być nieprawe i automatycznie obaj chłopcy wyprzedzili Elżbietę w prawach do sukcesji tronu. Można powiedzieć, że anulując *Titulus Regius* Henryk uczynił starszego z chłopców królem Anglii.

Carradine aż cmoknął z przejęcia. Spoza okularów w ciemnej oprawie oczy mu zabłyśły.

- A więc, młody przyjacielu, prowadzimy nasze dochodzenie w tym kierunku.

- Doskonale. Czego pan chce?

- Chcę wiedzieć jak najwięcej o tym przyznaniu się Tyrrela. Ale wpierw i przede wszystkim potrzebuję informacji o każdej z osób mających związek z tą sprawą. Co się z nimi stało, a nie co ktoś o nich napisał. Tak jak sprawdziliśmy ten cały okres, kiedy Ryszard wstąpił na tron po nieoczekiwanej śmierci brata.

- W porządku. Czego konkretnie mam szukać?

- Co się działo z wszystkimi potomkami księcia Yorku mogącymi dziedziczyć koronę, którzy za Ryszarda byli żywi, zdrowi i wiodło im się dobrze. Co się działo z każdym po kolei. Może pan to zrobić?

- Oczywiście. To ważne.
- No i przydałoby się więcej o Tyrrele. O nim samym, jaki to był człowiek i co robił.
- Znajdę to panu. - Carradine powstał z miejsca zupełnie takim ruchem, jakby już chciał szarżować na wroga. Grant przypuszczał nawet, że zaraz zacznie zapinać płaszcz.
- Jestem panu, panie inspektorze, taki wdzięczny za całą tę...
- Zabawę?
- Kiedy już pan będzie na chodzie, wtedy - no - oprowadzę pana wokół zamku, tak, wokół Tower!
- Niech to będzie raczej przejażdżka statkiem do Greenwich i z powrotem. My wyspiarze bardzo lubimy takie wyprawy.
- Ile jeszcze czasu, zdaniem doktorów, musi upłynąć, zanim pozwolą panu wstać z łóżka?
- Kto wie, może jak pan tu przyjdzie z wiadomościami o sukcesorach i o Tyrrele, ja już zacznę wstawać.





ROZDZIAŁ 14

Ale kiedy Carradine przyszedł znowu, okazało się, że Grant nie wstaje jeszcze, choć już siedzi.

- Nie wyobraża pan sobie, Brent, jak fascynująco przedstawia się ta ściana naprzeciw po tyłu miesiącach sufitu. A także jak mały i dziwny wydaje się świat widziany z tej pozycji.

Sprawiło mu przyjemność, że Carradine był wyraźnie uradowany jego poprawą zdrowia i dopiero po dość długiej chwili zajęli się historią.

- No i jak się powodziło sukcesorom z rodu Yorków pod panowaniem Henryka VII? - spytał wreszcie Grant.

- A właśnie - potwierdził młodzieniec wyciągając plik notatek; przysunął do siebie krzesło i usiadł. - Od czego mam zacząć?

- O Elżbiecie już wiemy. Ożenił się z nią i była królową aż do śmierci, a wtedy zaczął się starać o hiszpańską Joannę Szaloną.

- Tak. Elżbieta została żoną Henryka na wiosnę 1486, chociaż nie, to był styczeń, pięć miesięcy po Bosworth, a umarła wiosną 1503.

- Siedemnaście lat. Biedna Elżbieta! Siedemnaście lat z Henrykiem. Musiało się jej wydawać, że to siedemdziesiąt! Był on, mówiąc oględnie, niezbyt tkiwym mężem. Zajmijmy się resztą rodziny, zaczynając od dzieci Edwarda. Los chłopców nieznany. Co się stało z Cecylią?

- Henryk wydał ją za swojego starego wuja, lorda Wellesa, i zamieszkała daleko w Lincolnshire. Annę i Katarzynę, będące wtedy jeszcze dziećmi, wydano, jak tylko trochę podrosły, za wiernych stronników Lancastrów. Brygida, najmłodsza, poszła do klasztoru w Dartford.

- Jak dotąd raczej w normie. Kto następnym? Syn George'a?

- Tak, młody Warwick. Skazano go na dożywocie w Tower, a potem stracono za rzekome planowanie ucieczki.

- Ach, tak! A córka George'a, Małgorzata?

- Została hrabiną Salisbury. Skazanie jej na śmierć przez Henryka VIII za jakieś zmyślane przestępstwo to klasyczny przykład morderstwa pod płaszczykiem prawa.

- Syn najstarszej siostry, Elżbiety? Ten, który był drugim oficjalnym następcą tronu?

- John de la Pole. Wyjechał z Anglii i przebywał w Burgundii u ciotki, aż...

- U Małgorzaty, siostry Ryszarda?

- Tak. Zginął w powstaniu Simnela. Miał jednak młodszego brata,

którego pan nie umieścił w swoim spisie. Został on zgładzony przez Henryka VIII. Przedtem poddał się był Henrykowi VII za jego listem żelaznym, więc przypuszczam, że Henryk przesądnie wołał nie złamać słowa, żeby taka zdrada nie przyniosła mu nieszczęścia. Zresztą i tak już wystarczającą ilość ludzi sprzątnął. Za to jego syn nie ryzykował: nie poprzestał na de la Pole'u, Byli jeszcze czterej inni, Exeter, Surrey, Buckingham i Montague, których nie umieścił pan na tej liście, więc Henryk pozbył się ich wszystkich.

- A syn Ryszarda, ten nieślubny, John?

- Henryk VII wyznaczył mu wprawdzie pensję, dwadzieścia funtów rocznie, ale on był pierwszym, którego wykończono.

- Pod jakim zarzutem?

- Podejrzewano, iż został zaproszony do Irlandii.

- Żartuje pan.

- Nie żartuję. Irlandia była największym skupiskiem rebeliantów lojalistycznych. Ród Yorków był tam bardzo popularny, więc otrzymanie stamtąd zaproszenia oznaczało w oczach Henryka tyle co wyrok śmierci. Chociaż wedle „Foedera” był to podobno „chłopiec bystry o dobrych skłonnościach”, jednak trudno zrozumieć, czemu Henryk zawracał sobie głowę młodym Johnem.

- Miał większe prawa niż Henryk - powiedział cierpko Grant. - Był nieślubnym, ale jedynym już synem króla, Henryk zaś tylko prawnikiem nieślubnego syna młodszego syna króla.

Na chwilę zapanowała cisza.

Potem nagle Carradine powiedział:

- Tak.

- Co ma znaczyć to tak?

- To tylko potwierdzenie tego, co pan też pomyślał.

- Bo na to wygląda, prawda? Jedynie ich dwóch brak na tej liście.

Znowu chwila milczenia.

- To wszystko były morderstwa sądowe - powiedział wreszcie Grant. - Morderstwa pod płaszczykiem prawa. Ale nie można oskarżyć dwojga dzieci o coś, za co karą jest śmierć.

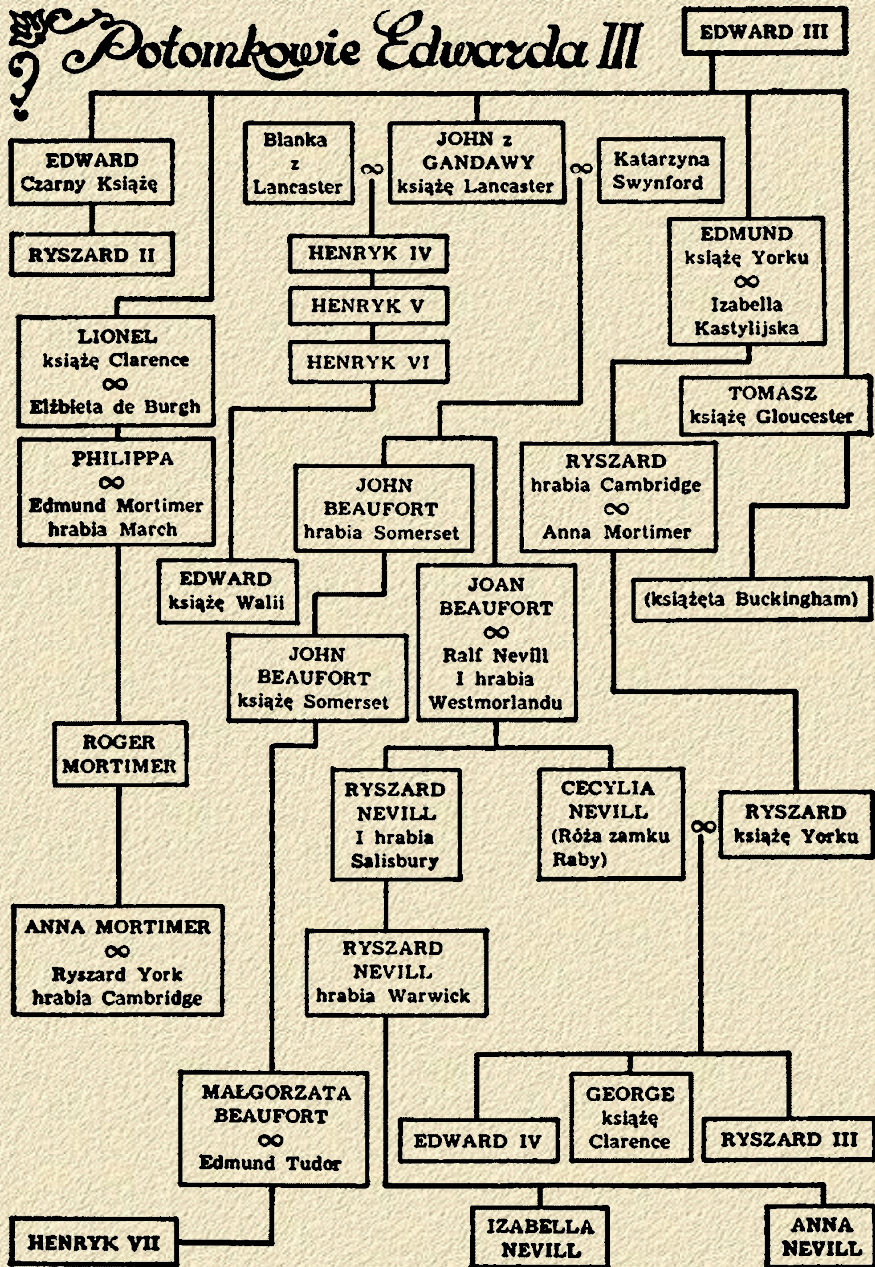
- Nie można - potwierdził Carradine i dalej przyglądał się wróblom. - Trzeba było to załatwić inaczej. Bądź co bądź właśnie oni byli ważni.

- Najważniejsi.

- Jak zaczynamy?

- Tak samo jak ze sprawą wstąpienia na tron Ryszarda. Niech pan wynajdzie, gdzie był każdy w pierwszych miesiącach panowania Henryka i co robił. Powiedzmy w ciągu pierwszego roku jego panowania. Gdzieś w tym normalnym trybie zarysuje się jakaś nagła zmiana, tak samo jak

Potomkowie Edwarda III



nastąpiła nagle zmiana w przygotowaniach do koronacji chłopca.

- Zgoda.

- Czy znalazł pan coś na temat Tyrrela? Kim on był?

- Znalazłem. Wcale nie był taki, jak sobie wyobrażałem. Myślałem, że to jakiś totumfacki. Pan też tak myślał?

- Tak, chyba ja też. A nie był nim?

- Nie, to całkiem ważna osobistość, ten sir James Tyrrel z Gipping. Brał udział w wielu komisjach - bo tak by to chyba trzeba nazwać - za Edwarda IV. Został mianowany Knight Banneret, choć nie wiem, co to znaczy, w czasie oblężenia miasta Berwick. I za Ryszarda dobrze mu się wiodło, tylko nie mogę znaleźć śladów, że brał udział w bitwie pod Bosworth. Ale bardzo wielu spóźniło się na tę bitwę - wiedział pan? - więc to nie musi oznaczać niczego specjalnego. W każdym razie nie był żadnym takim sługusem, próbującym się czegoś dochrapać, za jakiego go miałem.

- To ciekawe. A jak mu się wiodło za Henryka VII?

- Otóż tu się dopiero zaczyna ciekawa część. Jak na tak dobrego i prosperującego dworzanina domu Yorków, niezwykle rozkwit jego kariery przypadł na czasy Henryka; wpierw został wyznaczony przez króla na komendanta twierdzy Guines, w pobliżu Calais, potem wysłany jako poseł do Rzymu. Był też jednym z komisarzy ustalających warunki traktatu w Etaples. Ponadto Henryk dał mu dożywotnio dochody z majątków w Walii, nakazał mu jednak wymienić je na podobnej wartości dochody z okręgu Guines. Nie pojmuję dlaczego.

- A ja tak - mruknął Grant.

- Naprawdę?

- Nie zwrócił pan uwagi na to, że wszystkie te zaszczyty i urzędy były za granicą? Nawet dochody z ziemi?

- Rzeczywiście. Co pana zdaniem z tego wynika?

- Jak dotąd nic. Może po prostu Tyrrel uznał, że powietrze Guines dobrze mu robi na chroniczny bronchit? Z historycznych transakcji można czasem wyczytać aż za dużo. Tak jak w sztukach Szekspira: interpretacje da się mnożyć w nieskończoność. Ile czasu trwał ten miodowy miesiąc Tyrrela z Henrykiem VII?

- O, całkiem długo. Aż do roku 1502 wszystko szło pięknie.

- A co się zdarzyło w 1502?

- Henryk dowiedział się, że Tyrrel pomógł zbiegłemu z Tower stronnikowi Yorków w ucieczce do Niemiec. Poleciał więc, by cała załoga pobliskiego Calais obległa zamek w Guines. Ale że to nie było dość szybkie, wysłał swego Lorda Tajnej Pieczęci - wie pan, kto to taki?

Grant skinął głową.

- Wysłał Lorda Tajnej Pieczęci - co za nazwy wy Anglicy wymyśliliście

dla swoich masońskich godności - ofiarując Tyrrelowi list żelazny, by udał się na pokład statku stojącego w Calais i tam odbył rozmowę z Kanclerzem Skarbu.

- No wie pan!

- Nie muszę już dalej mówić, prawda? Tyrrel znalazł się w lochu Tower i został ścięty „w pośpiechu wielkim i bez sądu” szóstego maja 1502.

- A jego zeznanie?

- Nie było żadnego.

- Jak to?

- Niech pan na mnie tak nie patrzy. To nie moja wina.

- Ale myślałem, że on się przyznał do zamordowania chłopców.

- Tak, wedle różnych relacji. Ale są to tylko relacje o przyznaniu się Tyrrela, a nie tekst jego zeznań. Rozumie pan?

- Chce pan powiedzieć, że Henryk w ogóle nie opublikował tekstu zeznań?

- Nie. Tylko jego posłuszny historyk, Polydore Virgil, opisał, jak tego morderstwa dokonano. Zrobił to już po śmierci Tyrrela.

- Ale jeżeli Tyrrel wyznał, że zamordował chłopców z namowy Ryszarda, czemu nie został oskarżony o ten czyn i publicznie sądzony?

- Nie mam pojęcia.

- Powtórzmy to jeszcze raz dla porządku: nic nie było wiadomo o wyznaniu Tyrrela aż dopiero po jego śmierci.

- Nic.

- Tyrrel przyznaje się, że w roku 1483, prawie dwadzieścia lat wcześniej, przyjechał konno z Warwick do Londynu i otrzymał klucze Tower od komendanta... zapomniałem nazwiska...

- Brackenbury, sir Robert Brackenbury.

- O właśnie, od sir Roberta Brackenbury otrzymał klucze Tower na jedną noc, zamordował chłopców, zwrócił klucze i zdał sprawę Ryszardowi. Zeznaje to, a więc, wyjaśnia coś, co niewątpliwie musiało być ogromnie ważką tajemnicą, a mimo to nie zostaje postawiony w stan oskarżenia?

- Nie.

- Nie chciałbym w sądzie opowiadać takiej historyjki.

- Ja bym nawet nie próbował. To okropnie naciągane.

- I wcale nie sprowadzili Brackenbury'ego, żeby albo potwierdził, albo zaprzeczył całej historii z przekazaniem kluczy?

- Brackenbury zginął pod Bosworth.

- Aha, więc i on, bardzo dogodnie, już nie żył. - Leżał chwilę i cicho rozmyślał. - Wie pan, sam fakt, że Brackenbury zginął pod Bosworth, to jeszcze jeden dowód, że mamy rację.

- W jaki sposób?

- Jeżeli rzeczywiście tak to się odbyło, a więc klucze zostały z rozkazu Ryszarda przekazane na jedną noc, to wielu podkomendnych w twierdzy musiało o tym wiedzieć. I nieprawdopodobne jest, by któryś z nich nie powiedział o tym Henrykowi, gdy tylko ten opanował Tower. Zwłaszcza jeżeli chłopców tam nie było. Brackenbury nie żył, Ryszard nie żył. Ten, kto przejął dowództwo twierdzy po Brackenburym, powinien był wtedy przyprowadzić chłopców. A kiedy nie mógł ich przyprowadzić, wtedy niewątpliwie musiał powiedzieć: „Komendant pewnej nocy przekazał komuś klucze i od tego czasu chłopców już nie widziano”. I niewątpliwie rozpoczęłyby się natychmiast poszukiwania tego, któremu wręczono klucze. Byłby on pierwszym, najważniejszym świadkiem oskarżenia przeciwko Ryszardowi i możliwość zaprezentowania go publicznie oznaczałaby tryumf osobisty Henryka VII.

- Nie tylko to, przecież sam Tyrrel nie był obcy załodze Tower, nie mógł tego zrobić nie zauważony. W ówczesnym niewielkim Londynie musiał być dobrze znaną osobistością.

- Tak. Gdyby ta historia była prawdą, to Tyrrela sądono by i zgładzono jeszcze w roku 1485. Nie miał nikogo, kto by go mógł kryć. - Sięgnął po papiery. - A więc mamy tylko tyle: Henryk ściął Tyrrela w roku 1502, a następnie poprzez swoich historyków oznajmił, że Tyrrel przyznał się, że przed dwudziestu laty z rozkazu Ryszarda zamordował obu królewiczów.

- Tak.

- I nie podał nigdy i nigdzie żadnego powodu, dlaczego nie sądono Tyrrela za ten potworny czyn, do którego się przyznał.

- Nie. Z tego, co mogłem wynaleźć, to nie. On zresztą zawsze postępował jak krętać. Jak rak, nigdy do niczego nie szedł prosto, nawet do morderstwa. Musiało zawsze wyglądać na coś innego. Czekał całe lata, aż znalazł jakiś prawny kruczek, dzięki któremu nie wyglądałoby to na morderstwo. Jego sposób myślenia przypominał korkociąg. Czy wie pan, co było pierwszym oficjalnym pociągnięciem, które zrobił jako król Henryk VII?

- Nie.

- Pewną ilość ludzi walczących pod Bosworth po stronie Ryszarda skazał na śmierć pod zarzutem zdrady. A wie pan, jak zdołał prawnie załatwić, żeby to mogło legalnie być zdradą? Zdecydował, że początek jego panowania przypada na dzień poprzedzający bitwę pod Bosworth. Ktoś, kto mógł wymyślić coś podobnego, zdolny był do wszystkiego. - Przyjął ofiarowanego przez Granta papierosa. - Ale nie udało mu się - dodał z ponurym zadowoleniem. - O, nie. Anglikom tego było za wiele. Dali mu to do zrozumienia dość wyraźnie.

- Jak?

- Wręczyli mu, grzecznie i typowo po angielsku, akt parlamentarny stwierdzający, że nikt służący udzielnemu władcy danego kraju w danym czasie nie może być za to skazany jako zdrajca, pozbawiony mienia czy uwięziony, i zmusili go, by się do tego zastosował. To jest szalenie angielskie, ta bezlitosna grzeczność. Nie było żadnych krzyków na ulicach czy rzucania kamieniami, dlatego że nie podobają się im takie szachrajstwa. Tylko wręczono mu ładny, grzeczny akt, a on musiał go przełknąć i być zadowolony. Ale się pewno wściekał! No, ja już muszę iść. Jak to miło oglądać pana siedzącego. Widzę, że już niedługo wybierzemy się do Greenwich. Co tam właściwie jest w tym Greenwich?

- Trochę bardzo dobrej architektury, a przedtem niezła przejażdżka mulistą rzeką.

- I nic więcej?

- Jeszcze parę dobrych knajp.

- A, to jedziemy do Greenwich.

Kiedy wyszedł, Grant zsunął się znowu do pozycji leżącej i paląc jednego papierosa po drugim rozmyślał nad tymi ewentualnymi sukcesorami z rodu Yorków, którzy żyli zdrowo za Ryszarda III, a za Henryka VII zeszli z tego świata.

Niektórzy może „sami się o to prosili”. Ostatecznie ten raport Carradine’a był tylko wynotowaniem faktów, bez bliższych danych, bez półtonów i niuansów. Ale to w każdym razie byłby niezwykle zbieg okoliczności, żeby wszyscy potencjalnie zagrażający tronowi Tudorów w tak dogodnym okresie zakończyli życie.

Spojrzał, bez zbytniego entuzjazmu, na książkę, którą mu przyniósł młody Carradine. Tytuł jej brzmiał „Życie i panowanie Ryszarda III”, a napisał ją niejaki James Gairdner. Carradine zapewniał, że warto zajrzeć do tego doktora Gairdnera, bo jest on, jak określał, „wystrzałowy”.

Na pierwszy rzut oka książka nie wydawała się Grantowi specjalnie zabawna, ale byle co o Ryszardzie było lepsze niż Bóg wie co o kimś innym, więc zaczął ją przeglądać i dość szybko zrozumiał, co Brent miał na myśli mówiąc o facecie „wystrzałowy”. Dr Gairdner był głęboko przekonany, że Ryszard jest mordercą, ale będąc pisarzem uczciwym, uczonym i wedle własnego sumienia bezstronnym, nie zamierzał przemilczeć faktów. Właśnie obserwowanie, jakie akrobatyczne sztuki wyczynia biedny dr Gairdner po to, by mu fakty pasowały do teorii, okazało się rozrywką jak rzadko.

Dr Gairdner stwierdza - nie uświadamiając sobie wcale braku logiki - wielką mądrość Ryszarda, jego wspaniałomyślność, odwagę, zdolności, wdzięk a także popularność i zaufanie, jakie wzbudzał nawet w pokonanych przez siebie wrogach; a potem jednym tchem niemal

przycacza ohydne oszkalowanie własnej matki i zgładzenie dwojga bezbronnych dzieci. „Tradycja mówi” - pisze zacytowany doktor i solennie przycacza to, co mówi tradycja, i pod czym sam się podpisuje. Nie było w jego charakterze nic podłego ani kręckiego - ale zdaniem doktora był mordercą niewinnych dzieci. Jego poczucie sprawiedliwości budziło zaufanie nawet u wrogów - ale zamordował własnych bratanków. Uczciwość jego była niezwykła - ale zabił dla własnej korzyści.

Jako akrobata dr Gairdner mógłby nosić miano „człowiek bez kości - dziw nad dziwy”. Po raz nie wiadomo który Grant zadał sobie pytanie, jaką częścią mózgu ci historycy pracują? Bo przeciętny śmiertelnik normalnym rozumowaniem nigdy by nie doszedł do podobnych wniosków. Ani w powieściach, ani w faktografii, a tym bardziej w życiu, nie zetknął się z nikim choćby w przybliżeniu podobnym do tego Ryszarda doktora Gairdnera czy do Elżbiety Woodville Oliphanta.

Może rzeczywiście Laura ma rację twierdząc, że w naturze ludzkiej tkwi głęboka niechęć do zmiany raz powziętego przekonania. Jak gdyby nieświadomiony wewnętrzny opór czy nawet odraza do obalania uznanego faktu. W każdym razie dr Gairdner opierał się tej zmianie jak wystraszone dziecko ciągnięte za rękę ku czemuś nieodwracalnemu.

Że ujmującym ludziom znanym z prawości zdarzało się już popełnić morderstwo, o tym Grant wiedział aż nadto dobrze. Ale nie takie morderstwo i nie z takich motywów. Człowiek, jakiego dr Gairdner ukazał w swoim „Życiu i dziejach Ryszarda III”, popełniłby morderstwa tylko, gdyby jego osobisty świat zawalił się skutkiem jakiegoś kataklizmu. Mógłby zabić żonę nagle dowiedziawszy się o jej niewierności. Albo partnera, gdyby tajnymi spekulacjami zrujnował wspólną firmę i zagroził przyszłości jego dzieci. Dość, że popełniona przez niego zbrodnia byłaby w każdym razie spowodowana jakimś gwałtownym afektem, a nie planowana z premedytacją; i na pewno nie byłaby to zbrodnia z niskich pobudek.

Nie można było powiedzieć: ponieważ Ryszard miał takie a takie cechy, więc nie mógł popełnić morderstwa. Ale można było powiedzieć: ponieważ miał takie a takie cechy, więc nie mógł popełnić tego morderstwa.

Zamordowanie nieletnich książątek byłoby z jego strony zbrodnią głupią, Ryszard zaś był człowiekiem wybitnie inteligentnym. Ponadto zbrodnią nad wyraz nikczemną i bezlitosną - jego zaś znano z prawości i dobrego serca.

Można by kolejno wyliczać wszystkie jego udokumentowane zalety i stwierdzić, że z powodu każdej z nich jego udział w tej zbrodni był ogromnie mało prawdopodobny. A gdy się je dodało, tworzyły mur

nieprawdopodobieństwa tak wielki, że sięgał aż hen, ku fantazji.





ROZDZIAŁ 15

- Została jeszcze jedna osoba, którą zapomniał pan umieścić na tej liście poszukiwanych - oznajmił Carradine w parę dni później, zamasyżuje i wesole wchodząc do pokoju.

- Któż to taki?

- Stillington.

- Rzeczywiście. Zaczyna biskup z Bath. Jeżeli Henryk nienawidził aktu *Titulus Regius*, świadczącego o prawach Ryszarda i o nieślubnym pochodzeniu własnej żony, to jeszcze bardziej musiał nie znosić obecności tego, kto to spowodował. Co się stało ze starym Stillingtonem? Też został zamordowany pod płaszczykiem prawa?

- Najwidoczniej starszerek nie dał się w to wrobić.

- W co wrobić?

- W ulubioną zabawę Henryka. Po prostu nie udało się im to. Albo był zbyt cwany, albo zbyt dobroduszny, by dostrzec sidła, w które miał wpaść. W moim przekonaniu, o ile zwykły szperacz ma prawo do własnego zdania, był tak niewinny, że żaden prowokator nie mógł go do niczego sprowokować. W każdym razie do niczego takiego, za co płaciło się głową.

- Czyżby to znaczyło, że biskup pokonał Henryka?

- Nie, co to, to nie. Jego, nikt nigdy nie pokonał. Henryk wystosował oskarżenie, a potem bardzo wygodnie zapomniał o zwolnieniu biskupa. I nie powrócił już... Czy to nie brzmi jak słowa piosenki?

- Bardzo pan jest dziś wesole, że nie powiem rozbrykany.

- Proszę, bez tej podejrzliwej miny. Jeszcze lokale nie są otwarte. A to musujące podniecenie, które pan we mnie dostrzega, ma charakter czysto intelektualny.

- No cóż? Niech pan siada i opowie wreszcie. Co pan przynosi dobrego, bo chyba coś na pewno?

- Dobre to nie jest właściwe słowo. To doskonałe, wspaniałe, cudowne!

- Jednak pan sobie gdzieś gołnął!

- Nie mógłbym dziś rano pić, nawet gdybym chciał, bo byłem i jestem po uszy pełen zachwyty.

- A więc znalazł pan jakąś nagłą zmianę w normalnym rytmie, której szukaliśmy.

- No właśnie, znalazłem, ale o wiele później. Zdarzyło się to o wiele później, niż myśleliśmy. W pierwszych miesiącach każdy robił to, czego się

można było po nim spodziewać. Henryk objął rządy - bez jednego słowa na temat chłopców - zrobił czystkę i ożenił się z ich siostrą. Postarał się, by jego własne wyjęcie spod prawa zostało anulowane w Parlamencie przez jego stronników, też uprzednio wyjętych spod prawa - znowu przy tym ani słowa na temat chłopców - a następnie przeprowadził ten sam zabieg wobec Ryszarda i wiernych mu poddanych, których wierność zrzecznie została przemieniona w zdradę za pomocą jednodniowego antydatowania rządów. Dzięki temu za jednym zamachem spora porcja skonfiskowanych dóbr wpadła mu do skarbca. Mnich z Croyland był okropnie zgorzony, nawiasem mówiąc, tym kanciarstwem króla odnośnie zdrady. „O Boże - pi-sze - jakiegoż zabezpieczenia mają nasi królowie oczekiwać odtąd na polu walki, jeśli ich wierni rycerze wiedzą, że w razie przegranej mogą zostać pozbawieni życia, mienia i dziedzictwa”.

- Zapomniał o swoich rodakach.

- Tak. Powinien był wiedzieć, że Anglicy prędzej czy później wrócą do tej sprawy. Może ten mnich był cudzoziemcem. W każdym razie wszystko działo się tak, jak można się było spodziewać mając Henryka jako głowę państwa. Objął tron w sierpniu 1485 i w styczniu następnego roku pojął za żonę Elżbietę. Pierwsze dziecko królowa powiła w Winchester, a jej matka była tam przy niej i nawet jeszcze w czasie chrztu, co nastąpiło we wrześniu 1486. Potem jesienią królowa-wdowa wróciła do Londynu, a w lutym - niech pan słucho - w lutym została zamknięta w klasztorze, gdzie pozostała do końca życia.

- Elżbieta Woodville? - spytał Grant ogromnie zdumiony. Prędzej wszystkiego by się spodziewał, niż tego.

- Tak. Elżbieta Woodville, matka obu chłopców.

- A skąd pan wie, że zamknięta, może sama tego chciała? - spytał Grant po chwili namysłu. - W owych czasach bardzo często niewiasty z wielkich rodów wstępowały do zakonu, gdy im obrzydło życie dworskie. To zresztą nie była taka przykra egzystencja. Nawet, powiedziałbym, bardzo wygodna dla osoby majątnej.

- Henryk pozbawił ją wszystkiego, co posiadała, i określił wyraźnie miejsce, gdzie miała przebywać: klasztor w Bermondsey. I to właśnie wzbudziło sensację. Wielu „zachodziło w głowę” podobno.

- Nie dziwota. Co za zdumiewające posunięcie! Czy wyjaśnił powody?

- Tak.

- Jakież więc podawał powód pozbawienia jej wszystkiego?

- To, że była miła dla Ryszarda.

- Mówi pan serio?

- Oczywiście.

- Tak brzmiało oficjalne oświadczenie?

- Nie, to jest wersja dziejopisa Henryka.
 - Virgila?
 - Tak. Sam rozkaz Rady, który spowodował jej zamknięcie, brzmi: „dla różnych względów”.
 - Cytuje pan? - spytał z niedowierzaniem Grant.
 - Cytuję. Tak napisano, „dla różnych względów”.
- Po chwili Grant powiedział:
- Trzeba przyznać, że talentu do uzasadnień to on nie miał. Ja bym na jego miejscu wymyślił ze sześć o wiele lepszych.
 - Albo nie chciało mu się tym zajmować, albo sądził, że ludzie są bardzo łatwowierni. I zauważył pan: fakt, że była miła dla Ryszarda, zaczął mu przeszkadzać dopiero w osiemnaście miesięcy od chwili, gdy zajął jego miejsce. Do tego czasu wszystko w rodzinie szło jak po maśle. Henryk zaraz po wstąpieniu na tron dawał nawet teściowej prezenty, różne posiadłości, to i owo.
 - A jaki był prawdziwy powód? Ma pan jakąś sugestię?
 - Zrobiłem jeszcze jedno odkrycie, które może panu nasunąć pewne wnioski. Mnie w każdym razie przyszło do głowy coś niezwykłego.
 - Słucham.
 - W czerwcu tegoż roku...
 - Którego roku?
 - Pierwszego po ślubie z Elżbietą, tysiąc czterysta osiemdziesiątego szóstego. W tym roku, kiedy w styczniu wyszła za mąż i we wrześniu urodziła w Winchester księcia Artura, a jej matka była przy niej.
 - No dobrze, słucham.
 - W czerwcu tegoż roku sir James Tyrrel otrzymał amnestię generalną. Szesnastego czerwca.
 - Ale to jeszcze nic nie oznacza. Wtedy było to normalną procedurą, zazwyczaj na zakończenie okresu służby albo przy rozpoczynaniu nowego. Oznaczała ona, że dany człowiek jest zupełnie oczyszczony z wszelkich zarzutów, jakie ktokolwiek mógłby wygrzebać przeciw niemu.
 - Tak, wiem, wiem. To nie ta pierwsza amnestia jest taka interesująca.
 - Pierwsza? Czyżby była i druga?
 - Tak. To jest właśnie moje odkrycie, że była druga generalna amnestia dla sir Jamesa w miesiąc później. Dokładnie szesnastego lipca 1486.
 - No cóż - zastanawiał się Grant. - To rzeczywiście niezwykle.
 - W każdym razie niespotykane. Spytałem starszego pana, który w B. M. zazwyczaj siedzi obok mnie - ogromnie dużo mi pomógł w moich poszukiwaniach, muszę przyznać - i on twierdzi, że nigdy nie zetknął się dotąd z takim przypadkiem. Kiedy pokazałem mu oba te zapiski w „Memoriałach Henryka VII”, zafascynowało go to po prostu.

Grant pomyślawszy chwilę powiedział:

- Szesnastego czerwca Tyrrel otrzymuje generalną amnestię. Szesnastego lipca otrzymuje drugą generalną amnestię. Około listopada matka chłopców wraca do stolicy, a w lutym zostaje na resztę życia zamknięta za murami.

- Ciekawe...

- Bardzo.

- Myśli pan, że on to zrobił? Tyrrel?

- Możliwe. Bardzo wiele daje do myślenia, że gdy natknęliśmy się na tę poszukiwaną zmianę w normalnym trybie, to jest tam też Tyrrel i także w ogromnie niecodziennej sytuacji. Kiedy po raz pierwszy pogłoski o zniknięciu chłopców rozeszły się szerzej? Kiedy zaczęto o tym otwarciu mówić?

- Chyba dość wcześnie, na początku panowania Henryka.

- No tak, to by się zgadzało. I niewątpliwie wyjaśni zagadkę, która mnie w tej sprawie gnębiła od początku.

- O czym pan mówi?

- Wyjaśniłoby się, dlaczego nie powstało żadne zamieszanie, kiedy chłopcy znikli. To było zawsze niezrozumiałe, nawet dla tych, którzy sądzili, że Ryszard był sprawcą ich zniknięcia. Przecież wystarczy się zastanowić, by zdać sobie sprawę, że ukrycie takiego czynu stanowiło dla Ryszarda absolutną niemożliwość. Istniała przecież w czasie jego panowania liczna, bardzo aktywna i naprawdę potężna opozycja, a król pozostawił ich wszystkich na wolności, rozproszonych po całym kraju, gdzie mogli robić, co tylko chcieli. Gdyby chłopcy zniknęli nagle, miałby przeciwko sobie całe stronnictwo Woodville'ów i Lancastrów. Natomiast Henryk mógł się nie obawiać zarówno mieszania się, jak i nadmiernej ciekawości: miał przecież opozycję bezpiecznie zamkniętą. Jedynym niebezpieczeństwem pozostawała więc teściowa i dlatego w chwili, gdy mogłaby zacząć bruździć, choćby przez nadmierną ciekawość, ją także pakuje pod klucz, i to na dobre.

- Tak. Ale czy nie sądzi pan, że coś mogła jednak zrobić, kiedy się przekonała, jak zupełnie uniemożliwiono jej uzyskanie wieści o synach.

- Może wcale nie wiedziała o tym, że znikli. Może po prostu Henryk jej powiedział: „Moim życzeniem jest, abyście, pani, nie widywali się z nimi. Uważam, że zły macie wpływ na swe dzieci. Jak mogliście opuścić azyl klasztorny i pozwolić, by córki wasze bywały na dworze tego człowieka”.

- Tak, oczywiście, to możliwe. Nie musiał wcale czekać, aż się w niej obudzą podejrzania. Wszystko mogło być załatwione za jednym zamachem. „Jesteś, pani, złą kobietą i złą matką. Posyłam cię do klasztoru dla zbawienia twej duszy a także, by dzieci uchronić przed twym zgubnym

wpływem”.

- Tak. Co do reszty Anglii, to mógł być tak spokojny, jak rzadko który morderca. Od tego genialnego pomysłu z oskarżeniem o zdradę nikt by nie ryzykował zbyt natarczywego dopytywania się o zdrowie książątek. I tak wszyscy żyli jak myszy pod miotłą, nie wiedząc, co też nowego ich król uzna *ex post* za przestępstwo, za które zapłacić przyjdzie głową, aby skarb zyskał nowe skonfiskowane dobra. Nie, nie, to nie były czasy, kiedy ktoś popuszczał wodze ciekawości na temat nie dotyczący go bezpośrednio. Zresztą wcale nie tak łatwo byłoby tę ciekawość co do chłopców zaspokoić.

- Bo chłopcy mieszkali w Tower, tak?

- Bo mieszkali w Tower obsadzonym przez ludzi Henryka. Skończyły się czasy Ryszarda, kiedy zasadą było: „pojednać się” i „dać życie innym” Henryk nie uznawał żadnego bratania się Yorków z Lancastrami. Załoga Tower bez wątpienia składała się tylko z jego ludzi.

- O tak, wyłącznie. Czy wie pan, że Henryk był pierwszym królem angielskim mającym straż przyboczną? Ciekaw jestem, co też powiedział żonie o jej braciach?

- Rzeczywiście, to interesujące. Może nawet powiedział jej prawdę?

- Henryk? Nigdy! Przecież on musiałby stoczyć ze sobą samą ciężką walkę, gdyby miał głośno przyznać, że dwa a dwa jest cztery. Mówię panu, to był rak, on nigdy do niczego nie podchodził wprost.

- Jeżeli był sadystą, mógł jej to powiedzieć zupełnie bezkarnie. Przecież nic nie mogła poradzić. Nawet gdyby chciała. Właśnie wydała na świat następcę tronu Anglii i gotowała się wydać następnego. Może nie miała siły i energii na jakąś krucjatę, zwłaszcza na taką, która mogła jej samej usunąć grunt spod nóg.

- Henryk nie był sadystą - powiedział Carradine smutno. Niechętnie przyznawał Henrykowi nawet tak negatywną zaletę. - W pewnym sensie był nawet czymś odwrotnym. Mordowanie wcale nie sprawiało mu przyjemności. Musiał zawsze upiększyć sprawę, zanim mógł zacząć o niej myśleć bez odrazy. Przybrać ją w pozory praworządności. Jeżeli przypuszcza pan, że Henryk podniecał się erotycznie możliwością przechwalania się żonie tym, co zrobił z jej braćmi, to chyba pan się myli.

- Pewnie ma pan rację - mruknął Grant i leżał rozmyślając o Henryku. - Próbuję dobrać do niego właściwy przymiotnik. Nędzny, tak, to była nędzna kreatura.

- Nawet włosy miał rzadkie i nijakie.

- Nie myślałem o jego wyglądzie zewnętrznym.

- Wiem, że nie.

- Wszystko, co robił, było nędzne. Jak się tak zastanowić chwilę, to Widły

Mortona są najbardziej nędznym sposobem wyciągania od ludności pieniędzy, jaki zna historia. I nie tylko ta chciwość Henryka, ale wszystko, co się go tyczy, też jest nędzne, nie uważa pan?

- Tak. Z nim doktor Gairdner nie miałby kłopotu przy dopasowywaniu czynów do charakteru. Jak się panu to dzieło podoba?

- Fascynujące studium.

- No jak, czy już zaczął pan pisać swoją książkę?

- Zacząłem, tak na próbę. Wiem, jak chciałbym to napisać, w jakiej formie. Ufam, że pan nie będzie miał nic przeciw temu.

- Skąd takie przypuszczenie?

- Bo chciałbym opisać, jak to się zdarzyło - wie pan, jak przyszedłem do pana i jak zaczęliśmy szukać wszystkiego o Ryszardzie nie wiedząc właściwie, czego szukamy, i jak przypadkiem natknęliśmy się na to, co naprawdę się działo, a nie co ktoś potem o nim napisał, jak szukaliśmy nagłych zmian w normalnej rutynie życia, by dowiedzieć się, kiedy to się wydarzyło, trochę niby szukanie banieczek powietrza w miejscu, gdzie zanurzy] się nurek - to wszystko chciałbym opisać.

- Myślę, że to doskonały pomysł.

- Naprawdę?

- Tak.

- Jeżeli tak, to dobrze. Będę pisał dalej. Jeszcze dodatkowo trochę muszę poszukać, poszperać na temat Henryka. Chcę mieć możliwość bezpośredniego zestawienia ich osiągnięć, żeby czytający sami mogli ich porównać. Czy wiedział pan na przykład, że to Henryk wymyślił Izbę Gwiazdzistą?

- Naprawdę? Zapomniałem o tym. No, no - Widły Mortona i Izba Gwiazdzista. Klasyczny przykład bezwzględnych metod i klasyczny przykład tyrańskich rządów. Nie będzie panu trudno stworzyć bardzo różne portrety tych dwóch przeciwników. Same już Widły Mortona i Izba Gwiazdzista stanowią świetny kontrast z prawem do wyjścia za kaucją i aktem, zwalczającym zastraszenie sędziów przysięgłych.

- Te rzeczy uchwalił Parlament za Ryszarda? Ojej, ile jeszcze czytania mam przed sobą! Atlanta nie rozmawia ze mną. A pana utopiłaby w szklance wody. Twierdzi, że dziewczyna ma teraz ze mnie tyle pożytku co z zeszłorocznego żurnala. Ale niech mi pan wierzy, jeszcze nigdy w życiu nie zdarzyło mi się coś tak podniecającego. Tak ważnego, powiedzmy, to mam na myśli, bo podniecająca dla mnie jest Atlanta, nie potrzebuję niczego bardziej podniecającego. Ale ani ona, ani ja - nie jesteśmy ważni, rozumie pan, o co mi idzie, prawda?

- Tak, rozumiem. Znalazł pan coś, co jest warte zachodu.

- Tak, warte zachodu. I właśnie ja to robię, mały synek państwa

Carradine. Pomyśleć, że przyjechałem tu za Atlantą i tylko dla zdobycia alibi zająłem się tymi archiwami. Szukałem w B. M. środka uspokajającego dla mego taty, a znalazłem cel życia! Czy to nie wspaniałe? - Przyjrzał się Grantowi badawczo. - Czy pan jest zupełnie pewny, że nie ma pan ochoty na napisanie tej książki? Bądź co bądź, to duża rzecz.

- Nigdy nie napiszę żadnej książki - zapewnił go Grant stanowczo. - Nawet zatytułowanej „Moje dwadzieścia lat w Scotland Yardzie”.

- Co? Własnej autobiografii też nie?

- Nie. Żywię głębokie przekonanie, że i tak ludzie piszą o wiele za dużo książek.

- O, ta moja musi być napisana! - wykrzyknął Brent z miną lekko urażoną.

- Oczywiście, że musi. Ale zapomniałem jeszcze o coś spytać. Jak szybko po tej dwukrotnej amnestii Tyrrel dostał nominację we Francji? Jak szybko po tym przypuszczalnym wykonaniu polecenia Henryka w lipcu osiemdziesiątego szóstego roku został mianowany komendantem zamku w Guines?

Mina Brenta z urażonej zmieniła się raptem w tak złośliwą, że trudno było wyobrazić sobie, by łagodny zazwyczaj baranek mógł tak wyglądać.

- Ciekaw byłem, kiedy pan o to spyta. A gdyby pan zapomniał, to i tak wychodząc bym powiedział. Odpowiedź brzmi bowiem: prawie od razu!

- Aha. Znowu kamyczek, który pasuje jak ulał do naszej mozaiki. Ciekawe, czy akurat była wakująca posada, czy też dlatego wysłany został do Francji, bo Henryk wolał nie mieć go w Anglii.

- Założę się, że było odwrotnie: sam Tyrrel chciał się wydostać z Anglii. Gdybym był poddanym Henryka, to na pewno wolałbym być zdalnie kierowany. A już zwłaszcza, gdybym miał na swym koncie takie poufne zadanie wykonane dla Henryka, po którym mogłoby mu być na rękę, abym nie dożył zbyt sędziwego wieku.

- Tak, może i racja. Nie tylko wyjechał za granicę, ale jak to już stwierdziliśmy, pozostawał tam długo. Ciekawe.

- Nie tylko on pozostawał za granicą. John Dighton także. Nie udało mi się wynaleźć informacji, kim byli wszyscy ci ludzie, których posądzano, że mieli coś wspólnego z morderstwem. Opisy z czasów Tudorów tak bardzo różnią się między sobą, że właściwie przeczą sobie wzajemnie. Ulubiony historyk Henryka, Polydore Virgil, twierdzi, że morderstwo zostało popełnione, kiedy Ryszard był w Yorku. Wedle czcigodnego sir Tomasza stało się to o wiele wcześniej, kiedy Ryszard wyjechał do Warwick. A ludzie, wymieniani w związku z tym, też u każdego są inni. I dlatego tak trudno w nich się wyznaczyć. Nie wiem, kim był Will Slater, względnie Czarny Will czy Miles Forest. Ale wiem, że istniał jakiś John Dighton. Grafton

twierdzi, że mieszkał przez długi czas w Calais, „tylż pogardzany co i wyszydzany”, aż zmarł tam w wielkiej biedzie. Bardzo lubili wtedy tak wyraźnie wskazać morał. Zupełnie jak w czasach wiktoriańskich.

- Jeżeli Dighton cierpiał biedę, to nie wygląda, żeby to on wykonywał jakieś polecenie Henryka. Czym był z zawodu?

- O ile to ten sam John Dighton, to był on księdzem i w żadnym razie nie cierpiał biedy. Żył bardzo dobrze mając stały dochód z Synekury. Henryk drugiego maja osiemdziesiątego siódmego roku przyznał jakiemuś Johnowi Dightonowi dochody z Fulbeck koło Grantham, które leży w Lincolnshire.

- No, no - zdziwił się Grant - osiemdziesiątego siódmego! I on także żyje za granicą i w dobrobycie.

- Aha, ładnie, co?

- Wspaniale. A nikt nie tłumaczy, czemu tego wyszydzanego Dightona nie zaciągnęli siłą do Anglii, by go tam powiesić za królobójstwo?

- Skądże. Nic z tych rzeczy. Historycy Tudorów nie umieli logicznie rozumować.

Grant parsknął śmiechem.

- Widzę, że nauczył się pan czegoś.

- Oczywiście. Uczę się nie tylko historii. Siedzę u stóp Scotland Yardu chłonąc wiedzę o umyśle ludzkim. No, ale dość tego. Następnym razem, jeżeli będzie pan się czuł na siłach, to przeczytam panu dwa pierwsze rozdziały mojej książki.

Po chwili milczenia spytał:

- Czy nie miałby pan nic przeciwko temu, żebym ją panu zadedykował?

- Myślę, że lepiej będzie, jeżeli w dedykacji wymieni pan raczej Carradine'a Trzeciego! - powiedział Grant żartobliwie.

Ale chłopiec najwyraźniej uważał, że to sprawa serio.

- Nie stosuję dedykacji zamiast wazeliny - powiedział trochę sztywno.

- Ach, nie myślałem o wazeliniarstwie, a raczej o odrobinie rozwagi - próbował załagodzić Grant.

- Nigdy bym przecież nie zabrał się do tego, gdyby nie pan - mówił Brent stojąc na środku pokoju, bardzo przejęty, uroczysty i amerykański w tym swoim o wiele za obszernym płaszczu - i dlatego chciałbym jakoś okazać moją wdzięczność.

- Ależ będę zachwycony - wymamrotał Grant, a wtedy królewska postać na środku pokoju zmieniła się znowu w nieśmiałego chłopaka, kłopotliwy moment minął i Carradine odszedł we wspaniałym humorze. Wydawał się większy i masywniejszy niż przed trzema tygodniami, może rozpiełała go duma z tego, co osiągnęli.

A Grant leżał wpatrując się w przeciwległą ścianę, jakby sobie na niej

powiesił wszystkie nowiny, które dziś uzyskał.





ROZDZIAŁ 16

Zamknięto ją z dala od świata, tę nieugięcie cnotliwą piękność o sławnych złocistych włosach.

Czemu „złocistych”, zastanowił się po raz pierwszy. „Platynowych” może, bo była podobno wyjątkowo jasną blondynką. Szkoda, że to słowo teraz budzi właściwie o wiele gorsze skojarzenia.

Pozostała zamknięta aż do śmierci tam, gdzie już nikomu jej osoba nie zakłócała spokoju. Bo właściwie przez całe życie była powodem jakichś kłopotów, nieporozumień i zamieszania. Jej małżeństwo z Edwardem było wstrząsem dla całej Anglii. Potem przyczyniła się - biernie co prawda - do upadku Warwicka. Jej szczodrość wobec własnej rodziny spowodowała powstanie nowej partii i uniemożliwiła Ryszardowi objęcie władzy w spokoju. Skromna uroczystość wśród bezdroży Northamptonshire, gdy została żoną Edwarda, kryła już w sobie zapowiedź Bosworth. A jednak nikt nie czuł do niej nienawiści. Nawet ten Ryszard, któremu tyle złego wyrządzono, przebaczył jej wszystkie krzywdy spowodowane przez jej krewniaków. Nikt nie czuł do niej nienawiści, aż do czasu, gdy zjawił się Henryk.

Znikła w zapomnieniu, ślad po niej zagaął. Królowa--wdowa, będąca matką królowej angielskiej. Matka „książątek z Tower”, która żyła wolna i bogata za panowania Ryszarda III.

To już była nieprzyjemna, gwałtowna zmiana w normalnej rutynie, nieprawdaz?

Grant przestał na chwilę myśleć o osobistych losach ludzi i zaczął rozpatrywać sprawę metodą policyjną. Czas już zrobić porządek z tym, co ma. Doprowadzić wszystko do stanu, w którym coś widać. Chłopakowi pomoże to przy pisaniu książki, a jemu samemu rozwikła wiele niejasności. Dużo więcej zawsze widać, kiedy ma się wszystko czarno na białym.

Sięgnął po blok i pióro i zaczął podsumowanie:

DOTYCZY: Zniknięcia dwóch chłopców (Edwarda, księcia Walii, i Ryszarda, księcia Yorku) z Tower w Londynie prawdopodobnie w roku 1485 lub w niedługi czas później.

Zastanawiał się, czy lepiej będzie umieścić obu podejrzanych obok

siebie, czy jednego za drugim. Może lepiej naprzód skończyć z Ryszardem. Nakreślił więc znowu zgrabny tytuł, a potem już spisywał swoje podsumowanie:

RYSZARD III

CO WIADOMO O JEGO PRZESZŁOŚCI:

Wszystko pozytywne. Doskonale osiągnięcia w służbie publicznej i dobre opinie o życiu prywatnym. Sądząc z postępowania najważniejszą cechą jego charakteru był zdrowy rozsądek.

W ZWIĄZKU Z ZARZUCANYM PRZESTĘPSTWEM:

a) Nie przynosiło mu ono korzyści; było bowiem jeszcze dziewięciu sukcesorów z rodziny Yorków, w tym trzech mężczyzn.

b) Nie było współczesnego oskarżenia.

c) Matka chłopców pozostawała z nim to dobrych stosunkach aż do jego śmierci, a córki jej brały udział w uroczystościach dworskich.

d) Nie okazywał strachu przed innymi sukcesorami z rodu Yorków, przyznał im szczodre apanaże i zapewnił traktowanie należne członkom rodziny królewskiej.

e) Jego własne prawa do tronu były niepodważalne, zatwierdzone przez akt Parlamentu i powszechne poparcie; chłopcy nie mieli prawa do sukcesji i nie stanowili dla niego niebezpieczeństwa.

f) Gdyby obawiał się niechęci, to powinien był się pozbyć nie tych dwóch chłopców, ale trzeciego, który rzeczywiście był następnym w sukcesji do korony, a mianowicie młodego Warwicka. On tymczasem publicznie ogłosił go następcą tronu, gdy jego własny syn umarł.

HENRYK VII

CO WIADOMO O JEGO PRZESZŁOŚCI:

Awanturnik, żyjący na obcych dworach. Syn ambitnej matki. Nie wiadomo nic złego o jego życiu prywatnym. Nie piastował żadnego stanowiska publicznego ani nie miał żadnego zajęcia. Sądząc z postępowania najważniejszą cechą jego charakteru była przebiegłość.

W ZWIĄZKU Z ZARZUCANYM PRZESTĘPSTWEM:

a) Było dla niego bardzo istotne, aby obaj chłopcy zakończyli życie. Anulując akt stwierdzający nieślubne pochodzenie dzieci Edwarda IV, zrobił starszego z chłopców królem Anglii, a młodszego następcą tronu.

b) W akcie, przedłożonym Parlamentowi celem pośmiertnego pozbawienia Ryszarda czci, oskarżył go jak zwykle w takich wypadkach o tyranie i okrucieństwo, ale nawet nie wspomniał o obu królewiczach. Nasuwa to wniosek nieunikniony, że w tym czasie obaj chłopcy żyli, a miejsce ich pobytu było znane.

c) *Matka chłopców została pozbawiona majątku i zamknięta w klasztorze w osiemnaście miesięcy po jego wstąpieniu na tron.*

d) *Od razu poczynił odpowiednie kroki, by zabezpieczyć osoby wszystkich sukcesorów korony, i trzymał ich pod ścisłym aresztem do czasu, gdy mógł z możliwie najmniejszym skandalem każdego z nich się pozbyć.*

e) *Nie miał żadnych praw do tronu. Od śmierci Ryszarda młody Warwick był de iure królem Anglii.*

W czasie gdy to pisał, przyszło Grantowi po raz pierwszy do głowy, że przecież Ryszard miał prawo uznać następcą tronu swego nieślubnego syna, Johna, i narzucić go narodowi. Niemało już było precedensów takiego kroku. Ostatecznie cały klan Beaufortów, włącznie z matką Henryka, byli to potomkowie nie tylko nieślubnego związku, ale i podwójnego cudzołóstwa. Nic nie przeszkadzało Ryszardowi uznać na następcę tego „chłopca bystrego, o dobrych skłonnościach”, który wychowywał się, uznawany jako bastard, w jego domu. Jakim człowiekiem był Ryszard, można ocenić po tym, że wcale nie zastanawiał się nad taką możliwością. Wyznaczył na następcę tronu swego bratanka. Nawet wtedy, gdy pogrążony był w rozpacz, cechował go zawsze zdrowy rozsądek i miłość do rodziny. Żaden syn nieprawy, choćby jak najbardziej bystry i wykazujący najlepsze skłonności, nie będzie zasiadał na tronie Plantagenetów, jeśli może go objąć syn jego brata.

Zastanawiające, jak atmosfera miłości rodzinnej przepętnia całą tę historię. Od samego początku, od czasu gdy Cecylia podróżowała wszędzie wraz ze swym mężem aż do chwili, gdy jej syn z własnej woli wyznaczył swoim następcą syna George'a.

I po raz pierwszy uderzyło go z całą siłą poczucie, że ta atmosfera miłości rodzinnej jest dodatkowym argumentem przemawiającym za niewinnością Ryszarda. Ci chłopcy, których ponoć uśmiercił tak, jakby się pozbywał zbędnych sztuk inwentarza, to byli synowie Edwarda, dzieci, które dobrze znał. Dla Henryka natomiast byli oni zaledwie symbolami, przeszkodami na drodze. Prawdopodobnie nigdy ich nawet nie widział. Już samo to, niezależnie od różnic charakterów, mogło przesądzić, który z tych mężczyzn jest bardziej podejrzany.

Jakże to rozjaśnia w głowie zobaczyć wszystko czysto i porządnie spisane jako a), b) i c). Nie zauważył przedtem, jak podwójnie podejrzaną jest zachowanie Henryka w sprawie *Titulus Regius*. Jeżeli, jak Henryk z uporem twierdził, prawa Ryszarda do korony były absurdalne, to najszuszniejszą rzeczą było publiczne odczytanie całego aktu i wykazanie jego kłamliwości. A tymczasem nie zrobił nic podobnego, tylko za wszelką cenę starał się wymazać z ludzkiej pamięci wszelkie wspomnienia o tym

akcie. Nieuchronnie więc nasuwa się konkluzja, że wyłożone w akcie *Titulus Regius* prawa Ryszarda do korony były bezsporne.





ROZDZIAŁ 17

Kiedy Carradine pojawił się po południu w szpitalu, tego dnia rano Grant zdołał przejść do okna i z powrotem, a był tak z tego dumny, że Karliczka nie mogła się powstrzymać, by mu nie przypomnieć, że każde półtoraroczne dziecko potrafi to zrobić; ale tego dnia Granta niełatwo było speszyć.

- Myślała siostra, że będę tu tkwił jeszcze całe miesiące, prawda? - wykrzyknął.

- Bardzo się cieszymy, że tak szybko pan wyzdrowiał - odpowiedziała sztywno i dodała: - Zresztą z tego, że zwolni się łóżko, cieszymy się także.

I odeszła stukając obcasami; sztywno nakrochmalony czepek na blond loczkach.

Grant leżał na łóżku i spoglądał na tę swoją celę więzienną niemal dobrotliwie. Ani ktoś, kto dotarł na sam biegun, ani ten, kto wdrapał się na szczyt Everestu, nie mają się czym przechwalać wobec człowieka, który po tygodniach przeleżanych na wznak w charakterze 80 kilogramów nieszczęścia dobrnął wreszcie do okna. W każdym razie Grant tak uważał.

Jutro wraca do domu, gdzie będzie rozpieszczany przez panią Tinker. Początkowo ma spędzać pół dnia w łóżku, a chodzić będzie mógł tylko o kulach, ale znowu zacznie być swoim własnym panem. Nikogo nie będzie musiał słuchać. Dość kurateli tego pewnego siebie maleństwa, dość współczucia tamtej dobrodusznej olbrzymki.

Co za rozkoszna perspektywa!

Teraz czekał, by wpadła Marta, żeby i przed nią się puszyć swym nowo odzyskanym poczuciem ważności; przedtem obwieścił już swój tryumf Williamsowi, bo sierżant przyszedł od razu po zakończeniu sprawy w Essex.

- Jak się panu pracowało na tych historycznych dziełach? - zapytał go Williams.

- Doskonale. Udowodniłem, że wszyscy się mylą.

Williams uśmiechnął się.

- Przypuszczalnie prawo tego zakazuje. Ministerstwu Spraw Wewnętrznych to się nie spodoba, okaże się na przykład zdradą albo *lèse-majesté*, albo czymś w tym guście. Z takimi rzeczami nigdy nie wiadomo. Uważałbym na pana miejscu.

- Nigdy w życiu już nie uwierzę w coś, co wyczytam w książce

historycznej, tak mi Boże dopomóż.

- Będzie pan musiał zrobić parę wyjątków - zaprotestował Williams z typowym dla niego uporem. - Królowa Wiktoria żyła naprawdę i chyba Juliusz Cezar naprawdę najechał Brytanię. No i jeszcze rok tysiąc sześćdziesiąty szósty.

- Właśnie zaczynam mieć bardzo poważne wątpliwości i co do tego. Ale widzę, że zakończył pan sprawę w Essex. No i jaki jest ten gagatek?

- Łotr do szpiku kości. Przez całe życie zbyt łagodnie go traktowano od dnia, kiedy jako mały chłopak zaczął podkraść matce drobne. W swoim czasie, powiedzmy, jak miał dwanaście lat, dobre lanie mogło go jeszcze uratować. A teraz będzie wisiął, zanim drzewa przekwitną. W tym roku wiosna będzie wczesna. Co dzień wieczorem pracuję już trochę w ogródku, od kiedy dni są trochę dłuższe. Panu także przyjemnie będzie odetchnąć wreszcie świeżym powietrzem.

Potem odszedł, różowy, spokojny i opanowany, jak przystało na człowieka, który dostawał w młodości tyle batów, ile było trzeba.

Grant zaś czekał dalej na kogoś jeszcze z tego świata pozaszpitalnego, do którego już niedługo miał powrócić, i ucieszył się ogromnie, gdy rozległo się znajome, nieśmiałe pukanie.

- Właż pan, Brent! - zawołał wesoło.

I ukazał się Brent. Ale to nie był ten sam Brent, który wyszedł stąd przed paroma dniami.

Znikł radosny triumfator. Znikł szeroki oddech zwycięzcy. To już nie był Carradine-pionier, ten, który wytycza nowe szlaki.

To był po prostu szczupły chłopak w bardzo długim i bardzo szerokim płaszczu. Widać było, że jest młody, zszokowany, wręcz zrozpaczony.

Grant przyglądał się z przerażeniem jego twarzy, jego niepewnym krokom. Plik papierów nie rozpychał mu dziś wielkiej kieszeni.

No cóż, pomyślał Grant filozoficznie, mieliśmy przez jakiś czas dobrą zabawę. Musieliśmy widocznie na czymś się potknąć. Nie można poważnych badań naukowych robić ot, tak, po amatorsku, a tym bardziej wierzyć, że w ten sposób da się czegoś dowieść. Trudno sobie wyobrazić, żeby jakiś amator przyszedł ot, tak sobie, do Scotland Yardu i rozwiązał zagadkę, której zawodowcy nie mogli dać rady; czemu miałyby uważać się za sprytniejszego od historyków? Chciał sam sobie dowieść, że miał rację tak a nie inaczej oceniając twarz na portrecie; chciał zmazać wstyd umieszczenia kryminalisty za stołem sędziowskim zamiast na ławie oskarżonych. Ale trzeba będzie przyznać się do pomyłki i koniec. Sam sobie tego napytał. Może w głębi duszy był trochę zanadto zarozumiały, za bardzo zadowolony z siebie i z tego „dobrego oka do twarzy”,

- Dzień dobry panu.

- Dzień dobry, Brent.

Tak, dla chłopca to jest dużo gorsze. W tym wieku zawsze oczekuje się cudów. Jego jeszcze wciąż zdumiewa to, że balonik może z hukiem trzasnąć.

- Wygląda pan ponuro - zaczął Grant wesołym tonem. - Czyżby coś było nie w porządku?

- Wszystko.

Carradine usiadł i spojrział w okno,

- Czy te piekielne wróble nie doprowadzają pana do szału? - zapytał poirytowany.

- O co chodzi? Okazało się, że jednak pogłoski o zniknięciu chłopców były powszechnie znane już przed śmiercią Ryszarda?

- Och, coś jeszcze gorszego.

- Coś pisanego? List jakiś?

- Nie, nic w tym rodzaju. To coś o wiele gorszego. Bardziej zasadniczego. Nawet nie wiem, jak panu powiedzieć. - Wykrzywił się w stronę jazgotliwych wróbli. - Wstrętne ptaszyska. Nie napiszę już tej książki, panie inspektorze.

- Czemu nie?

- Bo to nic nowego. Wszyscy o tym wiedzą od Bóg wie kiedy.

- O czym wiedzą?

- O tym, że Ryszard wcale nie zabił chłopców i tak dalej.

- Wiedzą? Od kiedy?

- Od kilkuset lat.

- Weź się w kupę, chłopcze. Przecież to się wszystko zdarzyło zaledwie czterysta lat temu.

- No właśnie. Ale co z tego. Ludzie już wiedzą, że Ryszard tego nie zrobił, i to od kilkuset lat..

- Dość biadolenia, czekam na trochę faktów. Kiedy się zaczęła ta, powiedzmy, rehabilitacja Ryszarda?

- Kiedy? No, przy pierwszej okazji.

- To znaczy?

- Jak tylko skończyli się Tudorowie i można było bezpiecznie mówić.

- Czyli za Stuartów, tak?

- Tak, chyba tak. Jakiś gość nazwiskiem Buck napisał obronę Ryszarda w siedemnastym wieku. A Horace Walpole w osiemnastym. A niejaki Markham w dziewiętnastym.

- A kto w dwudziestym?

- Nie słyszałem o nikim.

- No, to czemu pan by tego nie miał zrobić?

- Ale to już nie będzie to samo, nie rozumie pan? To już nie będzie

wielkie odkrycie! - Te słowa były powiedziane z naciskiem: Wielkie Odkrycie.

Grant uśmiechnął się do młodzieńca.

- No, no. Trudno oczekiwać, żeby Wielkie Odkrycia wyrastały jak grzyby po deszczu. Ale jeśli nie może pan być pionierem, czemu nie poprowadzić krucjaty?

- Krucjaty?

- Właśnie.

- Przeciwno czemu?

- Przeciw Tonypany.

Twarz Carradine'a nie była już pusta i martwa - raptem poweselała, jakby młodzieniec nagle dostrzegł coś komicznego.

- To właściwie bardzo zabawna nazwa - mruknął.

- Jeżeli ludzie przez trzysta pięćdziesiąt lat wykazywali, że Ryszard nie zamordował swoich bratanków, a podręczniki historii wciąż jeszcze bez żadnych wątpliwości twierdzą jednogłośnie, że tak, to moim zdaniem Tonypany jest u nas mocno zakorzenione. Czas zabrać się do walki.

- Ale co ja mogę zrobić, jeżeli Walpole i tamci nic nie osiągnęli?

- Jest takie stare powiedzonko o wodzie drążącej kamień.

- Panie inspektorze, w tej chwili czuję się bardzo cieniutką strużką wody.

- I wygląda pan nie lepiej. Nigdy nie widziałem, żeby się kto tak nad sobą litował. W tym nastroju nie można się zabierać do przekonywania brytyjskich czytelników. Jeszcze się to i tak da panu we znaki.

- Dlatego, że dotąd nie napisałem żadnej innej książki?

- Nie, to wcale nie takie ważne. Zresztą u większości pisarzy właśnie pierwsza książka jest najlepsza; bo to ta, którą najbardziej chcieli napisać. Chodziło mi o to, że każdy, choćby od czasów szkolnych nie miał w ręku książki historycznej, będzie się czuł upoważniony do wydawania opinii, o pańskiej pracy. Zarzucą panu „wybielanie Ryszarda”. W słowie „wybielanie” jest coś poniżającego, czego nie ma w słowie „rehabilitacja” i dlatego właśnie będą nazywać to „wybielaniem”. Niektórzy zajrzą do Encyklopedii Brytyjskiej i, przekonani o swojej kompetencji, posuną się dalej; zamiast chłostać, będą się starali pana zniszczyć. Prawdziwi historycy zaś nawet pana nie zauważą.

- A niedoczekanie! Już ja ich zmuszę, żeby mnie zauważyli!

- No! To brzmi trochę bardziej zdobywczo! Czy miał pan już napisany kawałek tej swojej książki, w momencie gdy uderzyła w pana ta wieść, że to nie pan jest pierwszy?

- Tak, miałem już dwa rozdziały.

- I co pan z nimi zrobił? Nie zniszczył ich pan, mam nadzieję?

- Nie, ale prawie. Chciałem je wrzucić w ogień.

- I co pana powstrzymało?

- To był piecyk elektryczny - Carradine wysunął daleko przed siebie długie nogi, przeciągnął się, a potem wybuchnął śmiechem. - No, trochę mi ulżyło. Nie mogę się doczekać, kiedy będę mógł brytyjskim czytelnikom wywalić trochę prawdy bez ogródek. Czuję w żyłach krew Carradine'a I, mego pradziadka.

- Brzmi to dość groźnie.

- Nie było na świecie drugiego typa tak pozbawionego skrupułów jak on. Zaczął jako drwal, a skończył jako właściciel renesansowego pałacu, dwóch jachtów i salonki. Wie pan, to taki własny wagon kolejowy z zielonymi jedwabnymi firankami i boazeriami z szlachetnego drzewa. Kto nie widział, to nie uwierzy. W ostatnich czasach wszyscy - z moim ojcem włącznie - mieli wrażenie, że krew Carradine'ów nie jest już taka gorąca jak dawniej. Ale w tej chwili czuję się znowu tak jak mój pradziad. Wiem, co czuł Carradine I, kiedy chciał kupić jakiś kawał lasu, a ktoś mu mówił, że nie będzie mógł go dostać. Zabieram się do roboty.

- To dobrze, bo już jestem ciekaw tej dedykacji. - Wziął swój blok leżący na stoliku i podał Brentowi. - Zrobiłem sobie takie policyjne podsumowanie sprawy. Może przyda się panu do rozwinięcia argumentacji.

Carradine z szacunkiem zabrał się do czytania.

- Proszę wyrwać tę kartkę i zabrać sobie. Ja już z tym skończyłem.

- Przypuszczalnie za tydzień czy dwa będzie pan zbyt pochłonięty prawdziwym śledztwem, żeby się zajmować teoretycznym dochodzeniem - powiedział Brent trochę z zalem.

- Nie pamiętam, by jakiegokolwiek inne śledztwo sprawiło mi tyle przyjemności - zapewnił gorąco Grant. Zerknął na portret wciąż jeszcze oparty o książki. - Nawet pan nie wie, jak bardzo się dziś przejąłem widokiem pańskiej ponurej miny. Myślałem, że wszystko przepadło. - Spojrzał znowu na portret. - Marta uważa, że on wygląda trochę jak Lorenzo Wspaniały. Jej przyjaciel James twierdzi, że ma oblicze świętego. Mój lekarz orzekł, że to twarz kaleki. Sierżant Williams myśli, że to twarz wielkiego sędziego. Ale moim zdaniem przełożona jest najbliższa sedna sprawy.

- A co ona twierdzi?

- Że to twarz pełna straszliwego cierpienia.

- Tak, chyba tak. No i trudno się dziwić.

- Rzeczywiście niewiele zostało mu oszczędzone. Te ostatnie dwa lata musiały zwalić się na niego z szybkością i ciężarem lawiny. A przedtem wszystko tak dobrze się układało. Anglia wreszcie wypłynęła na spokojne wody. Można było zapomnieć o wojnie domowej. Silne rządy

gwarantowały krajowi pokój, rozwój handlu wróżył zamożność. Ryszard patrzący z zamku Middleham w dal poprzez równinę na pewno myślał, że wszystko zapowiada się pomyślnie. I w ciągu dwóch krótkich lat utracił wszystko - syna, żonę i spokój.

- Jedno tylko zostało mu oszczędzone.

- Co?

- Świadomość, że na długie wieki imię jego będzie synonimem podłości i okrucieństwa.

- Tak, to by już ostatecznie go załamało. Czy wie pan, co ja osobiście uważam za najbardziej przekonujący dowód niewinności Ryszarda, jeżeli idzie o oskarżenie, że planował zagarnięcie tronu?

- Nie wiem. Co takiego?

- To, że musiał ściągnąć wojska aż z północnej Anglii, kiedy Stillington wystąpił ze swoją rewelacją. Gdyby wiedział wcześniej o tym, co Stillington powie, albo choćby miał zamiar z jego pomocą sfabrykować coś takiego, to wzięłyby te wojska od razu z sobą. Jeżeli nie do Londynu, to w każdym razie gdzieś bliżej, powiedzmy do środkowej Anglii, żeby je mieć pod ręką. To, że musiał spieszyć posyłać po swoich ludzi - wprawdzie do Yorku, a potem do Nevillowskich kuzynów - dowodzi, że wyznanie Stillingtona było dla niego zaskoczeniem.

- Tak, przybył tylko z orszakiem szlachty, ponieważ jechał, by zostać regentem. Po przybyciu do Northampton dowiedział się, co knują Woodville'owie, ale to go nie zastraszyło. Dał sobie radę z dwoma tysiącami ludzi Riversa i ruszył do Londynu jakby nigdy nic. Wciąż jeszcze wiedział, że ma przed sobą tylko normalną, przewidywaną koronację bratanka. Dopiero po oświadczeniu, jakie Stillington złożył w obliczu Rady, Ryszard posyła po swoje wojska. I w tym krytycznym momencie musi po nie postać aż do północnej Anglii. Tak, ma pan rację. Zaskoczyło go to. - Uniósł palcem jedną stronę okularów i po chwili dorzucił swoje uzupełnienie: - A wie pan, co ja uważam za przekonujące, gdy chodzi o winę Henryka?

- Co?

- Tę tajemnicę.

- Tajemnicę?

- Tak, tajemniczość, przemilczanie, te wszystkie niewiadome.

- Bo to bardziej pasuje do niego?

- Nie, żadne takie subtelności charakterologiczne. Niech pan spojrzy: Ryszardowi nie zależało na ukryciu śmierci chłopców, ale dla Henryka najważniejsze było to, żeby o dacie ich śmierci nic dokładnego nie było wiadomo. Nie ma i nie było żadnego powodu, dla którego Ryszard miałby użyć takich metod, gdyby to on ten czyn popełnił. To by było idiotyczne.

Sprawa nie dałaby się utrzymać w tajemnicy, wcześniej czy później musiałby zdać sprawę z tego, że chłopców na zamku nie ma. Niewątpliwie przypuszczał, że ma przed sobą długi okres panowania. Czemuż by więc, jeśli zakładamy, że chciał się ich pozbyć, nie miał wybrać jakiegoś prostszego sposobu, tylko taki trudny i niebezpieczny. Wystarczyłoby chłopców podusić, a potem wystawić na widok publiczny, aby cały Londyn mógł przyjść i zapłakać nad niewiniątkami, które w tak młodym wieku zmogła choroba. I jeżeliby to zrobił, to tylko w ten sposób. Przecież dla Ryszarda cały sens pozbycia się chłopców leżałby w tym, żeby zapobiec jakimkolwiek powstaniu mającemu za cel obronę ich praw do tronu, więc jedynym zyskiem z ich śmierci mogło być to, że wszyscy by się o niej dowiedzieli, i to jak najszybciej. Rzecz straciłaby cały sens, gdyby ogół nie dowiedział się, że chłopcy nie żyją. A teraz weźmy Henryka. On musiał znaleźć jakiś sposób, żeby ich usunąć sprzed ludzkich oczu. On musiał dbać o tajemnicę, ukryć i kiedy, i jak zesłi z tego świata. Najważniejsze dla Henryka było to, żeby nikt nie wiedział dokładnie, co się stało z chłopcami.

- Rzeczywiście, ma pan rację, Brent. To pan powinien być w Scotland Yardzie, mój drogi.

- Ja już zostanę przy szukaniu Tonypany. Jestem pewien, że takich przypadków jest mnóstwo, tylko nic o nich nie wiemy. Założę się, że w książkach historycznych aż się od nich roi.

- Przy okazji niech pan zabierze ze sobą sir Cuthberta Oliphanta. - Grant wyciągnął z szuflady grube ciężkie tomisko. - Historyków powinien obowiązywać egzamin z psychologii, zanim zabiorą się do pisania.

- Ech, nic by im to nie pomogło. Ten, kogo interesuje, co jest siłą napędową w ludziach, nie pisze książek historycznych. Pisze powieści, lecz psychoanalizą albo zostaje sędzią.

- Albo naciągaczem.

- O tak, naciągaczem. Albo przepowiada przyszłość. W każdym razie, jeżeli zna się na ludziach, to nie ma tendencji do pisania książek historycznych. Historia to zabawa ołowianymi żołnierzami.

- No, no, czy nie jest pan trochę zbyt surowy? To bardzo mądra i głęboka...

- Ach, nie o to mi chodziło. Chciałem tylko powiedzieć, że przypomina manipulowanie małymi figurkami na wielkim stole. Ma nawet, jak się nad tym zastanowić, wiele wspólnego z matematyką.

- Wobec tego, jeżeli jest podobna do matematyki, to nie wolno pakować do niej kuchennych plotek - warknął Grant, wciąż jeszcze wściekły na samo wspomnienie historii wielkiego kanclerza. Przerzucając kartki grubego tomu sir Oliphanta zatrzymał się nagle na jednej z ostatnich.

- Dziwne, jak chętnie ci historycy przyznają mu, że był odważny. Wiedzą

o tym tylko z tradycji, a jednak nikt tego nie kwestionuje. Więcej nawet, każdy podkreśla tę jego cechę.

- To było uznanie ze strony przeciwników - przypomniał mu Carradine. - Wszystko zaczęło się od ballady ułożonej właśnie przez nich.

- Tak, przez któregoś z ludzi Stanleyów. „Wtem jeden rycerz do króla tak rzecze...”. To gdzieś jest tutaj... - Przerzucił parę kartek, aż wreszcie znalazł to, czego szukał. - Rycerzem tym był ponoć „zacny sir William Harrington”.

*Nikt ich natarcia odeprzeć nie może,
ciosom Stanleyów dłoń żadna nie sprosta,
Powrócisz kiedyś o szczęśliwszej porze,
zda się, żeś, panie, zbyt długo tu został.*

*Zechciej, królu, odjechać, już czeka twój koń;
kiedy wrócisz, znów posłuch u ludu zdobędziesz, zdobędziesz,
Po koronę królewską sięgnie twoja dłoń
i tron swój odzyskasz, i panować będziesz.*

*Nie, chcę, byś teraz koronę na skronie mi włożył,
a w prawicy już topór bitewny swój mam.
Jeśli zginąć trza z woli tego, co nas stworzył,
niechaj jako król Anglii życie swoje dam.*

*Na krok nie ustąpię z pola,
póki w piersi starczy tchu.
I spełniła się jego wola;
zginął - jako Anglii król.⁶*

- „Chcę, byś teraz koronę na skronie mi włożył” - powiedział w zamyśleniu Carradine. - Tę koronę znaleziono potem w krzakach głogu.

- Odłożoną do zabrania jako łup z pobojuwiska.

- Wyobrażałem ją sobie raczej podobną do tej wysokiej struktury podbitej aksamitem, w której teraz władcy angielscy są koronowani. A tymczasem była to tylko złota obręcz.

- Tak, można ją było nosić na hełmie bojowym.

- Do licha! - wykrzyknął Carradine. - Gdybym był Henrykiem, to za nic nie włożyłbym tej korony. Nienawidziłbym jej! - Przez chwilę milczał, a potem nagle zapytał: - Czy wie pan, co napisano w Yorku, w wielkiej kronice miejskiej o bitwie pod Bosworth?

- Nie.

- Napisano tak: „Dnia dzisiejszego nasz dobry król Ryszard został bezlitośnie ubity i zamordowany ku ciężkiemu żalowi miasta tego”.

W ciszy rozmowy wróble zabrzmiały jeszcze głośniej.

- Trudno to nazwać zawiadomieniem o śmierci znieawidzonego uzurpatora - mruknął Grant.

- Prawda? „Ku ciężkiemu żalowi miasta tego” - powtórzył Brent wolno, myśląc nad sensem przeczytanego zdania. - Tak bardzo ich to obeszło, że nawet w chwili, gdy władza się zmieniła i trudno było przewidzieć, co przyszłość przyniesie, zapisali jednak czarno na białym w miejskiej kronice swoje przekonanie, że to było morderstwo, a także żal po jego śmierci.

- Może dowiedzieli się właśnie, jak sprofanowano zwłoki króla, i to ich oburzyło.

- Bardzo możliwe. Nie było przyjemnie usłyszeć, że nagie, zmasakrowane ciało człowieka podziwianego i kochanego przez nich zostało przerzucone przez grzbiet koński i tak zawieszono do Leicester.

- Nawet o wrogu nie chciałbym usłyszeć czegoś takiego. Ale po tej zgrai Henryka i Mortona nie należało oczekiwać niczego innego jak nikczemności.

- Ha, Morton! - Brent wypluł to słowo z obrzydzeniem. - Nikomu nie było „ciężko” z powodu śmierci Mortona, tego może pan być pewien. A oto, co napisano wtedy o nim w londyńskiej kronice miejskiej: „Nie było w naszych czasach drugiego człowieka podobnego doń pod każdym względem; ale prawdą jest także, że budził powszechną pogardę i nienawiść w całym kraju”.

Grant popatrzył na portret, który dotrzymywał mu towarzystwa przez tak długi czas.

- Wie pan, że mimo tych wszystkich sukcesów i kapelusza kardynalskiego chyba jednak Morton przegrał w walce z Ryszardem. Ryszard III - choć zginął pod Bosworth, a potem tak długo był szkalowany - wydaje się jednak zwycięzcą, bo za życia go kochano.

- To nawet niezłe epitafium - szepnął chłopiec poważnie.

- Tak, wcale niezłe. Nie można życzyć sobie lepszego. - Zamknął Oliphanta i oddał go właścicielowi. - A i niewielu na takie słowa zasłużyło.

Gdy Brent wyszedł, Grant zaczął porządkować swoje rzeczy przygotowując się do wyjścia ze szpitala nazajutrz rano. Dużą ilość nie przeczytanych powieści przeznaczył do szpitalnej biblioteki; przynajmniej komuś innemu umilą czas. Trzeba pamiętać o oddaniu Amazonce jej dwóch książek do historii. Odłożył je na bok, żeby nie zapomnieć o tym, kiedy będzie mu przynosiła kolację. Ale przedtem raz

jeszcze przeczytał, tak jak na samym początku poszukiwania prawdy o Ryszardzie, szkolną wersję jego postępowania. Wszystko tu było, jasno i wyraźnie, całe okrucieństwo, ohyda tej zbrodni. Bez jednego „podobno” czy „przypuszczalnie”, bez cienia wątpliwości, bez znaku zapytania.

I kiedy już, już miał odłożyć podręcznik, jego wzrok przesunął się na początek panowania Henryka VII. Przeczytał: „Tudorowie konsekwentnie i wytrwale dążyli do tego, by pozbyć się wszystkich rywali do tronu, a zwłaszcza wszystkich dziedziców praw sukcesyjnych Domu Yorków, żyjących w chwili wstąpienia na tron Henryka VII. Udało się to, choć dopiero jego syn zgładził ostatniego z nich”.

Wpatrywał się w te słowa, które tak beznamytnie informowały, tak spokojnie akceptowały hurtowe morderstwo, stwierdzając po prostu, że całą rodzinę stopniowo zlikwidowano.

Ryszardowi III przypisywano śmierć dwóch bratanków i jego imię stało się synonimem zła. Ale Henryka VII, który „konsekwentnie i wytrwale dążył” do zlikwidowania całego rodu, uważano za roztropnego i dalekowzrocznego monarchę. Nie twierdzono wprawdzie, że był miły, ale że twórczy i pracowity i dlatego szczęście mu sprzyjało.

Grant zamknął książkę. Historia to sprawy, których nie pojmie nigdy.

Wartości uznawane przez historyków różniły się tak bardzo od wszystkich tych, z którymi się stykał na co dzień, że nie było mowy o jakimś zrozumieniu. Wróci do Scotland Yardu, gdzie morderca jest uważany za mordercę, a co obowiązuje Iksa, to i Igreka.

Położył książki w pogotowiu, a kiedy Amazonka przyniosła mu kotlet mielony i kompot ze śliwek, wręczył jej obie z wyrazami wdzięczności. Naprawdę był jej wdzięczny; gdyby nie przechowywała swoich podręczników szkolnych, może nie wyruszyłby w tę drogę i nie dowiedział się tego, co wie o Ryszardzie Plantagenecie.

Ze zdziwioną miną przyjęła uprzejme podziękowanie, a jego z kolei spieszyła myśl, że był widać jako pacjent okropnym gburem, bo już niczego innego jak gderania nie spodziewała się od niego.

- Będzie nam pana brakowało - powiedziała takim tonem, jakby za chwilę miała się rozplakać. - Bardzośmy się do pana przyzwyczaili. I nawet do tego też - pokazała łokciem w kierunku portretu.

Nagle przyszła mu pewna myśl do głowy.

- Chce mi siostra zrobić przyjemność?

- Oczywiście. O co chodzi?

- Proszę wziąć tę podobiznę do okna i w pełnym świetle patrzeć na nią tak długo, jak długo liczy się tętno.

- Dobrze, chętnie. Ale po co?

- Nieważne po co. Po prostu, żeby mi zrobić przyjemność. Ja będę

mierzył czas.

Wzięła obrazek i podeszła z nim do okna.

Patrzył na sekundnik swego zegarka. Przeczekał czterdzieści pięć sekund i spytał:

- No i co? - a kiedy nie odpowiadała, powtórzył: - No i co?

- Dziwne - powiedziała - ale jak popatrzeć dłużej, to jest to właściwie całkiem miła twarz.



KONIEC

Księgozbiór DiGG



2013